

Śląsk *literacki* K W A R T A L N I K

11

KATOWICE • STYCZEŃ • CZERWIEC
1 9 5 2

Śląsk literacki

Kwartalnik

1.2

1	9	5	2
Katowice	•	Styczeń	• Czerwiec

Okladkę projektował JÓZEF MROSZCZAK

Ilustracje i przerywniki: LEOPOLD BACHNER
REDAGUJE ZESPÓŁ

Redaktor: ZDZISŁAW HIEROWSKI

Wydawca: ZWIĄZEK LITERATÓW POLSKICH, ODDZ. W KATOWICACH

Adres Redakcji i Administracji: Katowice, ul. 3 Maja 36a II p., tel. 325-58

Kat. Hist. Lit.



C-II-5226

Cena pojedynczego zeszytu 5 zł. Cena niniejszego podwójnego zeszytu 10 zł.
Prenumerata półroczna 10 zł. Prenumerata roczna 20 zł. Indywidualne zamówienia na prenumeratę i wpłaty przyjmują tylko urzędy pocztowe oraz listonosze. — Zamówienia na prenumeratę zbiorową kierować należy do PPK „Ruch“.

Złożono i odbito w Katowickiej Drukarni Dziełowej, Przedsiębiorstwo Państwowe
Katowice, 3 Maja 12

Papier druk. sat. 61×86 cm, 70 g, kl. V

Zam. 784

Druk ukończ. 6. 7. 52.

R-3-10104

Nakład 2000

Obj. 7 ark.

ALEKSANDER BAUMGARDTEN

ZWYKŁY DZIEŃ

Otwieram oczy dnia, już świt mi znak podaje
i buczki kopalniane zgarniają z oczu sen —
drga ziemia stukotami, ruszają koła suwnic,
słońce jest tylko cieniem tych, co na pierwszą zmianę...

A jest ich coraz więcej, — z pociągów, szyn, tramwajów
nadpływa szelest kroków i rośnie w szumny rytm,
to właśnie idą ręce, to maszerują ręce,
które mym dniom kształt dają i moich dzieci dniom.

Godzina jest poranna, pachnąca kawą i chlebem
(te dwa zapachy z ludźmi na dniówkę pójdą też),
bo jak nie wspomnieć domu, gdy wyjmiesz chleb z papieru
i wstrząsniesz kawą w bańce, nim przytkniesz ją do ust.

Wiem, przyjacielu, wiem — to przecie takie proste:
gdy wytop będzie dobry, gdy pędzisz chodnik w przód —
odwrócisz oczy ku nim: ku Mariom, ku Edytom,
to przecież także dla nich, — tak właśnie musi być.

To chyba życia sens, gdy uderzenia młota
i serca uderzenia ta sama łączy myśl,
tak oto dom rozszerzasz o ściany swojej huty
a plan jutrzejszej dniówki pod swój zapraszasz dach.

...Nad Śląskiem wstaje dzień, zwyczajny dzień roboczy,
nazwijmy go po prostu: czwarty czy szósty. — Rok?
Rok znamy przecież wszyscy, rok pięćdziesiąty drugi,
rok trzeci Sześciolatki, i krok ku nowym dniom.

Jest zwykły śląski dzień: ziarenko, pestka roku,
z którego rosną dęby, i w którym jutro tkwi,
a ponad wszystkim niebo po oczach chmury wodzi
i bierze w siebie dymy, gorący oddech hut.

Rozglądasz się dokoła, po ludziach, po zdarzeniach
i widzisz: dom wyrasta, solidny, polski dom,
i wiesz już, — węgiel nasz ogrzeje jego wnętrze,
i wiesz już — naszą blachą pokryjesz jego dach.

W tej samej chwili dnia, dokładnie właśnie wtedy,
gdy w jednej z szkół Będzina (przy Kopernika 2)
dyskusję rozpoczęto, na temat rozdział pierwszy,
artykuł: trzy, punkt: sześć, projektu Konstytucji.

I w tenże właśnie czas, wytapiacz w hucie Ferrum
— nazywa się Limański, — przekracza normę dnia,
a zespół ZMP w stalowni „Częstochowa“
w martenie rozplomienia klarowną, piękną stal.

Jakim że rytmem czuć i jakim oddać słowem
ten zapal, co rozdmuchał płomyki młodych serc.
Oto Szeluga Staś, oto Wiśniewski Mietek
(uparcie szli ku hucie ze swych dalekich wsi).

Wiśniewski! — Jakże to, — pamiętasz pięść kułacką,
komuś to pasał krowy, za dniówkę — złotych pięć?
A teraz wołasz: spust! — i kiedy wstaje luna
nad dziełem twoich rąk — ty szepcesz: moja stal!

Naprawdę twoja stal, a nie Gieschego, nasza —
jak naszą jest i huta, i każdy w domu gwóźdź,
i traktor — nasza stal — gdy pola wiosną zbudzi
i wzruszy je do głębi, nim spadnie na nie siew.

...Tymczasem mija dzień, zwyczajny, śląski, polski,
w rzetelną naszą dniówkę sześćdziesiąt minut wstaw,
godzina przeszła znów, jedna z dwudziestu czterech,
od częstochowskich hut ku rudym hałdom Gliwic.

Już nowych minut bieg, zaledwie zdążyć może
za tym, co w trudnej chwili urosło z ludzkich rąk
a już jest tym, co jest, co stało się i waży:
urobek. Węgiel. Węgiel! Górniczej dumy kęs.

Górniczy pilny trud, on śpiewa o tej ziemi,
spójrzcie w Górniczą Kartę — to kraj z miłością czci
najlepszych synów swych, to oni w tej godzinie
ludowy wznoszą dom z podziemnych fundamentów.

Spojrzyjcie — oto on, zwyczajny polski górnik
a przecie tak niezwykle, gdy zespół wiedzie swój,
i jedna rządzi myśl dwunastką zgodnych ramion,
na ścianie, na „Zawadzkim“, w ten właśnie zwykły dzień.

Tu nie dodawaj nic, tu chyba mnożyć trzeba
gdy wstawiasz siłę maszyn w tych samych godzin treść,
już kombajn pogna czas, jak biczem, jak ostrogą
i prawie o połowę przyśpieszy wynik lat.

I już wrębówka rwie zębami gardło węgla,
już Winkler z „Radzionkowa“ i z „Prezydenta“ Moj
sterują maszyn bieg przez metry i godziny
w ten zwykły szary dzień, co w krajobrazie trwa.

Słyszysz, jak kombajn gra w kopalni „Zabrze-Zachód“:
Ossowski koncertuje, na sterach palce drżą,
wciąż sprawdza oczu błysk harmonogramu nuty —
w surowych taśm oklaskach melodia rośnie wzwyż.

Przyśpieszmy bieg tych słów, bo nie dognamy czasów
w których nam przyszło tworzyć, dojrzewać, walczyć, żyć.
Niech synów mocny krok i wnuków pokolenia
bezpieczną pójdą drogą, którą im ojciec kładł.

Urobek czarny mknie taśmami transporterów,
górnicza gna sztafeta, by zdwoić maszyn bieg —
i znowu chodnik w przód i znowu wyrobiska
z calizną zwiąże piach w podsadzki mocny grzbiet.

Dziś trzy tysiące ton dał piasku na podsadzkę
znów hufiec Służby Polsce ze Starczynowskich hałd,
zielony wyrósł gaj wśród płonących pól błędowskich —
oaza na pustyni: junački, młody las.

Z pustyni — z piaskiem pieśń, z filarów — węgiel z pieśnią
spotkają się i łączą, jak bratnie dłonie dwie —
zanotuj szorstki śpiew i serca przodowników
i tę godzinę śląską, co w twoich oczach łśni.

Wciąż rośnie Nowy Dom, w każdej minucie rośnie,
oto osiedle „Juliusz“, w Sosnowca wpięte plan —
śmigają kielnie w pion, brygada przodowników
dosięga właśnie teraz czterystu procent zwyż.

Murarzom podał plan, organizację pracy,
radziecki budowniczy, inżynier Demakow —
uskrzydlił trud brygady — Pieniążek, Nanuś, Kucy
w rusztowań harmonogram wpisują śmigły mur.

Jak chwycić trudny rytm, od serca przecie szybszy,
tych kroków, ruchów, oczu, najstaranniejszych rąk,
jakże się dzieje to, że zanim wzrok obrócisz
wyrasta w Nowych Tychach ulicy nowej zrab.

Bielsko — Osiedle ZOR, malutka Zosia Kruczek
włóknierskie, śląskie dziecko — zapala w kuchni gaz,
płomyk, co dwoi się w dziecięcych, modrych oczach,
rozpalili kraj ludowy w sercach włóknierskich izb.

I właśnie w chwili tej, w dwustu mieszkaniach Bielska
przy dwustu stanie piecach dwieście radosnych żon,
w palnikach błysnie gaz i można już spokojnie
czekać z gorącą strawą, gdy z pracy wróci mąż.

Godzina mija znów i oto Częstochowa,
budowa wielkich pieców — to Józef Radek, spójrz!
najlepszy cieśla tu i w całym województwie,
już setkę ciężkich bierwion siekierą pognął w tan.

A niedaleko stąd, w Sosnowcu, o tej porze
młoda Otylia Czapla, dziewiarka, właśnie ta,
którą zna cały kraj, zdejmuje znów z warsztatu
dorobek tej godziny: dzianin barwisty zwój.

To przecie tylko tu, znad tej maszyny właśnie
dziewczyno czarnooka, rzuciłaś hasło swe:
„Kto chce najlepszym być dziewiarzem w całej Polsce,
niech staje z nami w jeden współzawodnictwa front!”

Dygoce maszyn sto: cewiarki, saneczkowe,
Otylia Czapla sprawdza z uśmiechem pracy czas —
godzina mija znów, ta sama tu i w hucie,
dziewczyna myśli z nami: jest zwykły śląski dzień.

A dzień jest w chwili tej, no, jakby to powiedzieć —
dzień jest po prostu śliczny, rozwinął się jak kwiat,
wziął wszystkich siedem barw z palety śląskiej ziemi
i rzucił je z uśmiechem na widnokręgu skraj.

W rozsloneczniony dzień, w godzinę nowych czasów,
melduje osiągnięcia najmłodsza śląska wieś —
oto Franciszek Stach, rolnik w Wilamowicach
w spółdzielni produkcyjnej, szczęśliwie skończył siew.

Ten sam złocisty deszcz i pod tym samym słońcem
zapachniał przyszłym chlebem u wrót spółdzielczych pól,
zaszumi ciężki kłos w Jeżowej i Gwoździanach,
w Dębowcu pod Cieszynem, gdy przyjdzie żniwny czas.

Już kipi cały Śląsk zieloną runią nowin,
trzydzieści pięć kwintali z hektara zbierze wieś,
„podwójny schodzi plon, zdobyty wspólną pracą“
mówi Pieprzycą Alojz z Jeżowej, mądry człek.

A w chwili, gdy to rzekł, w spółdzielczej stajni w Lipiu
w powiecie częstochowskim, przybyło prosiąt sześć —
prosięta — ważna rzecz, patrz, jak hodowcom w Lipiu
rozjaśnił uśmiech twarze w ten zwykły śląski dzień.

Ten uśmiech w siebie weź, bo taką radość daje
dniom naszym, oczom naszym, spełniony dobrze trud,
Ten uśmiech łączy nas, jak dłonie w uścisk mocny,
spójrzaj na wskaźnik Planu: znów skoczył dziesiętko wzwyż.

Pociągi z węglem mkną po kraju, po zielonym,
na polach traktor gdacze, w walcowni bije młot —
rozżarza serca hut godzina przedwieczorna,
w przewodach elektrycznych jak krew pulsuje prąd.

Tysiąc goreje szyb: Pałac Młodzieży śląskiej,
właśnie pół setki brzdąców wybiegło z jednej z sal —
i tylko Froncek Gaj, uparty syn górnik
w pracowni sprawdza model wrębówki nr 5.

Setki radosnych ech roznoszą z korytarzy
po marmurowych schodach okrzyki, śmiechy, śpiew,
wybiega młodość z bram i płynie ulicami —
to nowe Katowice, to idą przyszłe dni.

Ta sama młodość też, czy może trochę starsza,
w bytomskiej Rokitnicy otwiera okna sal,
szczęśliwie przeszedł już egzamin z fizjologii
a teraz chyba pora z dziewczyną spotkać się.

A właśnie blisko park, jakby na zamówienie,
a w parku szepcą drzewa tak niemedyczny tekst —
więc nie zliczymy ust, co z sobą się spotkają
w tym parku, w tej godzinie i wśród tych samych gwiazd.

Bo gwiazdy wzeszły już, no, nie wiadomo kiedy —
takie gwiazdowe prawo dla zakochanych par,
już wieczór schyla się nad naszym horyzontem
i pieśń o Karolinie pod oknem gwizdże ktoś.

Ten wieczór jest jak Śląsk: ma tyle rzeczy w planie —
Koncert Artosu w Wirku, w Zawierciu nowy film,
Państwowy Teatr gra w świetlicy, na wyjeździe —
jest już początek aktu, za chwilę będzie gong.

Znad familoków dym rozwłócza smak wieczery,
starzyki przed domami w pogwarkach fajki ćmiał,
dziewczyna pisze list, usypia dzieci matka
jak zawsze, jak co wieczór, gdy z szychty wróci mąż.

I czegoż więcej chcieć, jak właśnie takiej pory:
przyćmione światło lampy, drzwi własnych znany stuk.
Słów parę. Uśmiech. My. — Za oknem Śląsk — przyjaciel
i niebo wzdychające czerwienią aż po brzeg.

Już coraz ciemniej. Wiatr. Zatargał krajobrazem,
odrzucił dymy hutom, rozburzył polom kłos,
już czesze szorstką sierść jeleniom w pszczyńskich lasach —
ten wieczór jest jak książka, szeleści w kartkach czas.

Więc taki to był dzień, naprawdę właśnie taki —
jedna robocza dniówka: nauka, praca, pieśń —
dzień w Planie Sześćioletnim, lecz pomyśl: w każdym roku
jest takich dni zwyczajnych trzysta sześćdziesiąt pięć.

Przeminął zwykły dzień i ma się już ku nocy,
choć noc na Śląsku — wiecie — jest jakby wtórym dniem: —
gdy rębacz z „Wujka“, Gaj, śpiącego synka gładzi
trzepoce biały gołąb nad drzeniem jego rąk...

ALEKSANDER BAUMGARDTEN



MARIA KLIMAS-BŁAHUTOWA

KAMIENNA RÓŻA

Rozalia pochyliła się nad Rudolfem:

— A ty się tu nie kręć po kuchni! Wciąż płaczesz się na oczach pani. Wiesz, że tu tego nie lubią. Usiądź w sieni, na schodach. Będzie obiad, to wyniosę ci coś, zjesz... A teraz daj mi spokój, dziecko.

Wielki piec kuchenny buchał żarem. W kotłach wrzały mydliny. Rozalia stękała dźwigając ciężką miednicę z mokrą bielizną. Układała w kotle prześcieradła, poszwy, poszewki. Mydliny bulgotały, kipiały, ściekały na płytę. Para unosiła się pod sufit, ciągnęła gorącym obłokiem ku otwartym drzwiom sieni.

— Istne piekło... — zauważyła Białkowska zaglądając z pokoju. — Oszczędzajcie węgiel, Grzesikowa!

Rozalia mruczała z białej chmury:

— Nie dam węgla, to nie wygotuję brudu...

Ocierała twarz, oślizgła od potu, odgarniała lepkie kosmyki włosów z czoła. Ręce miała spęczniałe od mydlin, czerwone po łokcie.

— Gdzie wasz Rudolf? — pytała Białkowska. — Żeby mi tu znowu nie nabroił... Nie mam czasu, żeby wam dziecka pilnować...

Rozalia machała gniewnie drewnianą kopyścią:

— Niech się pani nie boi. Odpowiadam za niego, nie?

Miotła się między balią i piecem, udręczona upałem, zaduchem prania, napasliwą konrolą Białkowskiej, kóra wpadała do kuchni zniecierliwa, popędzała w robocie:

— Przed dwunastą muszę mieć wolną płytę, Grzesikowa. Obiad na drugą zgotujemy, tak?

Rudolf siedział na progu werandy. Wiał skwarny południowy wiatr. W drewnianych cebrykach kwitły różowe oleandry. Twarde liście szeleściły nad głową Rudolfa, kwiaty pachniały gorąco.

-- Straszna rzecz! — syczała Białkowska. — Znowu dłubałeś w cebrykach. Pełno ziemi na schodkach, a korzenie oleandrów pokaleczone.

— To nie ja... — bronił się Rudolf, chowając za siebie umorusane ręce.

— A kto? Duch święty?! Ja cię tu nauczę, smarkaczu! — groziła Białkowska.

Przepędzała Rudolfa do sieni.

— Tam siedź, przy drzwiach... Żeby cię matka widziała! „Odpowiada“ za ciebie!

W kuchni huczały głucho odgłosy prania. Skwierczał tłuszcz na rozpalonej patelni.

— Kotlet wieprzowy... To dla pana — mówiła Białkowska. — A dla nas jarzynowa zupka, świetna, a do tego placuszki ziemniaczane... Na swojego chłopca uważajcie, Grzesikowa! Płcze się koło domu i szkody robi.

Rozalia milczała. Trzaskała pralka o balię, chlupotała ostro woda, brzękały gniewnie pokrywy garnków. Rudolf czuł, że matka i Białkowska walczą ze sobą bez słów, przekrzykują się głosami swojej roboty. O niego im idzie. Matka uważa, że ma prawo zabierać do roboty dziecko, a Białkowska tego nie znosi. Cały świat pęcznieje od tej złości dwu kobiet, Rudolfowi nieswojo w niej, a czas płynie tak powoli i pora obiadu jeszcze bardzo daleka.

Po południu zły żar wypalał się w domu i wokół domu. Rozalia wychodziła do ogrodu, przeciągała między drzewami sznury. Cały ogród osnuwała nimi jak pajak siecią. Pośród zieleni trzepotały białe płótna. Męskie koszule machały pustymi rękawami, podrygiwały kalessony Białkowskiego.

— Nie kręć się między bielizną, Rudolf — pokrzykiwała Rozalia. — Pranie mi zniszczysz, synku — dodawała ciszej patrząc w stronę domu, gdzie w otwartym oknie Białkowska czuwała nad jej robotą.

Krzewy porzeczek połyskiwały czerwienią dorodnego owocu.

— Uważajcie, Grzesikowa! Chłopak kradnie! — wołała Białkowska.

Rozalia udawała, że nie słyszy.

— Aha! Zaraz... „kradnie“... — pogadywała przekornie. — Jakbyś przez cały rok nie miała grosza na owoce dla dziecka, to byś nie powiedziała „kradnie“... Świat się nie zawali, gdy na twoim krzaku dziesięć deko porzeczek ubędzie...

Białkowska wychodziła do ogrodu z twarzą boleśnie ściągniętą.

— Nie słyszeliście, Grzesikowa? Krzyczałam do was z okna... Dzieci trzeba starannie chować, żeby na złych ludzi nie wyrosły...

Rozalia machała niedbale ręką.

— Pani złota — mówiła jakoś z daleka, głucho — jak się w świecie coś nie odmieni, to biedny człowiek, żeby ze skóry wylaził, sam nie będzie uczciwie żył i dzieci na uczciwych ludzi nie

wychowa... A za te parę porzeczek to mi pani potrąci z zasług, nie trzeba, żeby pani ubożała przez mojego Rudolfa...

Białkowska uśmiechała się kwaśno: — A wy przecież jesteście porządną kobietą... Można wam dom powierzyć i guzika w nim nie braknie — schlebiała, patrząc z ukosa.

Rozalia odchodziła między szeleszczące płótna.

— Szybko dzisiaj schnie — rzuciła chłodno. — A ty, Rudolf, idź, pobaw się z psem. Brzuch cię rozboli od porzeczek...

Wiedziała, że Białkowska nie zostawiłaby jej w domu samej. Tkwiła na straży dobytku, gdy Rozalia przychodziła do pracy, warczała nad nim jak pies nad tłustym kawałem mięsa. Miała sławę najbardziej chciwej dyrektorowej w całym hutnictwie.

Wieczorem obie kobiety były już zmęczone całym dniem i sobą.

— Ależ się dzisiaj spracowałam — mówiła w stołowym pokoju Białkowska do męża. — Zrobiłam wielkie pranie...

— Wzięłabyś stałą sługę — mruzczał Białkowski z za gazety. — Od ciebie tylko zależy, czy się masz zaharowywać, czy nie...

Wstydził się trochę przed ludźmi za chciwość żony.

Rozalia przeliczała pieniądze opuchniętymi palcami.

— Pięć złotych... Nie potrąciła za porzeczek... — stwierdzała z satysfakcją. — Dobranoc państwu! — wołała ku drzwiom stołowego.

W sieni budziła rozespanego Rudolfa. Nie chciał iść, popłakiwał i prosił, by go wzięła na ręce. Potrząsała nim szorstko:

— Dziecko, przecież ja się sama ledwie na nogach trzymam... Wstawaj, jakoś zajdziemy do domu...

— Jak mi będziecie potrzebni, Grzesikowa, to ja tam do was zajrzę. Umówimy się znowu, prawda? — szczebiotała Białkowska przy furtce.

— Pani wie, że dla pani zawsze znajdę czas, choć nie mam go za wiele — odpowiadała Rozalia z godnością.

Wieczór był miękki, gęsty, pachniał maciejką willowej dzielnicy. Rozalia odchodziła wolno, ciągnąc za sobą zmęczone dziecko.

Droga od Białkowskich prowadziła nieodmiennie koło huty. Ulica biegła krętym węzłem wzdłuż zakładów, Rozalia patrzyła w ogień wielkich pieców i stalowni, słuchała żelaznego gwaru.

Pięć lat temu urodził się Rudolf. Wtedy właśnie Aleks, jego ojciec, stracił pracę w walcowni drutu. Od tego czasu chwycił się różnej roboty: odnosił podróżnym paczki z kolejowego dworca, wywoził śmieci z czynszowych kamienic, szorował schody gospodarszom, których nie stać było na dozorcę. Kiedy Rozalia szła do prania, pilnował Agnieszki, młodszej od Rudolfa o cztery lata. Niekiedy buntował się. — Paczki nosić... Śmietniki wyprzątać... Dzieci niańczyć... To nie dla mnie robota.

— A gdzie ta „twoja“ robota? — pytała Rozalia.

— Moja? Tam... — wskazywał wymownie w stronę huty. — Tacy jak ja powinni stać przy walcarce, rozumiesz?

— A jak dla nich miejsca przy walcarce nie ma, to co? — atakowała.

Wzruszał ramionami, milczał. Rozalia czuła, że w tym, co mówił o pracy, była jakaś okruszyna prawdy, ale wiedziała i to, że tą prawdą ani garnka nie napełni, ani rozpadających się łańców w całość nie zlepi. Dlatego musiał co dnia szukać zarobku, a gdy Rozalia szła do Białkowskich, tkwił przy Agnisi cały dzień, gotował chudy kleik z owsianki i przecierał marchew.

— No, widzisz, widzisz, córuś, jakiego ty masz dobrego ojca — mówiła po powrocie do domu Rozalia. — Czekaj, jak tato wróci do huty, zobaczysz, jak nam będzie dobrze...

— A wróć, wróć... „na święty nigdy“ — szeptał gorzko Aleks.

— Głupstwa mówisz! Pamiętaj, że gdy tacy jak my opuszczają rękę, to już dla nich znaczy: koniec! — rozpałała się Rozalia.

Kładła przed mężem chleb i oszczędzone z obiadu resztki.

— Gorąca była dzisiaj robota... Nie mogłam jeść... — tłumaczyła.

Rudolf zasypiał w łóżku rodziców. Stukały rytmicznie wytarte bieguny kołyski Agnisi. Rozalia myła się zgarniętymi u Białkowskich odpadkami mydła i kładła się obok Aleksa. — Jutro jadę do Rennerowej — rzucała mu jeszcze półgłosem i już jej jakby nie było — sen spadał na nią nagle i odcinał od całego dnia.

Rennerowa ugrzęzła między ladą i półkami kiosku — budynek nie był obliczony na jej tuszę. Wyglądała w nim jak w kolo-rowej skrzynce, ustawionej na wzgórzu pod sosnami. Miotła się wśród szklanych pucharków, napełniała je lodami.

— Jakie, proszę? Śmietankowe, truskawkowe, kawowe? — szczebiotała rozsypując po podłodze żółte wafle.

U stóp wzgórza kipiało kąpielisko. Młodzież skakała z trampoliny w wodę, mętną i ciepłą jak zupa. Dzieci grzebały w nadbrzeżnym piasku jakby chciały przekopać całą plażę. Matki i ojcowie zachowywali się jak filety na wielkiej patelni — smażyli się cierpliwie. Nagły i gwałtowny spór między dziećmi wyrwał ich niekiedy ze słonecznego odrętwienia. Wspinali się na wzgórze do kiosku Rennerowej, pili zieloną „Leśną Perłę“ i jedli lody.

Rozalia pomagała Rennerowej. Trzy razy w tygodniu przywoziła jej z miasta towar, potrzebny do wyrobu lodów. Szorowała drewniany podest, na którym pod kolorowymi parasolami stały stoliki dla gości. Zamknięta w ciasnym pomieszczeniu za półkami kiosku jak w szafie, kręciła korbę maszynki, napychającej kieszenie Rennerowej. Myślami była daleko od podmiejskiego lotniska. Rudolf zaziębił się i kaszlał — czy go tam Aleks upilnuje w czasie jej nieobecności? Agnisia zaczęła chodzić, nóżki jej się krzywią... Lekarza by trzeba, ale kto to będzie leczył dzieci bezrobotnego? Aleks też nie ten sam, co dawniej... Taki człowiek jak on potrzebuje swojej roboty. Pójdzie jeszcze kiedyś do huty? Może... już nigdy nie stanie przy walcarce pośród drgających taśm rozpalo-

nego żelaza. Kiedy to panowie z huty zatrzymali koksownię i odlewnię żeliwa? Sześć lat temu. A walcownia już od dwu lat nieczynna. Musiałoby się chyba coś w świecie przewrócić, tak, przewrócić zupełnie, żeby huta ożyła i Aleks razem z nią.

Sąsiad Grzesików, tapicer, który całemu miastu przerabiał stare kanapy, głośno mówił o tych zmianach, jakie muszą w świecie nastąpić, by wszyscy ludzie mieli jednakowe prawa do pracy i chleba. Tapicer miał sześcioletnią córeczkę, Felę. Śpiewała tak pięknie, że dorośli, ostygli w biedzie na piękno ludzie, zachwycali się jej głosem. Tapicer kłął: — Żeby nie te parszywe porządki, kształciłbym dziecko... Ale sam nie wystukam w kanapach przyszłości dla Feli... Trzeba, żebyśmy wszyscy, razem, dla naszych dzieci... — Ale Fela wiosną zmarła na dyfteryt, a przed pierwszym maja policja zabrała tapicera. Organizował święto robotnicze. Ot, i masz, bracie, za to, że ci się nie podobały terazniejsze porządki.

Żeby tylko Aleks nie wdał się z takimi jak tapicer. Chodzi na hałdę, a wiadomo, że tam się nie tylko gra w karty... A swoją drogą to ciężko pomyśleć, że dzieci przychodzą na świat i rosną, a przyszłości przed nimi nie ma żadnej. Czy to się Rudolf będzie kształcił? Co czeka Agnisię?

Rozalia szarpała korbę maszynki do lodów. Zdawało się, że ramię sobie ukręci razem z korbą. Kawowa masa tężała powoli. Rennerowa piszczała za ścianką z pótek:

— Goście proszą o kawowe, Rozalio.

— Niech proszą, co mi tam! — buntowała się Rozalia i puszczała korbę. Zaglądała do kociolka. — Gotowe, proszę pani...

Wieczorem Rennerowa obliczała kasę.

— Co zrobimy z białkami z jajek? — wzdychała. — Tyle się tu dobra marnuje... Wczoraj zakopałam pod sosnami trzydzieści białek. W domu upieklabym bezy... Tracę na tym moim kiosku, tracę... A chciałby człowiek dorobić się... Dziewczęta moje rosną, posagi trzeba szykować, wyprawy szyć... Uczą się, byle komu ich nie oddam... A może by Rozalia zabrała sobie dzisiaj białka? Mogłaby Rozalia dzieciom bezy upiec...

Rozalia chmurzyła się:

— Cukru nie mam...

Rennerowa zwijszała blade usta w ozdobny dzióbek:

— Tego to już wam nie dam, złociutka. Sama mam mało...

Rozalia schodziła ze wzgórza w stronę przystanku kolejowego. W wodzie kąpieliska drżał księżycowy nów. Sosny moczyły ciemne łapy gałęzi w wilgotnym mroku. Od will za torem nadleciał głos harmonii, wilgotny, obmyty nocną rosą i ciszą.

Pociąg dudnił do taktu piosenki, śpiewanej przez młodzież, wracającą z niedzielnej wycieczki. Dziewczyna w żółtej sukni wtuliła się w kąt przedziału, pochylony nad nią chłopiec opowiadał o czymś z przejęciem. Rozalia uśmiechała się gorzko. Siedem lat temu i ona była świeżą, pełną uroku dziewczyną. Poznała Aleksa u ciotki,

która szybko zorientowała się, co zapowiadają spojrzenia młodego hutnika na jej siostrzenicę. — Ty nie bądź głupia, Rozalko, i dobrze pilnuj, żeby się chłopiec nie rozmyślił — ostrzegała, zaniepokojona jej chłodem. A Rozalia już wtedy kochała Aleksa i strzegła swej miłości przed ciekawością otoczenia. Wieczorami wychodzili na spacer. Ze wzgórza za miastem patrzyli na hutę. — Widzisz, o, tam... wielkie piece... A tu stalownia... — Aleks wskazywał po kolei wszystkie oddziały. — I tu, patrz, walcownia Morgana... — Wielkie piece rozkwitwały raz po raz ognistą wiechą. Czerwone języki tryskały z kominów kotłowni. Strzępy łuny drżały na niskim niebie. Gorący wiatr rzucał w twarze Rozalii i Aleksa ziarnami ostrej sadzy. — A ty, Aleks, zawsze i wszędzie myślisz i mówisz o hucie? — pytała przekornie Rozalia. Pobrali się przed zimą. Ciotka mówiła: — Rozalia jest rozumna i pracowita. Będzie jej dobrze w życiu... — Ale w tym wszystkim, co przyniosły młodym szybkie lata po ślubie, nie wystarczał rozum ani pracowitość obojga.

Pociąg pędził od stacji do stacji, od świateł przez ciemność i znowu ku światłom osiedli i miast. Rozalia siedziała chmurna wśród śpiewu młodzieży. Siedem lat... To strasznie długi czas... Może oddzielić człowieka od wszystkiego, co jest pogodą, nadzieją, młodością...

— Och, Grzesikowa! Grzesikowa!

Białkowska nigdy nie była rozmowna. Ograniczała się do słów i zdań koniecznych — poleceń, upomnień, rozkazów. Tego dnia była podniecona, oczy jej błyszczały.

Usiadła w kuchni. Patrzyła na ręce Rozalii, rozumnie zakrzętałe przy prasowaniu bielizny.

Był dzień twardej, późnej jesieni. Chmury za oknem leciały nisko. W ogrodzie tłukły się na wicherze drzewa. Drobną deszcz szeleścił na szybach jak rzucały garściami piasek.

Rozalia słuchała w milczeniu.

Bezrobotni demonstrowali wczoraj. Tak — przecież i Aleks był wśród nich, pokłócili się o to z Rozalią. Powiedziała mu, że do wszystkiego zła, które mają, dołoży jeszcze jedno, gdy pójdzie do więzienia. To chyba cud, że umknął przed policją — aresztowano tłumy. Nie wolno się buntować, gdy się jest jak robak pod ciężkim butem: przygniotać mocniej i już po tobie, bezsilna ludzka nędzo! Myślisz, że dasz radę panom z hut i kopalń? Oni mają środki na takich jak ty... Więcej was niż tych, co teraz rządzą? Ech, wy, bohaterowie, zastanówcie się, w jaką drogę wybraliście się z pustymi rękami... W brzuchach wam burczy z głodu, w głowach mąci się od tej muzyki... Proletariat walczy? A tak, walczy, pomyśl, ile życia robotniczego zmarnowało się w tej walce. Nie zmarnowało się? Mało jeszcze? No, to pamiętaj, że Rudolf i Agnisia nie powinni stracić ojca dlatego tylko, że mu się zachciało nosić transparent w pochodzie bezrobotnych.

Czemu to Białkowska tak się denerwuje? Boi się. Takich jak Aleks się boi... Żeby nie przyszli do jaśniepańskiej willi, nie pogrozili dyrektorowi czerwoną pieśnią za to, że służy jak pies magnatom zza granicy... Dla nich dymią kominy huty i dla nich przestają dymić... Dla nich wydobywa się węgiel i dla nich zatapia się głębie kopalni...

Listopadowy zmierzch zapadał szybko. Białkowska nacisnęła kontakt elektryczny, zabłysła poszarzała z niepokoju twarz.

— Zamęt w mieście. A ja drzę o męża. Wy mię chyba rozumiecie, Grzesikowa... Czego ci ludzie chcą? Każdy powinien cierpliwie znosić to, co mu Pan Bóg przydziela...

Rozalia odłożyła ostatnie prześcieradło na stos uprasowanej bieleziny.

— W całym świecie nie ma i nie będzie spokoju, dopóki nie będzie... sprawiedliwości... A wołaj boską tłumaczyć ludziom nędzę..., to już, proszę pani, daremna rzecz... Nie uwierzą. To Pan Bóg wyrzucił mego męża z huty? To on chce, żebyśmy pozdychali?

— Grzesikowa... Mówicie, jak ci, co obrzucili wczoraj mego męża wyzwiskami i błotem... Wy, Grzesikowa, na moim chlebie...

— Nie na paniny, nie... Na swoim... Tylko, że go nie mam... Pan Bóg nie przydzielił... — śmiała się Rozalia.

Zacięła zęby, chciała milczeć, dławiła się goryczą.

— Zima idzie — wybuchła. — Zima! A ja... ani kartofli, ani węgla, ani butów, ani ciepłego przyodziewku...

Białkowska stanęła między Rozalią i koszem, pełnym ciepłego jeszcze od jej pracy bogactwa.

— A któż wam winien? Kto? Ja wam... Wy z mojej ręki... — płatała się.

— Ale... Gdzie tam z paninej... Z mojej własnej... I... kto mi winien? Ano..., ja sama też, bom wczoraj... przeciwko tym, co walczą o te losy... Żeby je sprawiedliwie rozdzielać... — drwiła Rozalia. — A dzisiaj to mi już jaśniej w głowie, ho, ho...

Białkowska zachłysnęła się śliną. Splunęła do zlewu. Z szuflady kredensu wysupłała portmonetkę.

— Macie tu... Ostatni raz... Za ten talerz, co go Rudolf potłukł, pamiętacie, potrącam — mściła się. — No, to już dosyć... Możecie zapomnieć drogi do nas... Dla buntowników nie ma roboty, rozumiecie?

— Co bym nie miała rozumieć? Rozumiem — zapewniła Rozalia twardo.

Owinęła się chustką. Szła przez rojne ulice — ludzie śpieszyli do domów, auta pędziły wśród deszczu, brzęczały tramwaje, rozpały się i gasły światła reklamy nad kinem.

Dwa tygodnie temu Rennerowa „podziękowała“ Rozalii. Już dawno po sezonie na lody... Teraz by jakaś kawiarenka czy sklep z owocami, ale na razie — poczeka się... Trudne czasy, strach ryzykować, to i Rozalia niepotrzebna... A Białkowska... Nie lepiej by

to było trzymać język za zębami? Wiadomo, dyrektorka nie widzi świata spod puchowej kołdry... Ale niech nie mówi, że nędza z woli boskiej i niech nie każe złego losu znosić w milczeniu. Aleks miał wczoraj prawo żądać pracy i chleba, miał, a ona, Rozalia, nie miała racji, kłócąc się z nim. To nie tylko o siebie, ale i o nią, o Rudolfa i Agnieszkę upominał się Aleks. Zrozumiał już dawno wiele rzeczy, a ona zrozumiała niektóre z nich dopiero dziś.

MARIA KLIMAS-BŁAHUTOWA.

Fragmenty opowieści, której akcja dzieje się w latach 1938—1946.



JAN BARANOWICZ

SPÓŁDZIELNIA NAD JEZIOREM

I. TESTAMENT

Trzy dni leżał na pościeli, na szlubanku.
Chusta brodę przewiązała pstrą falbanką.

Martwym oczom ciążył czujnie nikiel biały,
żeby więcej gospodarki nie widziały.

Przychodzili, odchodzili różańcowi.
Skwierczał żółty kij gromnicy wedle głowy.

Melli pacierz w żarnach zębów. W porzekadła
wieczność, życie, grzech, zasługę — mądrość kładła.

Dwaj synowie z prostych desek trumnę zbili,
Córki splotły wieniec z martwych róż i lili.

Za ćwierć żyta włókł noc całą dziad lamenta.
Odprowadził za jałówkę ksiądz na cmentarz.

Mieszały się szlochy z grudą, śnieg ze łzami.
Znikł na zawsze Jakub Drzazga. W wodzie kamień.

Sprzegła Siwka z Gniadą Wręgi smutna wdowa,
pojechali do rejenta do Radłowa.

Rejent utkwiał w skrytce kasy oczy lisie.
— Cóż, siadajcie! Przeczytamy, co w zapisie.

Dygotali z niepokoju. Papier chrzęścił.
Czytał rejent: — Wszystko pole w równe części:

Jan — przydole, Małgorzata — łęg i piaski,
Stefa — strugę, Hanka — ugór, Stach — pod laskiem.



— A ogród i zastodole? — Po wymowie
w dożywotnie obrobienie przyjdą wdowie.

Westchnął Wręga: — Trudno dzielić tłum tylorgi.
Sykla Hanka: — Łatwiej dzieci mieć, niż morgi.

Rzekł im rejent, zapis kładąc w dokumenta:
— Chcecie? — gniećcie się na kupie jak kocięta.

Moja rada — grunt starszemu zdać, niech orze.
I na zachód. Czeką Wrocław, Gdańsk, Pomorze...

II. DROGA

Nie łatwa rzecz rzucić, rozstać się nie łatwa,
błądzi wśród zagonów myśl jak kuropatwa.

Nieodzwonne sercu jak plecóm koszula —
sople pod okapem, pszczoły w prostych ulach.

Chwieją się wspominki — w polu żdziebła żytnie.
Oczom nachmurzonym jabłoi w sadzie kwitnie.

Dłużą się szyny. Stukoce pociąg.
Kwadranse biegną i dniem i nocą.

Kraków nad Wisłą. Śląsk w mgieł nawisach.
Gliwice, Koźle, Głogówek, Nysa.

Wreszcie Otmuchów. Blaski w jeziorze.
Wagon na bocznym zastyga torze.

Wyszedł Jasiek. Świt oznajmiał przyjście rana.
Wziął w garść ziemi: — Patrzenie, pszenoburaczana!

Będzie ziarna, gdy się kosa przedrze polem.
Jeno cudzo i do tamtych serce boli.

— Przyzwyczaisz się, zapomnisz przy robocie;
dziś obczyzna, jutro swoje — rzekł Nowocien.

Już z wagonu sprzęt wybierał; chciał być gotów,
nim noc chluśnie, z przeprowadzką do Wykrotów.

Poszedł Drzazga śladem wujka Nowocienia,
siostry za nim. Nie czas było na zmartwienia.

Ledwo słońce nad wykrockie wzeszło śliwy,
wóz się toczył po asfalcie, ciągnął Siwy.

Można było załadować po czub drabin.
Droga jak ten stół, gdzie do niej tamtej z Grabin,

tam jak lunął deszcz, to z próżnym koń się męczył.
Kroczył żywo Jasiek Drzazga przy obręczy.

Obok siostry z krową. Z tyłu wozów dziesięć.
Klich. Nowocień. Kania. Z nimi polska jesień.

Niedaleko od jeziora — widać okiem —
wieś jak stado kur przycupła nad potokiem,

domki równe, przysadziste, w bieli tynków,
sad przy sadzie, skraw podwórca przy budynku.

Rżały konie, czując bliskich stajen nawóz.
Oglądały się Łaciate w bok, za trawą.

Tykotały serca jak te świerszcze w zbożu:
Wież urodna! Jak się doby w niej ułożą? —

III. NA NOWYM

Ziemi, gdzie zawadzić wzrokiem!
Jak na niebie w deszcz obłoków!

Wzdłuż i wpoprzek. Mierz, nie bolej!
Zaspokajaj głód pokoleń!

Wyszły pługi w pole wrześnie.
Nie za późno, nie za wcześnie.

Przewracały skiby tłuste.
Ziarno z rąk się łało chlustem.

Cesał broną pól zagony
dzień w dzień Siwek niestrudzony.

— Krzątany, urób ręce!
— Nie dziwota, pola więcej!

— Dałbym i dwom polom radę,
żeby tak ze cztery gniade.

I parobcy. I waszątek.
U biczyska bukiet wstążek.

— Stoi siewnik w cieniu liści,
rdza go zjada bez korzyści;

siałby za trzech, ulżył krzynkę,
by parą, nie w pojedynkę...

Legli w rowie, obok szosy.
Dymią mgliście papierosy.

Liczy Drzazga, klnie Nowocien.
Słońce pola topi w złocie.

Sołtys Koza, zdun z Myszkowa,
uśmiech w słomie wąsów chowa.

ślucha pilnie, chwieje głową.
z rzadka krępe rzuci słowo:

— Skrzypią dźwigi w odbudowie.
Nie ten sam się staje człowiek.

Cierpliwości! Mgła się przetrze!
Jedno lato, drugie, trzecie...

IV. WYTAPIACZ KOPEĆ

Dawno się nie widzieli, ze dwadzieścia lat.
Kopeć robił na Śląsku, wytapiał w „Cynkowej“.
Na piechty poszedł z Grabin. Teraz inny świat
przyniósł do wsi w pogodzie siwiejącej głowy.

Przybył tu nad jezioro przypadkiem, na wczasy.
Posłyszał, że Nowocien, że Kania, że Klich...
Spotkali się przy piwie i krążku kielbasy.
Przyszli drudzy. Syn Drzazgi również był wśród nich.

Wspominali, gwarzyli. Od łąk Nysy Kłodzkiej
wiatr wonie sianokosów nawiewał do płuc.
Nie chciało się do łóżka, choć zegar północy
w wysoki dzwon na wieży zaczynał się tłuc.

— Chłopu — powiedział Murek — rewolucja po co?
Więcej marchwi czy owsa nie wyrwie spod skib.
— Już! — przytaknął Kania. Kopeć walił z mocą
głosem, co już za dziecka na wiatrach mu schrypł.

— Pamiętacie Grabiny? Co zagon, dwa — miedze.
Polne kęsy. Uwrocie. Pies wpoprzek nie zmieścił
ogona, jeśli usiadł, tak wąsko. Dziad biedzie
się zalecał. Przednówek gnatami szeleścił.

Policzcie: miedza — łokieć, droga — krok sążnisty,
skrawki, gdzie jak rok długi ni popaść, ni siec.
Kilometrami pola wlokły się jak glisty,
dwieście było gospodarstw, dwieście na nich miedz.

Przemnóżcie: kilometry razy łokieć, sążnie.
Wynik — hektary ziemi odłogiem. Cóż? — proste.
Setki kwintali zboża w marnotrawstwie grzęźnie.
Prosi się rewolucji. Rewolucją — postęp!

W Wykrotach nie inaczej. Niby — pola więcej,
i żyzność, i fabryki ta czy owa z maszyn.
Lecz ludzie w pracy luzem. Wzór biorą z zajęcy:
każdy sobie. I traktor po nocach ich straszy...

Wytapiacz urwał nagle, was zamaczał w piwie.
Potem wskazał na pola węzłem śniadej pięści:
Siła sosny — tkwi w lesie, czleka — w kolektywie;
w robotniczych i chłopskich rękach — świata szczęście.

V. PRZED OŚRODKIEM

Przed ośrodkiem złote lipy, nad ośrodkiem księżyc.
Już nie może dłużej Rajski boczyć się, mitrzyć.

Dwieście jutrzyn do obróbki to nie kromka z masłem.
Chłopskie ręce nieochotne, milej im na własnym.

Rąbnął czapką o podłogę, huk drzwi zachwiał domem.
Biegł pod lipy. — Trudno, trzeba pogodzić się z SOM-em.

Zawierała wieś umowy ospała, niespora.
Dużo za dnia miał łazęgi brygadzista Goraj.

Teraz siedział z listą w ręce. Sołtys z nim w pogwarce.
— Nie wesoło. Chciałem ćwiercią. Cóż? — trza będzie garncem.

— Poprzerzuca się maszyny, gdy tu w ludziach narów.
— Spróbujemy znowu jutro. Pewnie dojdzie paru.

Rajski słuchał. — Po robocie? — uśmiech zmieszał z drwiną.
— Dość jak na dziś. — Jeśli wola, zapraszam na wino.

— Obejdzie się! — gniew zapalił oczy brygadziście —
Wasza sprawka, że — jak dotąd — dziesięciu na liście!

— Wpiszcie! Będę jedenastym... Goraj spojrzał koso.
Świecił miesiąc. Wiatr niósł do wsi zapach sianokosów.

VI. NA POLNEJ DRODZE

Wracali wózkiem z Nysy — Drzazga z Nowocieniem,
droga biegła jak tęcza przed spółdzielcze zboże,
piętrzyły się ozime zielonym grzebieniem,
słonko płynęło po nich jak łódź po jeziorze.

Trudno było oderwać oczy od urody.
Już czerwiec kłosom kwietne przypinał kolczyki,
łany szły pod horyzont jak ruchome schody,
dosychały na ostwiach świeżo zżęte wyki.

Inkarnatka płomieniem malowała pole.
Wzrostu prawie do pasa, ckniała do żniwiarki.
Rzepak rozwijał strąki jak rogi bawole.
Pasły się holenderki pod stróżą krowiarki.

Drzazga szarpnął za lejce. Stanął wasąg lekki.
Zazdrościli, choć myśli każdy skryć się starał.
— Zbiorą, gdy przyjdą żniwa! Nie zmieszczą w sąsieki!
— Pewnie, jak w zeszłym roku, trzydzieści z hektara.

Konarami czerwieni zachód w niebo wrastał,
na otmuchowskiej wodzie obłok siadał mgielny.
Biegły konie asfaltem, bat powietrze chlastał.
Lgnęły do rzęs jak gwiazdy latarnie spółdzielni.

VII. DOŻYNKI

Kapela grała, klarnet, skrzypce
i pomrukiwał niedźwiedź-bas.
Pół wsi się zeszło. W ciast posypce
płonęło wino. Skrzył się wczas.

Gorąco było na estradzie.
Wirował taniec, przyśpiew kwitł.
Pachniały jabłka w żrałym sadzie.
W kępach rzedy wschodził świt.

Rajski od stołu szedł do stołu,
sknerstwo na noc tę cisnął w kąt.
reprezentował rację dworu
w urodzie dożynkowych świąt.

— Ty się w tłum nie pchaj! — rzekł do Murka,
u kamizelki łańcuch mnąc —
masz syna, u mnie rośnie córka,
zwiążemy morgi — ręce ksiądz.

Z Drzazgą się trącił: — Urodzajem
spółdzielnia mami? Placi Skarb!
Skąpo ci pola? Puszcę w najem.
Na swoim człek jak w wodzie karp.

Spółdzielcy-goście się zwierzali:
(Młocka od wczoraj u nich szła)
— Rzepak? — dwadzieścia sześć kwintali.
Pszenica? — tak, trzydzieści dwa.

VIII. WSPÓLNOTA

— Szczerzą zęby. Wiadomo: nowe ich gniewa.
Urodzaj? — dla ich spichrzy. Dla naszych? — plewa.

Niech się ziemia nawozi, zboże zieleni
po horyzont, co roku złociej i pszenniej.

Elektryczność dla wszystkich, praca dla wszystkich.
Pokój w izbach bielonych, hortensji listki.

Żyć w dawniejszym? — to w biedzie szorstkie dni wikłać,
Uczy Partia i książka, zjednywa przykład...

Sekretarz z ogniem mówił, słuchali długo,
słowa orały serca jak plugi ugor.

Namarszczył się Nowocien, głową chwiał Kania.
Rajski zdania od siebie jak gzy odganiał.

Drzazga rzekł: — Chociaż młodziak, sporo już przebył.
Widzę — bielsze niż nasze spółdzielcze chleby,

w stajni od koni ciżba, w oborach ciasno,
lampy nawet w północek izbom nie gasną. —

Koza pierwszy nad stołem schylił się nisko,
po nim Drzazga na papier rzucił nazwisko.

Stefa z Gosią za bratem — bez ociągania.
— Czworol! — do Nowocienia wyszeptał Kania.

Stał u drzwi, jeszcze liczył, z sobą się wadził,
Nowocien go za ramię wziął, podprowadził.

Giza podpisał z synem. Murek wciąż nie śmiał.
Rajski wybiegł z hałasem. Klich się roześmiał.

Za oknami deszcz padał, dzwoniły rynny.
Ktoś kręcił gałką radia, fajkę tlił inny.

Ktoś komuś ścisnął rękę. Potem chór śpiewał.
Szarówka w noc zgęstniała. Cichła ulewa.

IX. PRZY ROBOCIE

Trójskibowiec za ciągnikiem, trzy skiby — trzy rzeki
płyną równo, niegwałtownie w nieboskłon daleki.

Drzazga patrzy czy się chowa obornik pod warstwą —
więcej chwali traktorzystkę, niżli gospodarstwo.

Brną lemiesz w ściern turkuciem, bronom nie mniej pilno.
Wrony włóczą się gawiedzią gęstą i przymilną.

Przy siewniku Koza z Kwietniem. Leci ziarno w rowki.
Rozgadały się kobiety: — Zakochany. Kto w kim?

Drzazga w śniadej traktorzystce. Traktorzystka w Jaśku? —
Schylają się nad bruzdami, tłumią gwar zapaską.

Białe wory na trawniku, pszenica się żółci.
Nad głowami obłok-jastrząb stroi czoło w półcień.

Nikt nie został w izbie luzem, nawet Murek, chociaż
wciąż odfruwał ze spółdzielni jak na wyraj bocian.

Pierwszy wspólny siew urzekał. Kusił maszyn warkot.
Pogodziło mądre pole swary z gospodarką.

Ranną mżawką legł na łące potraw, Klich go posiekl,
teraz Giza roztrząsaczem rozbijał pokosy.

Jadąc myślał: — Rękom praca jak oczom cień powiek.
Prawda. Lecz tu koń równiejsze boki ma i człowiek.

X. DNI I DNIÓWKI

Wypogadza się i chmurzy dzień spółdzielczy w życia wietrze,
to się wznosi, to opada jak wskazówka w barometrze.

Płoną w izbie świetlicowej lampy, żart się swata z troską,
jakoś szybciej się przeciera czas zadymek i przymrozków.

Śpiewa kuźnia melodyjnie, skrzypią wozy na podwórzu.
Odszedł Franek Makowiczka od Rajskiego z żoną Rózią.

Bogacz szedł aż do spółdzielni, rudą głową trząśł jak wiechem,
groził sądem... Nic nie wskórał. Nie zniewolisz, jak kto nie chce.

— Niechby szedł z nim — mruknął Murek — Po co pcha się? Wkładu
Koza spojrzal: — Rąk ma dwoje. Więcej dla nas to, niż ziemia. [nie ma

Statut każe. Pól — urodzaj. Ludziom nie pomogą gwiazdy.
Tyle dni się ciżbi w roku, tyle krzątający w każdym —

Drzazga myśli stał ku matce. W palcach trzymał list jak szczęście.
Biegł czas. Rosły dniówki w książce. Coraz szczodrzej, coraz gęściej.

XI. PIOSENKA O KSIĘGOWYM

Nad czym się schyla księgowy
od rana do późnej nocy?
Nie je. Nie dośpi. W podkowy
zmęczenie skuło mu oczy.

Na polu nie ma roboty.
Młockarni pas się rozluźnił.
Jedynie tłuką się młoty,
siewniki latając w kuźni.

Zadymka prowadzi kulig,
ławice śniegowe spiętrza.
Styczeń się w kozuch otulił,
dzwonkami u sań rozbrzęczał.

Księgowy spółdzielni „Postęp“,
Franciszku Baławendrze!
Wychudłe plecy rozprostuj,
ugręźleś w księgach jak mędrzec!

Jak pień — nieczuły na wszystko —
mruczysz, dodajesz bez przerwy.
A przecież — wiesz — z traktorzystką
rad w tańcu śmiałeś się pierwiej.

Przystają ludzie co chwila
i przytakują i przeczą —
Pojmują, nad czym się schyla
księgowy rano i wieczór.

Siew złocił się, ozimina
w zielony poemat rosla.
Wiatr świerszczem na źdźbła się wspinał,
radość przez staja go niosła.

Snopowiązałkom jak pszczołom
dzień skrzydła w krzątaniu wicherzył.
Wozil korowód wesoly
plony do stodół i spichrzy —

Nie skradnie czasu i złodziej,
gdy zapal sprzyja trudowi;
w chleb pszeny trzydziestu rodzin
sumuje cyfry księgowy.

XII. ROZMOWA Z KRASIWRONKA

Dwie jarzębiny. Na jarzębinach
korale i słońce.
Siedzi Drzażdżyna, warkocze spina.
Dziwi się krasiwronce.

A krasiwronka — polska papuga.
wylęła gdzieś w sośninie —
jagody dzióbie, oczami mruga
i dziwno ci jej, i nie.

Wyniósł ze strychu podziedzicowskie
krzesło synaczek mamie:
fredzle, floresy, haft w złote głoski,
sprężyny i aksamit.

Fotel się buja. Drżą ręce obie,
lżą szklą się siwe oczy.
Zawiścisz moŜnym, że im, nie tobie
słoneczny krąg się toczył? —

— Oj nie zawiszę. Wspominki w młodość
się, w izbę z mroczną sionką.
Nie nasmakował się z miski godów
w niej człowiek, krasiwronko.

Perz z kalenicy bociany brały.
Czas plecy siekł szarugą.
Nocką nie spałam a wychowałam
synaczka, pleć płeciugo —

Dzieli młockarnia ziarno od plewy.
Wysoka będzie dniówka!
Wezbrał urodzaj ponad spodziewy,
nie straszny cień przednówka.

Praca dniom młodym. Krzesło starości.
Spółdzielni — dobre słowa.
Jakżeż ci sercem oddzwonić prościej
szeroka i Ludowa? —

Dwie jarzębiny. Na jarzębinach
korale i słońko.
— Nie dobę wagon wiozł mnie do syna,
życie szłam, krasiwronko!

JAN BARANOWICZ

WŁODZIMIERZ GRAB

CI Z SIÓDMEGO ODDZIAŁU

I.

Sztygar Brada szedł wzdłuż ściany. Długi ciąg rynien wił się między drewnianymi stojakami, kołysał jednostajnie, miarowo, niosąc na wygiętym grzbiecie bryły węgla. Zgrzytały przeraźliwie zardzewiałe łańcuchy, przeżyły się stalowe linki, przymocowane do stojaków. Pod rynnami ciężko stękały napędy powietrzne, tu i ówdzie przysypane miałem węglowym. Z prawej strony, jak gwiazdy rozsiane na nocnym niebie, świeciły lampy zawieszone na stojakach, z lewej w szarym półmroku, przechodzącym stopniowo w tajemniczą pustkę, rysowały się niewyraźne kontury drewnianych stosów. Ludzie, rozstawieni w długim szeregu pomiędzy rynnami a calizną, wbijali z uporem łopaty w wał skruszonego węgla, który w świetle migocących płomyków podobny był do jakiegoś potwora, zagradzającego swym potężnym cielskiem drogę w dalszym pochodzie naprzód. Zaden z nich nie spojrzał w stronę drewnianych stosów podpierających strop, za którymi na przestrzeni kilkunastu metrów wisiał szary piaskowiec, oparty na drewnianych stojakach, gotowy w każdej chwili runąć na dół.

— Wytrzyma czy nie wytrzyma do czasu uruchomienia podsadzki płynnej — myślał Brada, wspinając się do góry. Nie mogąc dać sobie odpowiedzi, szeroko otwartymi oczyma wpatrywał się w czarną przestrzeń. Ale tajemnicza pustka milczała uparcie i głucho.

— Jeżeli nie wytrzyma, to co wtedy będzie?...

Westchnął. Jeżeli nie wytrzyma, to ściana się zawali, kopalnia planu rocznego w przewidzianym terminie nie wykona i ludzi może pozabijać. Ludzi, którzy, pochłonięci pracą, nie myślą o tym, co może stać się jutro, dziś albo za chwilę... Niedobrze robi się młodemu sztygarowi. Odwraca głowę w stronę świecących lamp. Ciężko suną ze zgrzytem na rynnach duże kęsy węgla, ciężko dyszą spoceni ludzie...

— Co wtedy będzie?...

Brada, oparty o stojak, zamyka oczy. Zdaje mu się, że to nie kęsy węgla padają na rynny, ale olbrzymie zwały szarego kamienia wałęsają się do dół. Przeraźliwy zgrzyt łańcuchów wdziera się do starych zrobów i w pustej przestrzeni odbija się ściszoną echem, naśladując do złudze-

nia głosy ludzkie. Zdaje się, że gdzieś daleko wołają ludzie, błagają o ratunek...

Brada wie, że tak długo być nie może. Każdy metr powiększającej się stale niezarabowanej przestrzeni, każda tona węgla wydarta z uporem czarnej caliźnie, zwiększa niebezpieczeństwo. Kamienny strop potrafi wisieć miesiącami, aż pewnego dnia zatrzęszczy nagle, zakolysze się i runie w dół, łamiąc grube stojaki jak wątle żdźbła słomy. Sztymar otrząsa się i otwiera oczy.

Kondracik, stąpając ostrożnie po nierównym spagu, niesie przed sobą dużą bryłę węgla. Z pod nasuniętego na czoło hełmu na skronie i policzki spływają krople brudnego potu.

— Skąd ten człowiek ma tyle siły — myśli Brada przyglądając się uważnie jego zgarbionej postaci. Szczupły, wąty, zebra mu można policzyc, gdy zgina się w dół, ale w pracy chyba jeden Ryszka potrafi mu dorównać. Kondracik przeszedł nie dostrzegłszy sztygara, rozstawił szesroko nogi i rzucił z rozmachem kęs węgla do rynny.

Napęd powietrzny dławi się i charczy. Jeszcze raz, jakby drżąc z wysiłku, swym stalowym ramieniem pcha do przodu rynny, naładowane po brzegi węglem, i nagle zaczyna się.

Brada wyciąga zegarek. Dochodzi dwunasta. Znowu powietrza brak, znów przerwa.

— Hej, Braguła! — woła patrząc w dół. — Co tam znowu?...

— Powietrza nie ma — odpowiada nadgórnik.

Ludzie prostują zgarbione plecy, ocierają pot z twarzy, tylko Kondracik stoi nadal z łopatą w rękach i krzywi się.

— Znow te pierońskie przerwy, nie ma dnia, żeby ich nie było — mówi ze złością, patrząc w ziemię.

— Co Kondracik, nie lubisz przerw?...

Górnik ze zdziwieniem patrzy na niego.

— Nie lubię — mówi ze złością — bo gdy człowiek zacznie pracować, spoci się, a potem nagle stanie, to ogarnia go jakaś niemoc, kości tężeją...

Brada kiwa głową. Wie, że Kondracik zawsze mówi głośno to, co myśli.

— I ja nie lubię... zapal Kondracik — mówi sztygar, patrząc na jego spocone czoło.

— Co słysząc z rurociągiem?... — pyta z powagą górnik, grzebiąc w otwartej papierošnicy.

— Rurociąg, o właśnie, to najważniejsze — przypomina Brada, podsuwając mu swoją lampę z brązowym reflektorem. Kondracik długo i dokładnie przypala, obracając papieros w cienkich palcach, potem zanosi się suchym kaszlem.

— Kiedy będzie — pyta schylając się po łopatę.

— Może pojutrze, Kondracik. Za kilka dni popłynię zamułka. Nie będzie już nas straszyć ta czarna pustka. Piasek z wodą ją zaleje. Potem woda odpłynie i wszystko będzie w porządku...

Kondracik słucha. Oparł się o swoją łopatę i patrzy mu w oczy. Nie bardzo wierzy.

— Zdaża, Kondracik, nie martw się. Zdażą na czas...

Muszą zdażyć — myśli w duchu Brada — bo jeżeli nie zdażą, to więcej nie zezwoli ludziom pracować w miejscu, gdzie wisi ten diabelski strop. Podeszedł do nich młody, barczysty Ryszka. Idą z góry Kantyka i Pyrtek. Nawet Hachuła, który wczoraj nie był w pracy, nieśmiało skrada się za nimi. Ludzie rozebrani do pasa, zlni potem, podobni są do posągów, pokrytych czarną, lśniąca farbą. Skupili się wszyscy koło niego. Kręca

w brudnych palcach papierosy, dyszą sobie w twarz. Ostry dym mocnej machorki miesza się z przenikliwą wonią potu. Niektórzy oparli się o stojaki, w milczeniu obliczają ilość węgla leżącego przy ociosie. Ryszka założył ręce powyżej łokci na masyśnych ramionach i patrzy sztygarowi w oczy.

— Wykonamy roczny plan na Dzień Górnika?... — pyta za siebie i za innych.

Brada znów spoziera w czarną pustkę z lewej strony. Ludzie tydzień temu podjęli zobowiązanie. Ludzie chcą wykonać plan i pokazać wszystkim, że górnicy z kopalni „Elżbieta“ nie rzucają słów na wiatr. Ale żaden z nich nie wie o strasznej rozterce, o rosnącym niepokoju w duszy sztygara. Czekają w milczeniu na odpowiedź, która doda im nowych sił, utwierdzi ich wiarę.

— Wykonamy chłopcy, musimy wykonać — mówi za niego Kondracik. Jak dobrze, że odpowiedział im Kondracik — myśli Brada patrząc na ludzi.

— Pyrtek, jak tu jesteście najstarszy wśród nas, powiedzcie, wytrzyma ten kamień jeszcze z sześć dni?... — Brada wyciąga ramię w kierunku czarnej czeluści. Światło rozprasza się w gęstniejącym mroku, docierając zaledwie do drewnianych stosów, za którymi panuje martwota i przeźrażliwa, złowroga cisza.

Nikt tam nie zagląda, ale stary Pyrtek z pomarszczoną twarzą nie boi się niczego. Wyprostował przygarbione plecy i poszedł.

— Pieroński kamień... diabelski strop — mruczy pod nosem, kierując światło w górę. Olbrzymie, sfałdowane bryły szarego piaskowca piętrzą się nad nim.

Zimne i mokre zwisają nad wątłym ciałem człowieka, który błądzi samotny pośród powyginanych stojaków.

— Oj, niedobrze sztygarze, niedobrze, za dużo otwartej przestrzeni — mówi Pyrtek wracając. Niepokój i zakłopotanie maluje się w jego oczach.

— Więc jak, wytrzyma czy nie wytrzyma? Jak myślisz?...

Stary wzruszył ramionami: — Czy ja wiem?... Może tak wisieć tygodniami i miesiącami... Łupek trzeszczy, stęka, daje znać, ale kamień nigdy nie powie, kiedy zechce usiąść na naszych głowach...

Starsi kiwają głowami, młodszy otwarli szeroko usta, zwarli się cieżniej dokoła sztygara. Pyrtek otarł rękawem brudnej koszuli pot z czoła. Zamyślił się.

— Posłuchajcie sztygarze — zaczął z cicha po krótkiej przerwie. — Przed dwudziestu laty był u nas taki wypadek. Pracowaliśmy wówczas na poziomie trzecim w górnej ławie. Taśm w owym czasie nie było, ryny dopiero zaczęto wprowadzać. Oprócz linociągów jedynym środkiem transportu były konie, no i ludzie popychający wózki na szynach. Mówili wówczas, że między koniem a człowiekiem nie było żadnej różnicy...

— E, bajesz stary — zaśmiał się Ryszka, kładąc mu na ramieniu swoją szeroką dłoń.

— A ja ci powiadam, że nie było — ozwał się stary prawie ze złością. — Chyba ta, że konia po pracy odprowadzano do stajni, dawano mu suty obrok, a człowiek zmęczony, zharowany wyjeżdżał na powierzchnię i z łękiem spoglądał na tablicę, czy czasem nie figuruje na liście zredukowanych...

— Tak było! — ozwały się naraz głosy z różnych stron. — Prawdę mów! — Ryszka spoważniał. — No i co dalej?...

— Ciężka to była praca, ale ludzie trzymali się jej, jak to mówią, rękami i nogami, aby jakoś żyć, aby nie stracić kawałka chleba... Jednym z warunków, jakie wówczas stawiano każdemu rębaczowi, była wysoka wydajność. Mało tego. Dyrekcja zastrzegła się, że urobek musi być wyłącznie w dużych kęsach i dlatego małośmy strzelali. Wszyscy woleli kilofem rąbać twardy ocios, aby jak najmniej było miału, który wówczas był bezużyteczny.

Kolondra zmiał w palcach niedopałek:

— To się nie da — mruknął. — Miał zawsze będzie... — Pyrtek kiwnął głową:

— Zawsze pewna ilość miału była, to prawda, ale ludzie zgarniali go do różnych dziur, no po prostu chowali, żeby sztygar nie zauważył i nie poskarżył dyrekcji. Częściowo spalano go w kotłowni, a resztę wywożono na hałdy. Tak, ale ja chciałem mówić o czym innym... — Stary przerwał na chwilę, zbierając myśli.

— Otóż w pokładzie, w którym wówczas pracowaliśmy, podobnie jak i u nas, znajdowała się w stropie gruba warstwa piaskowca. Obliczano go na czterdzieści metrów. Wybierkę prowadziliśmy filarową, na zawal. No, przynajmniej tak się ona nazywała, bo w rzeczywistości piaskowiec załamywać się nie chciał i wszystkie wybrane zabierki stały puste. Zjeżdżały do nas różne komisje. Panowie chodzili, sprzeczały się, oglądali, potem wspólnie orzekli, że trzeba wywołać sztuczny zawal — kazali strzelać w stropie. Sztymar ze swej strony jeszcze dodatkowo kazał strzelać w filarach oporowych, aby przyspieszyć osiadanie kamieni.

— Aha — wtrącił Kondracik — teraz już im nie chodziło o miął, ale nikt z nich nie zastanawiał się, że właśnie miął w starych zrobach, to również duże niebezpieczeństwo...

— Z tego powstają pożary — dodał głośno Ryszka, jakby chcąc wobec wszystkich popisać się swoją wiedzą. Nikt jednak nie zwrócił na to uwagi za wyjątkiem Brady.

— Posłuchajcie, co było dalej. Ano, kazali nam strzelać, więc strzelaliśmy. Tacy głupcy oni znowu nie byli. Wiedzieli dobrze, że istnieje groźba pożaru, toteż zawczasu zwozili materiał na budowę tamy. Strzelanie jednak nie pomogło. Ze stropu spadały duże łaty kamienia, ale całość stała nieporuszona. Ludzie z biegiem czasu przyzwyczaili się i po kilku miesiącach zapomnieli o niebezpieczeństwie. Wybraliśmy tak około czterdziestu zabierek. I kto wie, jak długo by to wszystko trwało, gdyby nie wybuchł pożar w starych zrobach. Pewnego dnia zaczęło nagle brakować świeżego powietrza, ludzie czuli ból głowy, zaczęli słabnąć. Sztymar natychmiast przerwał pracę i pognął wszystkich do budowy tam. Drzewo, glina, piasek — wszystko już było przygotowane i tamy postawiliśmy szybko. Otamowali cały oddział, ludzi przenieśli gdzie indziej, zdawało się, że wszystko w porządku. Aż tu nagle pewnego dnia zakołysało się całe podziemie...

— Ten pieroński strop runął!... — dokończył Ryszka.

— Ba, mało powiedzieć runął, ale podmuch powietrza i gazów powyracał wszystkie tamy. Tlejący żar w starych zrobach wskutek dopływu powietrza rozpalili się z niebywałą szybkością. Brunatny, gęsty dym rozpełzał się po całym poziomie. Zrobiło się pod ziemią istne piekło. Ludzie uciekali pod szyb, a tuż za nimi pędził ogień... Nie wszyscy się uratowali. Niektórzy słabsi czołgali się na czworakach w stronę szybu, ale gęsty dym ich dopędził, zamroczył i zdusił. Konie w stajniach rżały

dziko, gryząc ze strachu żłoby i stojaki. Nikt o nich nie myślał... Eh, lepiej nie wspominać...

Kondracik częstym chrząkaniem zdradzał swoje niezadowolenie, patrzył spode łba na sztygara, który również uważał, że nie należało tego ludziom opowiadać. Wszyscy w milczeniu spojrzeli w stronę starych zrobów.

— Ot, tak ci to bywa z takim kamieniem, a kto wie, co i u nas może się zdarzyć — przerwał ciszę Kolańczyk łęklwym głosem.

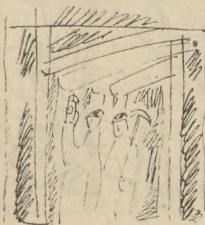
Brada zmarszczył czoło.

— Bywa różnie, ale lepiej być zawsze przygotowanym na wszystko i zapobiegać nieszczęściu, niż czekać z założonymi rękoma — odparł po chwili, uderzając kilkakrotnie kilofkiem w spąg.

— O, widzicie — wskazał ręką w dół w kierunku ruszających się światełek — tam stawiają tamy podsadzkowe. Za dwa, trzy dni popłynie zamułka...

Ludzie powoli zaczęli rozchodzić się na swoje miejsca, rozmawiając z cicha.

Brada przypomniał sobie o rurociągu, zawrócił w miejscu i dużymi krokami poszedł w dół...



II.

Brygadzysta szedł prawie na oślep przed siebie, dźwigając na plecach koniec rury podsadzkowej, która kołysała się na barkach trzech ludzi, postępujących za nim. Ciężkie żeliwo gniotło ich ku ziemi, zdzierało naskórek na ramionach, szarpało na wszystkie strony, gdy któremu niebacznie potknęła się noga na nierównym spągu. Stare, wykrzywione stojaki chyliły się ku nim, przywalone zwietrzalymi bryłami węgla, a światła lamp karbidowych pełzały po ich błyszczącej, mokrej powierzchni, pokrytej gdzieś tam płacem białym, puszystym pleśnią. Gryzący pot osiadał ludziom na brwiach i rzęsach, zlepionych pyłem węglowym, spływał brudami po twarzach, słony i gorzki jak piołun.

Sowa idący na przedzie mrużył oczy. Czuł, że palce prawej ręki, podtrzymujące owalny kształt rury, drętwieją coraz bardziej, rozginają się mimo woli pod ciężarem, który zaczyna opadać w dół. Łukaszczyk, drepając mu po piętach, chwiał się, chwycił powietrze szeroko otwartymi ustami jak ryba wyciągnięta z wody.

— Wprostować się... psia... — syknął przez zęby Staroń idący na końcu.

Stęknęli wszyscy naraz, skurczyli się i usiłovali wykonać rozkaz. Nie udało się. Ciężar gniotł ich coraz bardziej.



— Opuszczać... Powoli... Nie rzucać... — wykrztusił nagle Sowa, chyląc prawe ramię w dół. Czarna owalna bryła głucho uderzyła o spąg. Wyprostowali przygarbione plecy i patrzyli szeroko otwartymi oczyma na chropawą powierzchnię, jakby urzeczeni jej ciężarem. Brygadzysta odwinął zakasany rękaw i powoli ocierał pot z twarzy. Dopiero teraz poczuł dotkliwy ból w stawach prawej ręki. Chude nogi, ukryte w starych drelichowych spodniach, ugiwały się w kolanach i drżały. Takie nieprzyjemne uczucie nawiedzało go ostatnio coraz częściej, ilekroć dźwigał ciężkie stojaki, a cóż dopiero mówić o żelaznych rurach, które wgniatały stopy do ziemi.

„A no, lata — pomyślał sobie — pięćdziesiątka już przewaliła“. Dawniej nie czuło się tego, chociaż praca była o wiele cięższa. Myśląc o sobie wspomniął naraz Pyrchałę, który będąc młodszym od niego, zawsze cieszył się, że już za rok przysługiwać mu będzie emerytura. Słuchając jego paplaniny, złościł się zawsze, przyglądając się rumianej, okrągłej twarzy, która bynajmniej nie nosiła jeszcze śladów niemocy lub starości. W przeciwieństwie do Pyrchały, Sowa o emeryturze słyszeć nie chciał. Unikał tego słowa, starał się w rozmowie w ogóle wykreślić je ze swego słownika, bo w jego pojęciu emeryt to był już człowiek niedołężny, potrze-

bujący opieki ze strony innych. Myśląc o tym rozstawił szerzej nogi, wyprostował się i spojrzał na ludzi.

Łukaszczyk stał nadal ze zwieszoną głową, patrząc w dół. Staroń w milczeniu grubymi palcami zwił papierosa, tylko Kunert, najmłodszy z nich, wciął się niecierpliwie.

— Dopiero pięćdziesiąt metrów, a gdzież tam jeszcze zakręt!... Zamrudujesz nas, Sowa, dzisiaj tymi rurami...

— Można by kłaść od początku — dorzucił cicho Łukaszczyk.

Sowa pokręcił głową patrząc przed siebie. Nie wiadomo skąd nasunęła mu się nagle przed oczy biała, rozległa przestrzeń... Samochody, zamieć i dużo, dużo rur porozrzucanych wzdłuż szerokiej drogi, biegnącej nad brzegiem rzeki. Ale tamte z książki Ażajewa były o wiele większe i cięższe od tych, które obecnie znosili na dół. Stara wieczorami burczała, gnała go do łóżka, a on schylony nad stołem czytał i oderwać się nie mógł. Będąc w pracy, głęboko pod ziemią rozważał, porównywał i szukał w myślach wśród załogi kopalni „Elżbieta“ ludzi, którzy mogliby dorównać tamtym. Ba, dorównać, to może byłoby nieco za śmiało, chociaż kto wie... Szybka, zwinna Marta pracująca pod wysypem, chwilami do złudzenia przypominała mu odważną Tanie.

— Nie dla ciebie ta robota, Marto, nie dla ciebie... — mówili jej górnicy miesiąc temu. Nie wierzyli, że podoła tej ciężkiej a zarazem i odpowiedzialnej pracy. Myśleli, że po kilku dniach zniechęci się i ucieknie z powrotem na sortownię. Pył węglowy prószył jej w twarz, wciskał się do oczu, a ciężkie wozy nie zawsze chciały toczyć się wartko. Ale dziewczyna była uparta. Nikt nie wiedział, że pot, który ścierała z twarzy, nieraz był zmieszany ze łzami, gdy nie zdążyła na czas podstawić próżnego wozu pod wysyp. Po tygodniu jednak przemogła wszystko, a po dwóch nabrała pewności i wtedy spoglądała na mężczyzn z uśmiechem. Bywały jednak chwile, w których jej szare, duże oczy patrzyły wprost wyzywająco na nich i zdawały się pytać — czy już nie każecie mi wrócić na sortownię?... Nie mogli wytrzymać tego śmiałego spojrzenia. Zrozumieli, że ich przewidywania nie sprawdziły się.

A od czasu, gdy na zebraniu załogowym powiedziała, że pomoc nie jest jej więcej potrzebna i da sobie pod wysypem radę sama, zyskała sympatię i szacunek całej załogi.

Czy tylko ona jedna była podobna do tamtych ludzi z powieści Ażajewa?...

Sowa ocknął się z zadumy, spoglądając na ludzi siedzących pod ociosem. Łukaszczyk ze Staroniem gwarzyli. Kunert milczał stojąc osobno. Drelichowa bluza przesiąknięta potem przylegała szczelnie do jego ciała, odstawiając jedynie szyję i włochatą pierś. Niewysoki, ale krępy, dobrze zbudowany i młodszy wiekiem, odróżniał się od nich bardzo. Oparłszy o stojak swoją dużą, nieforemną dłoń, patrzył w głąb chodnika biegnącego ukośnie w dół.

— Przydałoby się najpierw uprzątnąć ten chodnik. Tyle tu różnego świństwa leży: drzewo, węgiel, rynny... — spojrzał w stronę Sowy, który kiwnął mu głową, ale potem nagle zaprzeczył:

— Czasu nie ma!...

— Hm, to prawda... Ale powiedz Sowa, o czym ty myślisz?... — zmieniał nagle temat i przysunął się ku niemu ciekawie zaglądając w oczy.

— O Marcie...

— O kim?... — zapytał zdziwiony — o Marcie?!... Ja myślałem, że nasz przodowy rozważa, jakby te rury lepiej ściągnąć w dół, żeby nam kości

nie pogruchotały. A on?... No, widzicie... On myśli o Marcie!... — Roześmiał się głośno, odrzucając głowę w tył i szczerząc rząd białych zębów... Łukaszczyk ze Staroniem przerwali cichą dyskusję i nastavili uszu.

— Podoba mi się ta dziewczyna — odparł spokojnie brygadzysta. — Naturalnie nie w tym sensie, że jest przystojna i młoda, czemu zresztą nikt z nas nie zaprzeczy. Ale gdzie mnie tam do niej — uśmiechnął się patrząc w dół. — Podoba mi się dlatego, że świetnie daje sobie radę — dokończył głośno.

— To prawda... Ale jej ojciec — Kunert pokręcił głową. — Eh, szkoda gadać! Leń i wałkoń — dodał po chwili, krzywiąc usta.

— Stary... Odpracował już swoje — mruknął Sowa.

— Stary, mówisz?... Nie przeczę — machnął ręką — ale i obijacz. Dlaczego wyniósł się od nas na nocną zmianę do Dominiczaka? Jak myślisz? Przecież Brada ludzi nie goni?

— Na nocnej zmianie nie ma wydobycia, robota łżejsza — wtrącił Staroń.

Kunert myślał przez chwilę.

— I w domu u nich nie bardzo... Stary upija się często, awantury wszczynają. Nie łatwe ma życie Marta...

Sowa potarł ręką czoło, spoglądając z ukosa na rurę.

— Ciężkie pieroństwo, ale nic nie poradzisz, trzeba znów brać na plecy.

— A może tak zawniemy kłaść od początku — Łukaszczyk ponowił swoją propozycję. Brygadzysta spojrział na niego, chciał mu odpowiedzieć, ale Staroń go uprzedził.

— Głupie gadanie. Ty myślisz, że na koniec chodnika rury same zajądą. Łysiejesz coraz bardziej, a rozumu wcale ci nie przybywa...

— Tamci doniosą... Z nocnej zmiany.

— Widzisz go! — odsunął się od niego mierząc go pogardliwym wzrokiem. — Czy ty myślisz, że oni są gorsi od nas, albo może mają więcej siły? Byłeś na zebraniu załogowym?

Łukaszczyk nie mu nie odpowiedział, nie bardzo wiedząc do czego zdążyć. Sowa zajął rękę w tył.

— Nie ma ci chłopcy — odparł spokojnie i pojednawczo — trzeba to brać na plecy i jazda!... Kunert ma rację, rury same nie zajądą. Tam czekają ludzie — wskazał ręką w dół.

Kunert ruszył pierwszy. Przysiadł, dźwignął, mało mu krew nie trysnęła z grubego karku. Pośpieszyli mu natychmiast z pomocą Staroń i Sowa. Między nich z niechęcią wsunął się Łukaszczyk. Stojąc chwilę w miejscu, osadzili rurę lepiej na plecach i na znak brygadzysty ruszyli w dół. Łukaszczyk stękał coraz bardziej, krzywił się, wiercił jak narowisty koń, nie chcący chodzić w zaprzęgu.

Kunert, włożąc mu na pięty, co chwilę kłął i wymyślał:

— Nie umiesz iść w nogę?... Raz... dwa... lewa!... Nie zginać się! — krzyczał mu w ucho.

— Dobrze ci mówić. Chłop jak niedźwiedź, żartów mu się zachciewa, a ja już kości nie czuję.

— Popracujesz z nami miesiąc, to się przyzwyczaisz.

Łukaszczyk nie odezwał się więcej. „Do pierwszego wytrzymam — myślał sobie — a potem przeniosę się na nocną zmianę do Dominiczaka”. „Diabli nadali — złościł się w duchu — nie lepiej było siedzieć na sortowni?... Dołu mi się zachciało”.

Przed zakrętem ostre światło reflektora zaświeciło im w twarz.

— Ciężko, chłopcy?

— Doniesiemy! Byle do zakrętu...

Brada przez chwilę obserwował nierówny chód idących, potem szybko zbliżył się i obok Łukaszczyka plecami podparł rurę. Ulżyło wszystkim. Sowa idący na przedzie wydłużył krok. W miarę zbliżania się do zakrętu, gęsta czerń zaczęła powoli rzednąć, ustępując miejsca bladej poświacie. W głuchy odgłos bijących młotów wplątał się niemilknący gwar ludzkich głosów. Górnicy nawotywali się wzajemnie, krzyczeli... Brada wyraźnie odróżniał spośród tej wrzawy podniesiony głos Harężłaka, dobrego pracownika, ale zawsze skłonnego do wszczynania awantur. Za zakrętem toczył się spór. Po chwili jasna luna zaświeciła im w twarz.

Widocznie i pracujący przy budowie rurociągu ich dostrzegli, bo oto nagle z grupy stojących ludzi wyskoczył ktoś do przodu i zaczął wywijać lampą.

— Uwaga!... — krzyknął Sowa i stanął w miejscu. W poprzek chodnika leżały dwie skrzyżowane rury, zagrażające przejście. O kilka kroków dalej zwisały złamane stropnice. Z boków bryły węgla naciskały na spróchniałe stojaki.

Niektóre z nich, wygięte w łuk, chyliły się coraz bardziej. Brada w jednej chwili ocenił sytuację. Groził zawał. Należało bezzwłocznie w tym miejscu wzmocnić obudowę. Ludzie Chorzeli, bojąc się wejść pod złamane stropnice, pozrzucali rynny i odeszli. Brada zdecydował się jednak iść dalej.

— Naprzód — mruknął półgłosem, patrząc przed siebie.

Ostrożnie przeszli zagrożony odcinek. Harężlak wciąż krzyczał. Pozostali umilkli, przyglądając się uważnie idącym. Pośród stojących Sowa dostrzegł zawiadowcę Wawrzacza i nadsztygara Krzoskę.

— Co tu u was za porządki, Brada? — krzyczał Wawrzacz ze złością. W żółtym świetle jego obwisła, nalana twarz, wyglądała starsza i brzydsza, niż była w istocie.

— Jak można budować rurociąg w takim miejscu, gdzie co chwila, co krok grozi zawał! — zawtórował Krzoska piskliwym głosem. Brada mocniej podparł plecami rurę i szedł dalej. Zdawało mu się, że w tej chwili cały ciężar legł mu na barki, a on dźwigał go z uporem sam, nie widząc nikogo. Zawiadowca dreptał tuż obok niego, sapiąc ze złości.

— Dlaczego nie wzmocnicie obudowy chodnika?

— Czasu nie ma — odpowiedział Kunert, wyraźnie niezadowolony. Zawsze go raził nieprzyjazny ton i wyższość, którą okazywał Wawrzacz. Byli już na miejscu.

— Nic strasznego — odezwał się Brada, opuszczając rurę na dół — uzupełni się...

— Uzupełni się... — sapał zawiadowca — trzeba było najpierw przebudować chodnik, a potem montować rurociąg. Taka robota diabła warta!

Na twarzy sztygara nie drgnął żaden muskuł. Stał w miejscu spokojny i zrównoważony, patrząc na długą wstęgę czarnych rur, ginących w dali.

— Sowa, przynieść stojaki i zabudować w tym miejscu — nie odwracając się wskazał ręką za siebie.

— Nie w tym, ale cały chodnik trzeba przebudować — pienił się Krzoska uderzając kilofkiem w spąg.

— Panie zawiadowco — Harężlak z młotem w ręku wysunął się nagle do przodu — my sądzimy, że rurociąg w tej chwili jest ważniejszy od przebudowy chodnika. My podjęliśmy zobowiązanie... Tu przecież chodzi o wykonanie rocznego planu!

Zakipiało nagle wśród ludzi. Górnicy zaczęli krzyczeć jeden przez drugiego.

— Co ważniejsze?... Gadajcie!... My tu staramy się, jak możemy, żeby z tym rurociągiem zdążyć na czas, do domu by ludzie nie szli, a oni przebudowę każą robić!... Co to znaczy?...

Hałas wzrastał się, ludzie popychali się wzajemnie i parli do przodu.

— Ależ ludzie, zrozumcie... Bezpieczeństwo, bezpieczeństwo najważniejsze! — starał się ich przekrzyknąć zawiadowca.

Krzoska dyskretnie usunął się w bok. „Do słowa nie dopuszczają, powiedziec nic nie dadzą... Ot, do czego już doszło“ — myślał ze złością, patrząc na Harężłaka, stojącego z młotem obok sztygara. Ten mu najwięcej dał się we znaki.

Najwięcej zdziwiony był Brada. Nie spodziewał się nigdy takiej jedności ze strony ludzi, którzy nieraz szli do pracy, ociągając się, a z początku nawet wygrażali mu za plecami. Ale to było już dawno, jakieś trzy, cztery miesiące temu. Wówczas jeszcze nie znali się wzajemnie.

— A czy zawiadowca widział, jakie niebezpieczeństwo grozi na ścianie? — zapytał spokojnie i spojrzał mu śmiało w oczy.

— Kryminał... Kryminał... — krzyczał Wawrzacz wywijając lampą. — Niechby tak ktoś z Urzędu Górniczego zjechał na dół i zobaczył wyrobisko w takim stanie!... W razie wypadku, kto za ludzi będzie odpowiadać?... Kto?... — przysunął się bliżej do Brady. Patrzyli chwilę na siebie z nietajoną złością. Spokój na twarzy sztygara zniknął, ustępując miejsca coraz większemu rozdrażnieniu. W końcu nie wytrzymał.

— Wobec tego ja w imieniu całej załogi oddziału siódmego pozwolę sobie zadać pytanie — powiedział twardo. — Czy mam natychmiast unieruchomić ścianę, przerwać budowę rurociągu z powodu złego stanu obudowy chodnika wentylacyjnego, albo dołożyć wszystkich sił i wykonać podjęte zobowiązanie. Proszę mi wobec ludzi na to odpowiedzieć?...

Zapanowała na chwilę cisza, przerywana gęstymi oddechami ludzi, którzy otoczyli ich zwartym kołem. Wawrzacz zamyślił się głęboko, pocierając czoło. Był wyraźnie zakłopotany i nie wiedział, co ma odpowiedzieć. Krzoska niespokojnie wiercił się w miejscu. Oczyma szukał luki, aby móc wyślizgnąć się z tego kręgu. Postanowił już więcej nie zabierać głosu. „Niech Wawrzacz sam decyduje“ — pomyślał w duchu.

— Hm, trzeba znaleźć jakieś wyjście — ozwał się Wawrzacz niepewnie po długiej przerwie ściszonego głosem. A jak wy myślicie? — zapytał chytrze, spoglądając na ludzi.

— My widzimy tylko jedno wyjście, panie zawiadowco — odparł Harężlak — ściana nie może istnieć bez podsadzki, której dopływ jest uzależniony od budowy rurociągu. I wobec tego najpilniejsza rzecz to rurociąg. Tak czy nie? — spojrzał dokoła.

— Plan musimy wykonać!... Rezolucję uchwaliliśmy na zebraniu... W gazetach o nas pisali — poparli go górnicy.

— Zgadzam się z wami w zupełności — zawiadowca nagle zmienił ton. — Diabła tam, przecież ja nie jestem wam przeciwny... Tylko... — urwał nagle szukając odpowiednich słów.

— My... My na odwrót, cieszymy się bardzo — wystękał Krzoska, przestępując niecierpliwie z nogi na nogę.

— I obudowę wzmocnimy miejscami, nie przerywając pracy. Ja wiem, że moi ludzie wszystko zrobią — powiedział Brada bardzo głośno, tak, aby go słyszeli nawet ci, stojący w tyle.

— Tak jest, zrobimy! — poparły go liczne głosy.

— A skoro tak, no to dalej chłopcy, bo czas ucieka — Harężlak ruszył nagle w tył, rozpychając długimi rękoma stojących ludzi. Wszyscy poszli za jego przykładem i po chwili znów ze zdwojoną siłą uderzyły młoty i zazgrzytały duże klucze.

Zawiadowca wytrącony z równowagi niespodzianą postawą ludzi długo nie mógł przyjść do siebie. Stojąc w miejscu patrzył tępo w przeciwny ocos. Był przyzwyczajony rozkazywać ludziom, a dziś stało się odwrotnie.

„Coś takiego dotąd w życiu mi się nie zdarzyło“ — myślał w duchu.

— Więc jak będzie? — Brada przerwał ciszę.

— Ludzie postanowili sami... — odparł cicho zawiadowca, wciąż patrząc w jedno miejsce. Widocznie moja ostateczna decyzja już nie była potrzebna. — Potem nagle zdławiwszy w sobie chwilową niemoc, odwrócił się, spojrzał na sztygara wyniosłym wzrokiem i powiedział: — Nie wchodzę w to, czy decyzja ludzi była słuszna czy nie, ale w razie wypadku oni nie będą odpowiadać, tylko wy!...

— To znaczy sztygar oddziałowy. Mamy świadków, że wam zwracaliśmy uwagę — pośpieszył dorzucić nadsztygar Krzoska wydymając pogardliwie usta. Po odejściu ludzi czuł się o wiele pewniej i znów nabrał tupetu.

Brada nic nie odpowiedział. Wpatrzony w odbłask światła, migających w dali i wsłuchany w przyspieszony rytm pracy, nie zauważył nawet ich odejścia. Stojąc przy ociosie, rozważał głęboko w myślach to wszystko, co miało miejsce przed chwilą i zrozumiał, że między nim a ludźmi istnieje nierozzerwalna więź.

— Tak musi być — powiedział sobie idąc z powrotem na najbardziej zagrożony odcinek, na ścianę. Był teraz pewny, że rurociąg będzie wydłużać się z godziny na godzinę...

III.

Sztygar zmianowy Dominiczak ociężałym krokiem szedł przekopem w stronę oddziału siódmego. Ledwie dostrzegalny drwiący uśmiezek wyglądał zmarszczki na jego okrągłej twarzy. Małe niespokojne oczy, osadzone głęboko, chwilami mrużyły się, nabierały dziwnego blasku i wtedy Szymikowi zdawało, że w wąskich źrenicach sztygara rozpala się ukryty płomień. Idąc obok niego, co chwilę ukradkiem spozierał na zacisnięte usta i czekał, aż wreszcie stary przemówi.

Ale Dominiczak od pewnego czasu nosił swoje myśli głęboko ukryte. Mało interesował się budową rurociągu, a jeszcze mniej troszczył się o ścianę. Pozornie obojętny na wszystko, dziwnie chłodny i milczący, wykonywał jednak dokładnie zlecenia Brady. Nigdy nie zmieniał jego decyzji i nie dyskutował na ten temat ani z nim, ani z ludźmi. Tylko czasem, gdy młody, niedoświadczony jeszcze zwierzchnik popełnił jakiś błąd, tajemniczy, złośliwy uśmiech wypływał na jego okrągłą twarz. Brada początkowo starał się zbliżyć do niego, pragnął pozyskać sobie człowieka, który nabył wiele doświadczeń w ciągu długoletniej pracy. Ale przedwojenny sztygar, chłodny i wyniosły w stosunku do ludzi, taki sam okazał się i dla niego. Nie mając pomocy ze strony Dominiczaka, młody technik mocno zbliżył się do załogi. Z początku nieraz błędził, ryzykował, mylił się, ale potem, ucząc się na popełnionych błędach, nabierał doświadczenia. Mocna i szczerą więź z załogą torowała mu drogę do dalszych osiągnięć. Swą prostotą i szczerością ujął ludzi, czego nigdy

nie potrafił zrobić wyniosły Dominiczak, starający się na każdym kroku podkreślić swą wyższość.

Szymik spoglądał na twarz sztygara. Drwiący uśmieszek na ustach i dziwny, niecodzienny blask jego oczu wzbudzał w nim niepokój. Przez długi czas szli dalej w milczeniu obok siebie, pogrążeni w swoich myślach. Powoli twarz Dominiczaka wracała do swego normalnego wyglądu, a potem zasepiła się bardziej niż zwykle i posmutniała.

W chodniku przewozowym, do którego weszli, powietrze było duszne i przesiąknięte zapachem butwiejącego drewna. Stary nagle jakby ocknął się, szybkim ruchem wyciągnął zegarek, spojrzął, a potem wydłużył krok. Po chwili wysunął się znacznie naprzód i szedł już prosto ku jarzącym się światłom. Ludzie z nocnej zmiany czekali na przydział pracy. Siedząc jak zwykle rzędem po obu stronach chodnika rozmawiali z cichą między sobą. Niektórzy z wyciągniętymi nogami drzemali, oparłszy się o stojaki, a kilku nawet zdążyło na dobre zasnąć.

Sztygar bez słowa, niepostrzeżenie prześlizgnął się obok nich i szybko wszedł do wnęki, gdzie stało podwyższenie sklecone z nieheblowanych desek.

Zrzucił z siebie kapotę i podniósłszy nieco w górę swoją błyszczącą lampę, zawołał szorstko:

— Skończyć drzemkę! Tu jest kopalnia, a nie dom noclegowy!

Przyglądali mu się z pod przymkniętych powiek, ale żaden nie chciał ruszyć się z miejsca. Wreszcie któryś ziewnął głośno i odezwał się:

— Wstowej Francik, bo sztajger przyszoł... A zły jak pieron...

— Doczkaś trocha, aż oczy przetrza... Nic nowego żeś mi nie pedzioł...

— A! bo to sztajger był kiedy wesół?... — mruczał pod nosem Magosz, przecierając zaspane oczy. Ktoś parsknął śmiechem, inni mu zawtórowali.

Dominiczak łypnął okiem w ich stronę, bez słowa wyciągnął z kieszeni notes, przewrócił kilka zatłuszczonych kartek i zaczął przewoływać.

— Strugała...

— Jest!... odpowiedział głos z dala.

— Zmarzłok...

— Tukej!... — człowiek leżący pod ociosem dźwignął rękę w górę.

— Będziecie rynny transportować...

Zmarzłok stęknął, podwinął nogi pod siebie i usiadł.

— Panie sztajger, dyć jo ze szpitala niedawno wyszoł. Pamiętacie, jak to mnie strzaskalo przed miesiącem przy budowie tamy?... — odezwał się płacziwym głosem, pocierając sobie twarz.

— Do rynien trza chłopca mocnego — mruknął Szymik patrząc spode łba.

Dominiczak uderzył lampą o stojak. Niebieskawy płomień syknął i wystrzelił w górę spiczastym ostrzem.

— To może pójdziesz do transportu przenośnika pancernego?... — uśmiechnął się cynicznie patrząc do notesu. Zmarzłok niechętnie wstał.

— Dyć to jeszcze gorsza robota, panie sztajger.

— Na kopalni nie ma roboty gorszej czy lepszej — krzyknął Dominiczak — za darmo chcielibyście pieniądze brać!... Najlepiej ot tak, leżeć sobie pod ociosem jak ci — wskazał ręką w kierunku zwalonych stojaków; siedział tam stary cieśla Krupniok, Stachura i paru innych.

— Jo wiem, ale jo jest jeszcze za słaby do noszenia rynien... — Zmarzłok chwiejnym krokiem szedł w stronę podwyższenia. Sztygar ze złością ściągnął brwi.

— Tukej, patrzcie, lekarz mi przepisał lżejszą robotę. O, patrzcie... — powoli sięgnął w zanadrze, wyciągnął różową kartkę i podsunął sztygarowi.

Dominiczak szybko przebiegł pismo oczami, potem ze złością odtrzącił jego rękę.

— Samych obijaczy i leniuchów posyłają na nocną zmianę... Ale zaczekajcie! Wy jeszcze będziecie robić... — krzyczał w stronę ludzi, potrząsając pięścią. Zmarzłok, jakby przytłoczony potokiem jego słów, przygarbił się i wrócił na swoje miejsce.

— Wy jeszcze będziecie zdychać... — syknął Dominiczak przez zacisnięte zęby.

Ludzie jednak usłyszeli te słowa.

— Nie, panie Dominiczak — ozwał się Szymik — my już nie będziemy zdychać! — My zdychali przed wojną w biedaszybach, my zdychali, szukając pracy wtedy, gdy panu się dobrze powodziło. To przed wojną mógł pan powiedzieć robotnikowi, że jest niepotrzebny i może zdechnąć z głodu. Ale te czasy już nie wrócą, o nie, panie Dominiczak. Skończyło się!

— Z ludźmi trzeba dzisiaj inaczej mówić, bo nie wiadomo, na kogo najpierw przyjdzie kolej — krzyknął ślusarz Gondzik, stojący niedaleko podwyższenia.

Jakiś niewyraźny pomruk przewalił się przez grupę ludzi. Zanosilo się na grubszą awanturę. Krew uderzyła Dominiczakowi do twarzy. Długo miał słowa w ustach, schylony nad notesem, ale nic nie powiedział. Potem zaczął szybko wywoływać kolejno nazwiska i wyznaczać pracę. Ludzie wstawali niechętnie, krzywili się i ociągali jakby na złość. Odchodzili powoli, rzucając mu jeszcze nienawistne, wrogie spojrzenia. Trzech poszło roznosić pył kamienny, dwunastu do budowy napędów, kilku do innych prac, a reszta do transportu przenośnika pancernego, którego części leżały poskładane w wozach. Brada w książce raportowej polecił je przenieść i ułożyć w pobliżu ściany. Nie podobało się Dominiczakowi zarządzanie sztygara oddziałowego. „Ale co to mnie obchodzi — myślał z ukrytą złośliwością. — Jeżeli ściana runie, jeżeli oprócz rynien i napędów zawali przenośnik pancerny, wina Brady będzie jeszcze większa. A wtedy... Wtedy może przypomną sobie wreszcie o Dominiczaku, który przed wojną piętnaście lat był sztygarem oddziałowym”...

Stary Buchta z założonymi rękoma siedział na stojakach i obojętnie przyglądał się zamyślonemu sztygarowi. „Roboty mi dotychczas nie przydzielił — myślał sobie — może jestem dzisiaj niepotrzebny. Eh, przydałoby się tak przespać gdzie za tamą...” — Spojrzał na sinawy płomyk i ziewnął głośno.

Dominiczak nagle ocknął się ze swoich rozmyślań. Przysłonił ręką oczy, przyglądając mu się uważnie i jakby ze zdziwieniem. „Co temu dać?” — zastanawiał się chwilę. Wreszcie przypomniał sobie, że Brada w raporcie polecił skontrolować rurociągi.

— Buchta!... — odezwał się głośno — dzisiaj po południu skończyli montaż rurociągu. Pójdiesz do komory, weźmiesz duży klucz i dokładnie skontrolujesz wszystkie połączenia, bo jutro z rana popłynie zamułka. Zrozumiałeś?...

— Co bym nie miał zrozumieć! — odparł Buchta.

— No to idź...

Stary, nie śpiesząc się, nabił fajkę, zapalił, zwłókl się ze stojaków i po-człapał w stronę ściany.

IV.

Buchcie początkowo zdawało się, że za nim ktoś cicho stąpa, skrada się potajemnie i pełźnie po nierównym spągu. Czasem jakiś cichy, niewyraźny szmer doleciał do jego uszu, czasem jakby ciężkie westchnienie i stłumiony jęk odezwał się w czarnej pustce. Człowiek coraz częściej przystawał w miejscu, odwracał się i podniósłszy lampę wysoko nad głową wpatrywał się w czerń wyrobiska.

W pewnej chwili, słysząc wyraźny trzask z lewej strony, ruszył przed siebie nad słuchując uważnie. Ale nikogo tam nie było, tylko szary, wilgotny piaskowiec zwisał nad jego przygarbioną postacią. Przyglądał się chwilę skale i oto kamień znów stęknął głucho, jakby chciał powiedzieć: nie bój się, to ja...

— Ach, to ty... — mruknął Buchta patrząc na niewyraźne rysy, które podobne do nici pajęczych rozbiegały się we wszystkich kierunkach.

— Kiedy runiesz? — zapytał patrząc na sfałdowany strop. Zimny kamień milczał tajemniczo, błyszcząc w bladym świetle kroplami wody.

— Pocisz się — szepnął Buchta. Potem ścisnął w rękę duży klucz, odwrócił się i poszedł w stronę rurociągu. Długi cień chwiał się za nim i ciągnął za sobą gęsty mrok.

Za tamą, oddzielającą wybraną pustkę od ociosu, z cicha rozmawiali ludzie.

Buchta chwilę przysłuchiwał się rozmowie, potem sprawdził połączenia i ruszył w górę. Kamień stękał coraz głośniej... W chodniku wentylacyjnym za tamą było cicho. Nie przenikały tu głosy ludzi pracujących przy budowie napędów, nie dochodził groźny pomruk kamienia, pękającego w wybranej pustce.

Buchta szedł powoli, odpoczywał co chwilę i próbował walczyć z sennością, która ogarniała go coraz bardziej. W kilku miejscach spróbował kluczem dokręcić śruby. — Potem machnął ręką — nie chciało mu się zginać.

— Na pewno wszystko w porządku — myślał sobie — a zresztą i jutro będzie czas. Co teraz można zobaczyć?... Tyle śrub... Trzeba byłoby ślezczyć nad nimi aż do rana. Jak popłynie zamułka, to wówczas lepiej się skontroluje — uspokajał siebie.

Nogi szły coraz wolniej, słabły i zginały się w kolanach. Przyspieszone tętno mocno waliło w skroniach. Nagle w uszach rozdzwoniła się cisza różnymi głosami, zaświeciły w oczach jakieś różnokolorowe gwiazdy i wolno opadły w dół... Stary oparł się o stojak, objął go rękoma i ciężko osunął się na spąg. Patrzył przez chwilę na rurociąg podobny do olbrzymiego pnia i na kopcający płomień lampy. Potem jeszcze raz spróbował podeprzeć się rękoma i wstać, ale jakiś niewidoczny ciężar gniótł go ku ziemi. Nie miał siły z nim walczyć. Głęboko wciągnął w piersi wilgotne, stęchłe powietrze i zamknął oczy.

Zdawało mu się, że z przerażającą szybkością leci w głęboką przepaść.

*

A na powierzchni szalała wichura...

Po północy nad osiedle górnicze napłynęły czarne chmury, nabrzmiące deszczem. Porywisty wiatr na chwilę przyczajał się za ścianami domów, potem sywał suchymi liśćmi w okna i przewaliwszy się przez dachy, gnał wyjąc przed siebie. Szarpał koronami drzew, gwałcił je ku sobie, a po-

tem, wpadłszy niespodzianie w gąszcz splątanych gałęzi, rozdzierał je z przeraźliwym wyciem.

Z dzikiem świstem przedarł się przez gałęzie drzew, wpadł na drogę, odnalazł człowieka... Doskoczył do niego, zerwał czapkę z głowy i rzucił w twarz strugę zimnego dżdżu. Człowiek zatrzymał się na chwilę, zasłonił oczy rękoma, nastawił kołnierz i poszedł dalej w stronę kopalni. Przygasły dalekie światła sortowni omotane gęstą zasłoną deszczu, zasnuły się czernią szyby i wysokie chłodnie. Droga wysadzana drzewami tonęła w nocnym mroku i zdawała się nie mieć końca. Człowiek wciąż szedł...

V.

O godzinie trzeciej nad ranem sztygar Brada zjechał na dół. Myśl o jutrzejszym dniu nie dawała mu spokoju. Nie mogąc zasnąć, kilka godzin leżał z otwartymi oczyma, patrząc w czarne okna, za którymi hulał jesienny wiatr, potem szybko ubrał się i niepostrzeżenie wyszedł z domu. Długo błądził samotnie wśród uśpionych domów aż wreszcie, sam nie wiedząc kiedy, znalazł się na drodze wiodącej do kopalni. A potem szedł już tylko prosto przed siebie, nie czując przejmującego zimna i wzmagającej się wichury.

I oto teraz idzie przekopem w stronę oddziału siódmego, tym samym przekopem, którym kilka godzin temu szedł sztygar zmianowy Dominiczak. Stąpa po oślizgłych podkładach, pogrążony w myślach i nie widzi, że z naprzeciwko zbliża się podziemny pociąg. Światło reflektora, podobne do olbrzymiego oka, pełźnie nisko nad szynami, coraz większe, coraz jaśniejsze... Maszynista elektrowozu wychyla się, dzwoni z całych sił, potem widząc, że człowiek nie schodzi z drogi, gwałtownie puszcza w ruch hamulce. Przeraźliwie zgrzyta suchy piasek pod kołami rozpędzonej maszyny, tryskają iskry, w straszliwym łoskocie uderzających o siebie żelaznych wozów ginie przekleństwo maszynisty...

Brada w ostatniej chwili skoczył w bok. Chciał oprzeć się plecami o kamienny ocios, ale ten jakby rozstał się nagle i wchłonął go w siebie. Brada padając na wznak, usłyszał głucho uderzenie drzwi na sprzęzynowych zawiasach.

Przez chwilę, leżąc nieruchomo na ziemi, wsłuchiwał się w niewyraźny, ginący odgłos toczących się wozów, a potem zapanowała cisza. Co to jest?... Sztygar oparł się na łokciach, drżącymi rękoma zapalił lampę i rozglądał się dokoła jakby zbudzony ze snu. W górze nad nim szerokim łukiem wyginały się rury podsadzkowe. Na dole chyliły się ku ziemi nadłamane stojaki. Co to jest?...

Szeroko otwarte oczy długo i uważnie wpatrywały się w czerń pochylego wyrobiska. I raptem wszystko stało się jasne. W tych rurach za kilka godzin popłynie zamułka, piasek z wodą zaleje wybraną pustkę. A wtedy?... Wtedy już nie będą straszyć ludzi te stare zroby. Sztygar uśmiechnął się i ruszył chodnikiem wentylacyjnym w dół.

Niespokojny snop światła z reflektora wybiegał chyżo naprzód, prując swym ostrzem gestwę podziemnego mroku. Leciutko muskał wygięte stropnice, ślizgał się po stojakach, aż nagle zadrżał i zatrzymał się nieruchomo na czarnej bryle.

Brada stanął w miejscu. Trzymając lampę na wysokości twarzy, przez chwilę wpatrywał się uważnie w nieruchome ciało człowieka, leżącego na środku chodnika.



Potem podbiegł szybko, schylił się i zaświecił w twarz. Człowiek zacisnął powieki, wybełkotał przez sen kilka niezrozumiałych słów i obrócił się na drugą stronę. Sztymar chwycił go za rękę, szarpnął mocno raz i drugi. Buchta otworzył oczy. Przez chwilę przyglądali się sobie w milczeniu.

— Zamroczyło was?...

Stary długo przecierał oczy, jakby chcąc zyskać na czasie. Potem usiadł niezgrabnie i otarł ręką usta.

— Osiąłem... Sam nie wiem, kiedy i jak. Dokręcałem śrubę, klucz wypadł mi z ręki, tchu nagle zabrakło. Rurociągu całego nia skontrolowałem — dodał cicho, szukając zapalek w kieszeni. — Czy to już ranna zmiana przyszła? — podniósł głowę do góry, patrząc mętными oczyma na sztygara.

— Nikt tu nie przychodził oprócz was? — zapytał nerwowo Brada, myśląc o Dominiczaku. Stary poruszył plecami.

— Zdaje się, że więcej, nikogo nie było. A zresztą ja nie wiem — odpowiedział niedbale, nabijając fajkę.

— To źle... To źle..., że rurociąg nie skontrolowany — szeptał zamyślony Brada.

Gdzieś na dnie duszy zrodził się niepokój. Złe przeczucie zaczęło go ogarniać. „Tak oto sprawę potraktował Dominiczak — najważniejszą sprawę“ — myślał patrząc na starego, który w milczeniu ćmił fajkę.

Za kilka godzin popłynie zamułka. „Jak to będzie?“ powiedział Brada patrząc na rurociąg. Słowa pobiegły gdzieś w dal i zamarły w głębi chodnika. Buchta pocierała czoło i spluwał co chwilę.

— Głowa boli — stęknął próbując powstać. Brada podał mu rękę.

— A ściana?

— Na ścianie straszno.

— Dlaczego?

— Kamień trzeszczy... Miejscami widać już wyraźne rysy — wyszeptał stary.

Światło lampy na chwilę przygasło w oczach Brady.

„Ściana nie wytrzyma... ściana runie“ — uderzyła mu nagle do głowy ostra, natrętna myśl. Zagłuszyła wszystko i kazała nawet zapomnieć o nieskontrolowanym rurociągu. Brada postanowił iść na ścianę. Już zaraz, natychmiast iść i czekać, aż przyjdą ludzie z rannej zmiany, aż popłynie zamułka.

Buchta wciąż stał w miejscu, nie wiedząc, co począć. Spoglądał w milczeniu na zasmuconego sztygara, który umilkł nagle i stał w miejscu taki przygnębiony i bezradny, jak gdyby już teraz spotkało go jakieś nieszczęście.

— Co mam robić, sztygarze? — zapytał cicho, trzymając w ręku duży klucz.

Brada był już myślami daleko, tam, gdzie może za kilka godzin rozstrzygnie się wszystko.

— Idźcie pod szyb — powiedział bezdźwięcznie i nie czekając, aż stary odejdzie, szybko ruszył chodnikiem w dół. Potem zaczął biec. Potknął się, uderzył głową w stojak i znowu biegł gnany straszliwą myślą.

— Ściana nie wytrzyma... ściana runie... — szeptał mu bez przerwy jakiś tajemniczy głos.

W wylocie chodnika stali ludzie. Po skończonej dniówce zebrali się wszyscy razem i przysłuchiwali się z niepokojem głuchym trzaskom kamienia. Patrzyli w stronę ściany. Brada, biegnąc z góry, wpadł między nich. Rozproszyli się nagle jak stado gołębi, w które niespodzianie wpadnie drapieżny jastrząb, a on, nic nie mówiąc, rozgarnął ich rękoma i wysunął się na czoło. Wtedy znów skupili się wszyscy koło niego smutni, zadumani...

— Wyje przekłęty przez całą noc, grozi, ludzi straszy — szepnęła Szymik.

— Niegdyś starzy górnicy mówili, że to Skarbnik po nocach chodzi. Opowiadał nam stary Furdzik, że pięćdziesiąt lat temu pewien młody górnik nasłuchawszy się tych baśni i legend, poszedł w stare zroby szukać Skarbnika z dużą, siwą brodą. I rzeczywiście, w pewnej chwili, gdy już widział dalekie światła pracujących ludzi, wyrosła przed nim niespodzianie jakaś brodata postać. Chłop myśląc, że to już koniec, ryknął z całej siły i domniemanego ducha zdzielił pięścią między oczy... Zwalili się obaj na ziemię i zaczęli się szamotać, waląc na oślep, gdzie popadło.

— Nie wiadomo, który się bardziej zląkł — roześmiał się głośno Gondzik. Szymik nieznacznie przymrużył jedno oko i przytaknął głową.

— Ale widocznie duch był słabszy, bo po chwili zakrył głowę rękoma, obrócił się twarzą do ziemi i zaczął jęczeć głucho. Wtedy górnik siadł mu na plecach i — namacawszy po ciemku brodę, zaczął ją targać z całej siły!... Ludzie, słysząc w zawałiskach jakiś hałas, przerwali pracę i zaciekawieni przybiegli na miejsce wypadku. I coś się okazało?... Nie był to żaden duch, ale jakiś tam szpieg i donosiciel, którego wszyscy znali, że nieraz czaił się w starych zrobach i nadśluchiwał, czy górnicy nie knują czegoś. Bo to wiecie, w owych czasach były strajki.

— A to dobrze mu zrobił, to dobrze — cieszył się Gondzik. Tak się przejął opowiadaniem, że zapomniał o wszystkim.

— Tak to nieraz bywało w owych czasach — zamyślił się Szymik. — Ale tam nie Skarbnik — wyciągnął rękę w stronę ściany — tam kamień przekłutnik... No, nie wiadomo — machnął ręką — może się jeszcze uspokoi. Zamułka zaleje, wypełni puste wyrobisko i nasz sztygar oddziałowy będzie mógł w nocy spać spokojnie.

Spojrzał wokół siebie, szukając go oczyma, ale Brady już nie było.

VI.

Buchta szedł powoli pustym przekopem w stronę szybu. Chwilami здавало mu się, że to był jakiś dziwny sen. Najpierw ściana, potem chodnik wentylacyjny, rurociąg... Na nocnej zmianie jest przecież sztygar Dominiczak, a skąd się nagle zjawił Brada? I gdzie znikł? Stary początkowo gubił się w domysłach, patrząc nieprzytomnie dokoła. Potem cofnął się myślami wstecz do tej chwili, gdy samotny błądził w starych zrobach i wtedy przypomniał sobie, że Dominiczak kazał mu wziąć klucz i skontrolować połączenia rurociągu. Ale co było potem?

Przystanął na chwilę i ukrył twarz w dłoniach.

Potem niewiadomo skąd przyszedł Brada, pomógł mu wstać i kazał iść pod szyb.

A gdzie klucz? Pomacał ręką torbę, spojrzał bezradnie na puste ręce i zmarszczył czoło. Tak... Brada pytał, czy nikogo przy nim nie było... A klucz pewnie tam został. Wahał się przez chwilę, czy nie wrócić, potem machnął ręką i ruszył naprzód, pogrążony w swoich myślach.

Na podszybiu jaskrowe światło zaświeciło mu w oczy. Buchta stanął w miejscu, otrząpął z grubsza pył węglowy z ubrania i rozejrzał się dokoła. Sygnalista drzemał, siedząc na ławie. Obok niego stała Marta, trzymając w rękę pęk blaszanych znaczków.

— Co ty tu robisz? — zdziwił się stary, przyglądając się jej uważnie.

— A ojciec czemu tak wcześniej pod szyb? — zapytała dziewczyna nie mniej zdziwiona. — Nie było nic do roboty?

— A nie było — ziewnęła, przecierając oczy. — Brada posłał mnie do domu.

— Brada? Brada już na dole? Dlaczego? — przysunęła się do niego bliżej, marszcząc czoło. Stary rozglądał się dokoła szukając miejsca, gdzie można by usiąść.

— To się go pytaj, kiedyś taka ciekawa. Ja nie pytałem — burknął niechętnie, odwracając głowę w bok.

— Może ściana?... Niech ojciec powie? — chwyciła go gwałtownie za rękę.

Buchta cofnął się krok w tył. Zmierzył ją od stóp do głowy pogardliwym wzrokiem.

— Nic się nie stało. Babska ciekawość — mruknął, siadając na kłocu — a gdyby ściana, no to co? Podeprzesz ją plecami? Ale idź już, idź...

Marta, widząc jego zły humor, zaciśnęła usta, zawróciła i ruszyła szybko przed siebie. Na przekopie spotkała ludzi z nocnej zmiany. Górnicy tym razem szli zwartą grupą żywo dyskutując między sobą. Szymik wymachiwał rękoma, inni co chwilę zaprzeczali mu i przerywali.

Dziewczyna przystanęła w miejscu, nadsłuchując uważnie, ale trudno było zrozumieć, o czym toczy się rozmowa.

Gondzik, który tymczasem wysunął się do przodu, dostrzegł ją pierwszy. — Nie idź Marto, nie idź, przestraszysz się — krzyczał wymachując rękami.

Dziewczyna jakby na przekór tym słowom szybko przyspieszyła kroku. Po chwili grupa mężczyzn otoczyła ją zwartym kołem. Górnicy przyglądali się jej ciekawie, podnosili lampy w górę i świecili w oczy.

— Co ty tak lecisz? — zapytał zdziwiony Szymik.

— Zawsze idę wcześniej od innych. Skontroluję, czy pod wysypem wszystko w porządku, czy znaczki pozapinane do pustych wozów. No, jak zwykle. Czemu się dziwicie? — spojrzała im w oczy. — A lękliwa nie jestem — dodała po chwili potrząsając głową.

— Ty dziewczyno nie słyszałaś jeszcze, jak kamień stęka. Ty jeszcze nie wiesz. Niejednemu staremu górnikowi niedobrze się robi. Ale idź, przekonasz się — powiedział Szymik poważnie. Górnicy potakiwali mu głowami.

Marta chwilę w milczeniu spoglądała na nich. Chciało się jej zapytać, czy rzeczywiście Brada jest już na dole, ale nie wiedziała jak. Mogą pomyśleć, kto wie co, a potem będą głupstwa opowiadać.

— Pójdę. Zobaczę, czy to takie straszne. Górnikiem jestem — podniosła głowę do góry.

Umilkli wszyscy, patrząc jak biegnie. Światło lampy migало w dali coraz szybciej, podnosiło się i opadało na przemian, aż wreszcie znikło, rozplywając się w gęstym mroku.

— Biegnie... — powtórzył jak echo Szymik po długiej przerwie — a my? Czy nie trzeba nam było zostać i zaczekać? Może Brada potrzebuje pomocy?

— Co on tam może zrobić — przerwał mu Borowiec — pewnie stoi, patrzy i czeka, co się stanie. I co byś ty zrobił, no powiedz, co?

Szymik westchnął.

— Rzeczywiście, człowiek czasem jest bezradny — odparł zakłopotany.

Stali jeszcze przez chwilę, spoglądając na siebie, potem wolnym krokiem poszli w stronę szybu.

Pusto było pod wysypem. Marta spojrzała na wozy i przecisnąwszy się między drewnianymi stosami, powoli zaczęła wspinać się do góry wzdłuż szerokiej taśmy. W ciągu kilku dni zmieniło się tu wszystko do niepoznania. Między starymi zrobami a calizną wyrosła tama podsadzkowa, zza której do uszu dziewczyny dolatywały jakieś dziwne, niewyraźne szmery. Chwilami zdawało się, że gdzieś w dali słychać odgłos stłumionych kroków. Czasem dobiegło do niej jakby ciche, a zarazem głębokie westchnienie.

Czyżby to był człowiek?... Marta przystanąła w miejscu i spojrzała za siebie, nad słuchując uważnie. Chwiejne światło lampy popłynęło wzdłuż rynien w dół i utonęło w czarnej pustce. Zawahała się przez chwilę, czy nie lepiej wrócić i poczekać, aż przyjdą ludzie... Ale gęsty mrok wabił ją do siebie i ciągnął do góry. Chwilami, gdy syczący płomyk podnosił się wyżej, cień uciekał w dal szybki i nieuchwytny, krył się, czał w załomach, a potem znów wylazł z głębokich szczelin i wiódł ją za sobą, ustępując niechętnie przed światłem. Po pewnym czasie kamienny strop za tamą jakby obudził się z drzemki i przypomniał o sobie. Stęknął głucho i zatrzeszczał jak świeży, jesienny lód pod stopami ludzi.

— A jednak to straszne — pomyślała sobie patrząc na szczelną tamę. „Wróć Marto, wróć!“ syczał niespokojnie sinawy płomyk lampy. Coraz większy strach zaczął ją ogarniać.

Gdzieś w dali podniosło się w górę światło, zawisło przez chwilę w czerni, trzymane w niewidocznym ręku i znów opadło w dół, ale nie zgasło. Tam był człowiek...

Brada na chwilę przerwał pracę, wyprostował się i przystłoniwszy ręką oczy patrzył w dół. Kto to może być? Dominiczak? Ale to nie był ociężały chód sztygara zmianowego. Ktoś szybko wspinał się do góry. Sztygar schylił się, postawił lampę na spąg i znów zabrał się do rozkręcania rynien. Zanim zdążył wyprostować plecy po raz drugi, Marta już była przy nim. Przez chwilę spoglądali na siebie szeroko otwartymi oczyma.

— Pocóż tu przyszła?

Dziewczyna milczała.

— Dlaczego przyszłaś? Tu niebezpiecznie... Słyszysz? — potrząsał mocno jej ramieniem. Ocknęła się.

— Widziałam ojca na podszybiu. Mówił, że posłaliście go do domu, bo nie było co robić. Potem spotkałam górników z nocnej zmiany... Straszyli mnie... Ja nie wiem sama, po co tu przyszłam. Coś mnie ciągnęło na ścianę.

— Straszyli — powtórzył cicho sztygar. — Więc po co przyszłaś?

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

— Pomogę wam — odparło wymijająco.

Brada spoglądał na nią spod przymkniętych powiek.

„Co jej odpowiedzieć?“ — myślał w duchu. Marta patrzyła w głąb wyrobiska.

— Co to ma znaczyć? — zmarszczyła czoło. — Dlaczego rozkręćcie rynnę? Dlaczego tu nikogo więcej nie ma? Tak pusto, głucho...

Sztygar nagle ocknął się.

— Widzisz Marto, rozmyśliłem się — powiedział cicho. — Nie można ludzi narażać na niebezpieczeństwo. Ściana lada chwila może runąć. Słyszysz, jak kamień trzeszczy?

— A wydobyć? Co będzie z wydobyciem?

Brada wciągnął szeroko powietrze do płuc i rozłożył ręce.

— Co będzie? Ja nie wiem Marto. Ale życie ludzkie jest droższe.

— To znaczy planu nie wykonamy. Co na to powiedzą ludzie? — wyszeptowała ledwo dosłyszalnym głosem. — A ja tak się śpieszyłam — westchnęła — aby wszystko przygotować, aby sprawdzić i potem nie mieć żadnych przeszkód w czasie pracy. Sztygarze, został już tylko tydzień. Co będzie?

— Tydzień, to dużo, Marto — odparł Brada.

Długo patrzyli sobie w oczy.

— Nie martw się Marto — powtórzył mocno. — Mam pewien plan. Zależy tylko, jak ustosunkują się do niego ludzie.

— Dominiczak wam coś poradził?

Brada w milczeniu pokręcił głową.

— Dominiczak... Dominiczak... — powtórzył kilka razy zamyślony, patrząc w ziemię.

VII.

Ostry, przenikliwy głos syreny kopalnianej przygłuszył na chwilę jednostajny warkot maszyn w sortowni. Zdawało się, że lśniące tryby, obracające się w łożyskach, zalanych czarną posoką oliwy, zwolniły na chwilę swój bieg. Było to jednak złudzenie. Rozpędzone koła zębate wgryzały się wzajemnie i szarpały olbrzymie, pochyłe ruszta, napełnione węglem. Poprzez szpary unosił się do góry czarny pył. Czepiał się żelaznych konstrukcji, kołysany podmuchem powietrza krążył leniwie koło jasnych lamp i osiadał miękkim puchem na dużych szybach.

Kunert trzymając na ramieniu ciężki młot oparł się o poręcz schodów i spoglądał na szyb, skąd w krótkich odstępach czasu wynurzała się klatka, wyrzucając na powierzchnię górników z nocnej zmiany. Tuż obok po żelaznych schodach płynął jednostajnie nurt ludzi, dziwnie podobnych do siebie. Jedni szybko schodzili w dół, drudzy powoli wspinali się do góry, mijali go i ustawiali się szczerlnie po obu stronach żelaznych krat, czekając na zjazd.

Sowa, stojący kilka kroków dalej, wiercił się niespokojnie. Co chwila wznosił się na palcach i rozglądał na wszystkie strony. Oczywiście szukał Brady.

— O czym myślisz, Sowa? — zagadnął go Kunert, przysuwając się bliżej.

— Szytgara szukam — odparł półgębkiem brygadzysta, patrząc na żelazne rusztowania.

— Nie szukaj. On już tam — Kunert wskazał w dół. — Nie wiadomo, co jest. Ludzie opowiadają różne rzeczy. Podobno już w nocy zjechał na dół. Coś tam nie jest w porządku.

— Ale ściana stoi?

— Kto to może wiedzieć. Żeby tak jeszcze kilka dni... Kopalni niewiele brakuje do wykonania planu. A ty jak myślisz?

— Ja tam nie prorok. Tyle samo wiem, co i ty — odparł Sowa. Spojrzeli sobie w oczy i zamilkli. Za zwartym murem ludzi, na podwyższeniu, tam gdzie puste wozy bodziły się wzajemnie, biegnąc okrężną drogą w stronę szybu, stało kilka osób zatopionych w żywej rozmowie. Nadsztygar Krzoska w rozpiętej bluzie żywo gestykulował rękoma. Tłumaczył coś zawiadowcy, rysując kilofkiem ostre zygzaki na drewnianym pomoście. Nadgórnik Braguła i sekretarz Komitetu Zakładowego Rudniok przysłuchiwali się jego wywodom, wtrącając od czasu do czasu swoje uwagi.

— Ci wszyscy na pewno do nas — Kunert trącił łokciem brygadzystę. Sowa w milczeniu przytaknął głową.

— Czwarty poziom! Do zjazdu! — krzyknął sygnalista odsuwając kraty szybowe. Górnicy naraz poruszyli się i popychając wzajemnie, zaczęli iść w stronę szybu. Kunert z Sową, nie spiesząc się, stanęli na końcu zwartej grupy. Patrzyli wciąż na górny pomost z jeszcze większym zaciekawieniem niż dotąd, ponieważ nie wiadomo skąd obok szytgara Krzoski znalazł się niespodziewanie Dominiczak. Machał im wszystkim po

kolei przed oczyma zatłuszczonym notesem, rozkładał ręce i krzyczał głośno. Otoczyli go dokoła, słuchając uważnie. Po pewnym czasie stojący najbliżej poręczy Rudniok wskazał ręką na ludzi i zaczął schodzić w dół.

Nie przerywając rozmowy, wszyscy podążyli za nim.

— Gadają i gadają, a licho wie o czym. Zostańmy w tyle, posłuchamy — Sowa pociągnął lekko Kunerta za połę. Przystanęli w miejscu.

— Więc uważacie, Dominiczak, że już nic nie da się zrobić, że wszystko na diabła, tak? — usłyszeli po chwili za plecami podniesiony głos Rudnioka.

— Ja nie mówię, że wszystko. To, co powiedziałem, dotyczy jedynie oddziału siódmego, a ściślej mówiąc ściany. Zjedziecie na dół, to przekonacie się sami...

— Zobaczymy, zobaczymy, czy rzeczywiście jest tak źle — burknął niechętnie zawiadowca Wawrzacz tuż nad uchem Sowy. Powoli, krok za krokiem posuwali się wszyscy w stronę szybu.

— Ha, jabym postąpił inaczej, ale kto starego Dominiczaka o radę pytał. Trzeba było dawno przerwać robotę na ścianie — odezwał się stary sztygar. — I cóż z tego, że Brada gonił po oddziale jak wariat? Doprowadził ścianę do takiego stanu, że w każdej chwili grozi zawałem. A zresztą, to nie moja rzecz, ja nie odpowiadam za oddział, tylko Brada. Daliście mu funkcję oddziałowego, a mnie kazaliście słuchać. No więc słuchałem.

Rudniok nerwowo zapalił papierosa i ze złością odrzucił zapalnik. Już zrozumiał, do czego zdąża Dominiczak.

— To znaczy, że wy nie czujecie się współodpowiedzialnym za wydobywanie i bezpieczeństwo? Skoro uważacie, że Brada jest niedoświadczony, to dlaczego nie zwróciliście na to uwagi?

Dominiczak przymrużył oczy i uśmiechnął się sam do siebie.

— Próbowalem, ale moje rady nie były mu potrzebne — krzyknął głośno, jakby chcąc przygłuszyć warkot maszyn. Ludzie przystanęli w miejscu, zwarli się dokoła, słuchając rozmowy. Sygnalista czekał niecierpliwie, przestępując z nogi na nogę.

— Ten stary krętacz chce całą winę zwalić na Bradę! Nie słuchajcie go! Kłamie! — krzyknął z dala Haręźlak.

— Spokój! — wrzasnął Wawrzacz, podnosząc głowę w górę. Ale górnicy nie chcieli się uspokoić.

— To ci przyjaciel, pierona — krzyczeli z tyłu — Do łopaty go dać!

Kunert obrócił się do tyłu i znalazł się tuż obok Dominiczaka. Spojrzeli sobie w oczy.

— Nie sztygarze! Przerywać pracy na ścianie nie trzeba było, gdyby najpierw pomyślano o rurociągu. — Dominiczak zmarszczył brwi i zmierzzył go pogardliwym wzrokiem.

— Tak jest, słusznie — potwierdził Rudniok — a co się tyczy tych rad, to też nie było tak, jak mówicie. Tu nie ma co ukrywać! Patrzyliście niechętnie na każde poczynanie Brady. Ja wiem wszystko!

Na okrągłej twarzy Dominiczaka wystąpiły rumieńce. Zaciśnął zęby ze złością, czując na sobie nienawistne, wrogie spojrzenie górników. „Przegrałem“ — pomyślał w duchu.

— Niech i tak będzie — powiedział cicho i poszedł przygarbiony w stronę wyjścia. Zdawało mu się, że lada chwila ktoś wyskoczy z tłumem i pchnie go na olbrzymie pochyłe ruszta. Chwycił mocno za poręcz i zaczął schodzić po schodach w dół...

— Zjeżdżać, zjeżdżać! — krzyknął zniecierpliwiony sygnalista.

Otyły Wawrzacz sapał ciężko, torując sobie pośród ludzi drogę do szybu. Sowa z Kunertem przepychali się z tyłu za nimi i weszli razem do klatki. Sygnalista śpiesznie zaciągnął kraty i wydzwonił sygnał. Po chwili światła nagle uciekły w górę. Klatka zakołysała się, otarła o drewniane legary i zaczęła opadać.

— Każdy teraz mądry, każdy. A cóż, kiedy rur nie było — syknął Krzoska ze złością.

— Ej, z tymi rurami, to była całkiem inna sprawa — odezwał się spokojnie Kunert.

— A jaka? — zaciekawił się sekretarz.

Młody górnik zerknął w stronę Krzoski. Zastanawiał się, czy wszcząć na nowo rozmowę, która rozpęta spór. Wreszcie zdecydował się.

— Nie mówcie nadsztygarze, że rur nie było. To nieprawda! Leżały one na placu od kilku miesięcy, ale nikt się o to nie troszczył. Trzeba było je dawno spuścić na dół.

— O to chodzi. Macie rację — przytaknął z cicha sekretarz Rudniok. — Przypomnieli sobie o nich wtedy, gdy już nie można było dalej pracować.

— Właśnie, właśnie, przypominałem Bradzie już miesiąc temu — śpiesznie dorzucił Krzoska swym piskliwym głosem.

— No i co? — Sowa wychylił głowę spoza szerokich pleców Kunerta.

— No i nic! — szarpnął się nadsztygar. — Tutaj Dominiczak ma rację. Brada jako sztygar oddziałowy zawinił, bo nie wydał zarządzenia.

— Brada? — Kunert zaświecił mu lampą w oczy. — Tylko czasem nie zwalajcie swojej winy na innego!

Klatka kołysała się mocno, coraz szybciej opadając w dół.

— Co? Mojej winy? — zapytał nadsztygar, wytrzeszczając oczy ze zdziwienia. — Słyszycie? On twierdzi, że to moja wina — spojrzał dokoła napotykając na zimne, nieczułe spojrzenia. Zawiadowca wydał pogardliwe usta, opierając się na kilofku. Sowa zdecydowanym ruchem odsunął Kunerta w bok i znalazł się przy nim.

— Tak jest, wasza! — rzucił mu w oczy. — Bo nawet wtedy, gdy my już kładliśmy rurociąg, krzyczeliście, że najpierw trzeba przebudować chodnik wentylacyjny. I gdyby nie Brada... Ej, że też zapomnieliście już, czy jak — schylił się ku niemu dotykając prawie twarzy. Krzoska cofnął się w tył.

— Oszaleliście! — krzyknął głośno, aż echo odbiło się w szybie. — Ludzie, co wy mówicie? Mnie chodziło o bezpieczeństwo, a wy mówicie, że to moja wina.

— Pewno — odezwał się spokojnie sekretarz. — Brada odpowiada za cały oddział, a wy za trzy oddziały. Za cały poziom. Przypominać to mało, trzeba było wydać zarządzenie o przebudowie chodnika jeszcze przed uruchomieniem ściany. A rury nie musiały leżeć na górze przez kilka miesięcy...

Byli już na miejscu. Gdzieś z dołu wynurzyły się światła. Klatka zakołysała się i stanęła w miejscu. Sygnalista czwartego poziomu zręcznym ruchem odsunął kraty, spoglądając ciekawie na przybyłych.

— Prędzej, prędzej — rzucił nerwowo Rudniok. — W tej chwili spory trzeba odłożyć na bok i pomyśleć, jak wybrnąć z tej sytuacji. Czy rzeczywiście nie ma już żadnego wyjścia?

Poszli gęsiego jeden za drugim szerokim przekopem. Krzoska czuł na swej szyji gorący oddech Kunerta.

Na chodniku przewozowym ceglasta łuna zaświeciła im w oczy. Lampy jarzące się w dali podobne były do gwiazd, rozwieszonych na tle czar-

nej zasłony. Niektóre z nich podnosiły się i opadały, wlokąc za sobą smugi żółtawego światła. Rudniok, idący na przedzie, raz po raz oglądał się za siebie.

— Może byśmy prędzej poszli? — zwrócił się do zawiadowcy, przystając w miejscu. Wawrzacz szedł bokiem chodnika z podniesioną głową. Stąpił pewnym krokiem po drewnianych podkładkach, od czasu do czasu opierając się lekko na kilofku.

— Zdażymy na czas — mruknął, gdy się zrównali i niedbale machnął ręką.

Sekretarz Rudniok niecierpliwił się coraz bardziej. W dodatku złościła go dziwna obojętność zawiadowcy, pogrążonego w myślach. Długi czas szli w milczeniu, patrząc przed siebie. Z daleka do ich uszu dolatywał stłumiony gwar ludzkich głosów.

Górnicy z rannej zmiany z ciekawością przyglądali się idącym w ich stronę ludziom. Ryszka stojący na przedzie przysłonił ręką oczy.

— Chłopcy! Zawiadowca idzie! — krzyknął naraz głośno.

Ludzie zerwali się na równe nogi. Potracając się wzajemnie i depcąc sobie po piętach stanęli w zwartej grupie zajmując cały przekrój chodnika.

— Wawrzacz... Krzoska... hm... cała świta do nas wali, tylko dyrektora nie widać — mruczał Kondracik mruczając oczy.

— A ten na przedzie? Któż to?

— To sekretarz Rudniok! — zawołał stary Pyrtek.

— Aha, to on... rzeczywiście! No chłopcy, coś mi się widzi, że będzie u nas dzisiaj gorąco — rzekł Ryszka, zacierając ręce. Wiercił się niespokojnie przed nimi w długich gumowych butach. To wybiegał kilka kroków w przód, to znów wracał, aż wreszcie cofnął się do pierwszego szeregu i stanął obok Kondracika.

— Hej, ludzie, ludzie!... Zamułka płynie! Zamułka! — ozwał się niespodzianie głos za ich plecami. Z przeciwnej strony od wysypu z rozpiętą koszulą na piersiach biegł Brada, krzycząc głośno. Za nim daleko w tyle szła Marta.

— Pierona jasnego! Co się robi? Ci z tej strony, Brada z drugiej... Co się robi? — mówili do siebie zdziwieni górnicy.

— A jak tam ściana sztygarze? Stoi jeszcze? — krzyczeli jeden przez drugiego, podzieliwszy się na dwie grupy. Brada zdyszany wbiegł między nich i zatrzymał się w miejscu. Niespodzianie ujrzał przed sobą sekretarza partii, który mijając ludzi, szedł prosto ku niemu. Z tyłu za nim przepychali się bokiem Krzoska i Wawrzacz.

— Widzę, że w samą porę przyszliśmy — Rudniok wyciągnął rękę. — I jak tam ściana? Czemu nie odpowiadacie ludziom? — zapytał patrząc mu badawczo w oczy.

— Ściana stoi, a zamułka już płynie — wyrzucił sztygar jednym tchem, mocno ściskając jego dłoń.

— To dobrze — sekretarz odetchnął z wyraźną ulgą, rozglądając się dokoła.

Brada przytaknął mu nieznacznym ruchem głowy. Chwilowa radość znikła z jego twarzy, ustępując miejsca większemu zakłopotaniu. Oczy nagle przygasły i posmutniały.

— Nie wiem, czy dobrze. W nocy strop trzeszczał, zdawało się że lada chwila runie na dół, ale po pewnym czasie uspokoił się. I wtedy...

— I wtedy co? — Krzoska ciekawie nadstawił ucho. Sztygar wahał się przez chwilę patrząc na ludzi.

— Zacząłem rozkręcać rynny. Może źle zrobiłem. Może pośpiech nie był potrzebny, ale poradźcie, co robić?

Górnicy spoglądali na przybyłych, czekając na odpowiedź, tylko Pyrtek z niedowierzaniem kręcił głową chrząkając głośno.

— To źle — powiedział krótko.

— Dlaczego źle? Powiedz dlaczego? — posypały się naraz ze wszystkich stron zdziwione głosy. Ludzie zwierali się coraz ciasniej, tłoczyli się, popychali wzajemnie, patrząc na starego rębacza. Ale Pyrtek nie kwapił się z odpowiedzią. Stojąc w środku, długo rozważał, pocierając dłonią zmarszczone czoło.

— Posłuchajcie. Według mnie ten kamień jest bardzo gruby, ale skoro już popękał, to nie wierzcie mu. Usłuchajcie mnie... — podniósł palec do góry i pogroził wszystkim.

Rudniok gwałtownie ściągnął brwi i zasępił się.

— Może jednak rynny zdążylibyśmy wytransportować. Przecież są już rozkręcone — ozwał się niepewnie Brada patrząc na sekretarza. — Na-pędy nam zawali — przypomniał sobie po chwili.

— Nie ma mowy! — krzyknął Wawrzacz — kategorycznie zabraniam komukolwiek wchodzić pod splekany strop!...

— A wydobyć? Mówcie, co będzie z wydobyciem? — zawołał Kunert.

— Popełniliśmy duży błąd, sztygarze. — Rudniok położył rękę na plecach Brady, patrząc na Krzoskę, który co chwilę rzucał niespokojne, trwożne spojrzenia. Zdawało mu się, że w tej chwili wszyscy patrzą tylko na niego.

— Za późno pomyśleliśmy o budowie rurociągu — ciągnął sekretarz. — Pytacie co będzie z wydobyciem? No cóż, sytuacja jest trudna, ale nie bez wyjścia.

— Co należałoby zrobić? Jak myślicie? — zwrócił się do górników, podnosząc się na palcach.

Ludzie milczeli, spoglądając w zamyśleniu na siebie. Kilku cofnęło się do tyłu wruszając ramionami.

— Jak zwykle. Winnych będą szukać — mruknął półgłosem Hachuła.

— Ale nie wśród nas! Porachujcie się teraz między sobą — odpowiedział ktoś z tyłu.

— Porachunki zostawmy na później! A teraz radźmy, bo czasu szkoda! — krzyknął Wawrzacz wyraźnie niezadowolony.

Kondracik niecierpliwił się. Rzucając bystre spojrzenia na współtowarzyszy, czekał przez chwilę, ale widząc, że nikt nie kwapi się zabrać głosu sam zaczął mówić:

— Mój projekt byłby taki. Skoro na ścianie w tej chwili pracować nie wolno, trzeba rozwiązać sprawę inaczej. Nie wiem co sądzicie, ale ja sobie pomyślałem tak...

— Pójść na ścianę, szeroko rozstawić nogi i swoim chudym karkiem podeprzeć strop! — przerwał mu ze złością Kolondra.

Kondracik poczerwieniał i odwrócił się w stronę Kolondry:

— Jeżeli nie chciałeś mówić, to teraz milcz, a mnie pozwól skończyć!

— Śmiało Kondracik, śmiało! — Rudniok lekko ujął go za łokieć.

— Ja powiem krótko. Żeby wyrównać stratę, trzeba byśmy pomogli innym oddziałom.

— Słusznie — zawołał ucieszony Brada. Podniósłszy głowę do góry, spoglądał na ludzi, czekając poparcia, ale górnicy zaczęli szeptać między sobą i cofać się do tyłu.

— Głośno mówić, towarzysze, nie kryć się za plecami — sekretarz zmarszczył brwi. Nie podobały mu się te pokątne narady.

— Wiadomo, można i głośno. tajemnic nie ma — ozwał się Ryszka, znów wysuwając się do przodu i pociągając za sobą innych. — Towarzyszu sekretarzu, rozsądźcie sami! Nasz oddział w ciągu ostatnich miesięcy zawsze wykonywał normę ponad plan. Wiecie dobrze, że odstawa u nas kiepska, taśm nie dużo, nawet stempli żelaznych nie ma. Jednym słowem jedziemy na starych gratach.

— Co to kogo obchodzi! Grunt, że plan wykonaliśmy! Skończ Ryszka — krzyczał z dala Kolondra, potrząsając pięścią.

— Dajcie mu skończyć!

— Nie przerywać!

Ryszka w przeciwieństwie do innych był jednak opanowany. Zaczekał chwilę, aż się uciszy, a potem patrząc na Krzoskę i Wawrzacza ciągnął dalej:

— Kolondra poniekąd ma rację. Ilekroć na naradach produkcyjnych mówiliśmy o tym, zawsze nam odpowiadaliście, że my sobie dajemy radę, że najpierw trzeba pomóc innym oddziałom i dlatego mamy do was żal.

Wawrzacz niecierpliwie spojrział na zegarek.

— To co mówicie w tej chwili jest nieważne. Tracimy tylko czas — syknął ze złością.

— Chodziliśmy z tymi sprawami do Rady Zakładowej, ale tam człowiek się nie dogada. Martyka wcale na dół nie zjeżdża, w papierach grzebie. Telefony odbiera, z ludźmi się kłóci o ubrania i buty...

— Borkuta wybraliście! To przecież chłop z waszego oddziału — wtrącił nadsztygar.

— Ha, Borkut! Macie rację, jest i Borkut. Byliśmy u niego kilka razy w sprawie żelaznych stempli. Myśleliśmy, chłop swój, poradzi nam, pomoże. I co nam powiedział? „Głowa mi już pęka od tych waszych żalów, przyzwyczailiście się z każdym głupstwem do Rady chodzić! Wydobyć to nie nasza rzecz, ale waszego sztygara! Do niego idźcie albo do zawiadowcy. My tu mamy swoich spraw dosyć, zestawienia robić trzeba, sprawozdania pisać.“ Obrócił się do nas plecami, wsadził nos w papiery i nawet ręki nie chciał podać. Taki ważny... Może to wszystko wyda się wam dziwne.

— Dlaczego dziwne? Mówcie! — zachęcał go Rudniok, patrząc zawiadowcy w oczy.

— Ryszka! Co tu dużo gadać? Powiedz im prosto! Albo czekaj, ja powiem — krzyknął z tyłu Harężlak, złażąc z kupy stojaków, leżących na skrzyżowaniu chodników. Krzoska drgnął i obejrzał się niespokojnie za siebie. Przypomniała mu się sprzeczka sprzed kilku dni, podczas montowania rurociągu.

— Zaczyna się — szepnął do Wawrzacza.

Harężlak stał już przy Krzosce.

— Powiedzcie, dlaczego nasz oddział pod względem zaopatrzenia stał dotychczas na szarym końcu? Dlaczego tak było? Powiedzcie!... — krzyczał. Krzoska nieznacznie cofnął się w tył.

— Dawaliście im rynny, napędy, przenośniki! Dawaliście im wszystko dlatego, że nie wykonywali planu. Dobre porównanie! U nich przenośniki, u nas rynny i stare rozklekotane napędy. Oni wykonywali osiemdziesiąt siedem procent normy, a my sto szesnaście. Dla nich wszystko, a dla nas nic! — wyliczał na palcach.

Górnicy poruszyli się i zaczęli posykiwać:

— Pierony zakłète!
— Obijacze, leniuchy!
— A czy u nas węgiel sam walił się do rynien? Dość namordowaliśmy się przy budowie rurociągu, a te gizdy zatracone jeszcze śmiali się z nas.
— Nie wszyscy... Ale niektórzy z drugiego poziomu śmiali się z nas, to prawda — potwierdził Ryszka widząc pytające spojrzenie sekretarza.
— Na zebraniu załogowym, to oni najwięcej krzyczeli, a jakże! Ale wydobyć jak nie było u nich, tak nie ma — Hareźlak machnął ręką. — I teraz my mamy im pomagać? Z tego powodu, że wyższy dozór zapomniał o tych rurach, które zardzewiały leżąc kilka miesięcy na placu? Nie, my się na to nie zgadzamy.

W jaskrawym świetle lamp spokojna twarz Rudnioka stała się bledsza niż zwykle. Tylko zmarszczki pod oczami stały się bardziej wyraziste.

— Skończyliście? — zwrócił się do Hareźlaka.

— Skończyłem!

— To teraz ja was zapytam, towarzysze. Czy Hareźlak mówił w imieniu całej załogi, czy tylko we własnym? — Rudniok rozglądał się dokoła, czekając odpowiedzi.

Stojący na przedzie umilkli, patrząc w dół z widocznym zakłopotaniem. Hareźlak, aby ukryć chwilową niepewność, obrócił się w tył, szukając oczyma Kolondry, na którego liczył najwięcej. Ale barczysty cieśla milczał uparcie i na pytające natarczywe spojrzenie kolegi nie zareagował wcale. Nikt nie chciał zabierać głosu i odpowiadać za wszystkich. Moment niepewności i wahania górników wykorzystał Krzoska.

— Krzyczeć, wygrażać innym, to wy umiecie! Ale na konkretne pytanie żaden z was nie chce odpowiedzieć! Pytano was, w którym imieniu mówił Hareźlak? Ogłuchliście nagle, co?! — wyrzucił z siebie jednym tchem, podnosząc głos coraz wyżej. — To taka u was solidarność?

— Kto nie chce pracować, może natychmiast wyjechać na górę. Osiemdziesięciu ludzi nie ma po co siedzieć bezczynnie! — krzyknął Wawrzacz, nie dając górnikom przyjść do słowa. Jego okrągła głowa, osadzona na grubym karku, podniosła się dumnie w górę, a przygaste lekko, podpuknięte oczy rozszerzyły się nagle i ożyły.

Słowa zawiadowcy przyjęli ludzie jak wyzwanie. Wywołały one nową falę wzburzenia.

— Jak to na górę? Kto z nas powiedział, że nie chce pracować? — krzyknął Kunert. Oczy wszystkich zwróciły się w jednej chwili na Hareźlaka.

— Ja tego nie powiedziałem! — zaprzeczył gwałtownie młody rębacz.

— Powiedział! — ryknął Wawrzacz ochryplym głosem.

— Nie powiedział! Widzicie, jak przekraczają słowa! Wy czekacie na naszą odpowiedź, ale myśmy jeszcze waszej nie słyszeli! — odcinali się pojedynczo oburzeni górnicy.

— Zarzuty odnośnie rur były słuszne, nadsztygarze — ozwał się, Rudniok wyraźnie niezadowolony. Swym powiedzeniem wbrew przewidywaniom Wawrzacza zadokumentował, że staje po stronie górników. Krzoska przysłonił ręką oczy. Zdawało mu się, że za chwilę żyłaste ręce górników chwycą go za pierś i rzucą pomiędzy szyny.

— Co to za porządki? Jak wasi ludzie rozmawiają z wyższym dozorem? — zwrócił się do Brady. Sztygar ściągnął brwi.

— U mnie nigdy awantur nie było — odparł niechętnie uważając, że ludzie zostali niesłusznie sprowokowani.

— U nas zawsze był porządek, o to się nie martwcie — poparł go Ryszka nieco spokojniejszym tonem.

Rudniok uważał dalszy spór za bezcelowy ze względu na niepotrzebną stratę czasu.

— A mnie się zdaje towarzysze, że w tej chwili u was porządku nie ma — ozwał się głośno, starając się swymi słowami przygłuszyć nieustanny szmer.

Górnicy ucichli nagle i podnieśli głowy do góry. Patrzyli mu prosto w oczy, jakby chcąc zaprzeczyć jego słowom, które niejednego z nich żywo dotknęły.

— Mówił jeden z was, że wasz oddział pomijano celowo, że o was zapomniano, ponieważ wykonywaliście plan z nadwyżką, a inne oddziały, lepiej zmechanizowane, nie mogły osiągnąć normy.

— A może nie mam racji? Obijacze i lenie zawsze mają wykręty — wyrwał się Hareźlak.

— Prawdę mówił! Było tak i jest nadal! Hareźlak miał rację!

Z tyłu po prawiej stronie zakotłowało się. Górnicy stojący obok rosnącego Kolendry, który przewyższał ich prawie o głowę, krzyczeli najgłośniej. Rudniok widząc, że hałas nie cichnie, podniósł rękę do góry.

— Spokojnie towarzysze, spokojnie! Byli tam obijacze, byli i lenie. Słusznie, ale kilka miesięcy temu Hareźlak przytoczył nam kilka cyfr dla porównania, lecz ja mam do nich pewne zastrzeżenia.

— Te cyfry są prawdziwe! W łaźni wisi tablica. Możemy sprawdzić po wyjeździe! — Hareźlak, czując poparcie innych, nie dał się zbić z tropu.

— Słusznie — spokojnie potwierdził sekretarz — są prawdziwe, ale stare... Sprzed kilku miesięcy.

— Jak to stare? Dlaczego?

— Ile procent normy wykonywaliście w listopadzie?

— Sto dwadzieścia jeden! Najwięcej ze wszystkich! — odpowiedzieli górnicy zgodnym chórem.

— A wiecie, że to się zgadza — zawołał Kunert. — Są u nas na kopalni trzy tablice, ale na każdej co innego piszą! Sto siedemnaście procent tośmy zrobili jeszcze we wrześniu!

— Tak oto pracuje nasz referent współzawodnictwa. Ostatnio rozlewniwił się do tego stopnia, że nawet dziennych wykonów nie podaje załódze. Nic dziwnego, że ludzie się mylą. Powinniśmy go rozruszać — zwrócił się Rudniok do Wawrzacza.

— Hm, rzeczywiście. Garb mu wyrósł od tego siedzenia za biurkiem. Ale ja go wyprostuję. Jeszcze dziś — mruknął zawiadowca ze złością.

— Na ścianę go dać albo na filar!

— Dobra była robota przy noszeniu rur, szkoda że wówczas sobie o nim nie przypomniałście — mruknął Sowa.

— Pierona, nie może być — niektórzy kręcili jeszcze głowami z niedowierzaniem.

— Raczej nie powinno — Rudniok zmarszczył czoło. — I nieprawdą jest, że górnicy z drugiego poziomu tylko gardłowali i krzyczeli. W ostatnich dwóch miesiącach oddziały drugi, trzeci i piąty wykonały swoje plany z nadwyżką. A wiecie dzięki czemu? Jak myślicie?

— Nie zarabiali dziady przez kilka miesięcy. My wiemy, o co im chodziło. Czekali na obniżenie normy. Za łby się brali. Ale potem jednak musieli zakasać rękawy — odpowiedział Sowa za wszystkich.

— Ja bym powiedział inaczej — sekretarz uśmiechnął się nieznacznie, mrużąc oczy. — Podział na nich dobry przykład. I to właśnie wasz, bo

wy pokazaliście całej załodze, że nawet bez przenośników pancernych można wykonywać i przekraczać plany produkcyjne. I oto stoimy w tej chwili w takiej sytuacji, że do wykonania planu rocznego całej kopalni brakuje nam tylko trzystaście tysięcy ton. Musicie im pomóc!...

Tymczasem Kondracik naradzał się z Sową i Kunertem. Teraz poszedł szybko do sekretarza i rzekł:

— Nie ma o czym gadać! Nie ma się nad czym zastanawiać — gestykulował żywo, jakby chcąc podkreślić ważność swych słów. — Hareźlak mówił sam za siebie. Ja zostaję, kto jeszcze?

— My również — dorzucili śpiesznie Sowa i Kunert. Po chwili Rudniok naliczył około dziesięciu rąk. Reszta wahała się jeszcze, spoglądając niepewnie na siebie, ale pojedyncze dłonie tu i ówdzie podnosiły się do góry.

— Co to, głosować będziemy, marnować czas! To wstyd chłopcy! Idziemy wszyscy! — krzyczał Kondracik.

— Prowadźcie! Idziemy!

Na przedzie szedł Ryszka, a tuż za nim śpiesznie zdązał Hareźlak w grupie kilkunastu ludzi. Odszedłszy kilka kroków, przystanął i krzyknął w stronę Rudnioka:

— Jest u nas porządek, czy go nie ma?...

Odpowiedź sekretarza zginęła wśród wzajemnych nawoływań i niemiłkącego gwaru ludzkich głosów. Tylko uśmiech na jego twarzy był jakby przedłużeniem wypowiedzianych słów i świadczył, że tym razem przyznał Hareźlakowi rację.

VIII.

W przeddzień Święta Górnika na „Elźbiecie“ wrzało. Głęboko pod ziemią ostre świdy wgryzały się w pokłady węgla coraz głębiej, coraz szybciej. Mechaniczne młoty oplecione silnymi ramionami górników kruszyły bez ustanku twardą caliznę.

Waliły się z ociosu kanciaste bryły. Ludzie odpychali je za siebie i szli wciąż naprzód...

W sortowni sygnalista szybowy liczył czas i wózki napełnione węglem. Nawet urzędnicy biurowi w tym dniu pracowali sprawniej niż zwykle. Wszyscy niecierpliwie czekali na meldunek z dołu. Dyrektor Rogóż od rana nie odejmował słuchawki od ucha. Pochylony nad stołem już nie wiadomo po raz który sucho i zwięźle wyjaśniał różnym zainteresowanym instytucjom i urzędowi, że w tej chwili brakuje jeszcze około tysiąca ton, ale przeszkód żadnych nie ma i prawdopodobnie około południa plan roczny zostanie wykonany. Z początku odpowiadał uprzejmie, potem zaczął denerwować się i złościć, wreszcie niespodzianie oznajmił sekretarce, że wychodzi na sortownię. Zanim jednak zdążył uporządkować papiery leżące na biurku, odezwało się milczące dotąd ministerstwo. Po długiej i wyczerpującej relacji, którą złożył wiceministrowi, z kolei odebrał telefon Komitetu Wojewódzkiego Partii.

Dyrektor zmęczonym, nieco drżącym głosem w krótkich słowach oznajmił, że koło godziny dwunastej roczny plan zostanie wykonany i chciał już odwiesić słuchawkę, ale Wydział Węglowy nie zadowolił się tym, żądając dalszych wyjaśnień. Pytał konkretnie, ile kopalnia może wydobyć ponad plan do końca roku, a specjalnie interesował się sytuacją na ścianie w oddziale siódmym.

Po tej rozmowie, która trwała przeszło dziesięć minut, zapalił nerwowo papierosai stanął przy oknie. Ukośny promień słońca raptem wśliz-

gnął się do pokoju, przelotnie musnął stos planów leżących na drugim stole i zaświecił mu w twarz.

Rogóż zmrużył oczy. Zmiał w palcach papieros, rzucił go prawie ze złością do popielniczki i wszedł do następnego pokoju z grymasem na twarzy.

— Widzi pani, znają najdrobniejsze szczegóły, operują nazwiskami rębaczy. Nawet o rurach wiedzą — powiedział zaczerwieniony.

Sekretarka pochylona nad stołem spojrzała na niego szeroko otwartymi oczyma.

— Kto?

— Komitet Wojewódzki! — odparł szybko podniesionym głosem. Ale po chwili znów uspokoił się i podszedł bliżej stołu.

— Proszę mi dać tekst jutrzejszego sprawozdania.

Przebiegł oczyma pierwszą stronę, sięgnął po następną i zaczął czytać uważniej. Kilka zdań podkreślił czerwonym ołówkiem.

— Zapomniałem bodaj że o najważniejszym. Powinniśmy podjąć dodatkowe zobowiązanie. Hm... tak, ale muszę najpierw porozumieć się z Rudniokiem...

Sekretarka w milczeniu wykręciła numery na tarczy i oddała mu słuchawkę.

Drugi sekretarz Stolarczyk oznajmił, że Rudniok zjechał wczoraj wieczorem do oddziału siódmego i dotąd znajduje się na dole. Rogóż spojrzał na zegarek i po chwili wahania postanowił iść na sortownię. Wciągając powoli płaszcz w dalszym ciągu zastanawiał się nad treścią jutrzejszego sprawozdania i doszedł do wniosku, że trzeba będzie wnieść dużo poprawek. W uchylonych drzwiach znów ukazała się blada twarz sekretarki.

— Panie dyrektorze, dzwonią z oddziału siódmego...

Szybko podniósł słuchawkę. Tym razem tylko słuchał.

— Co?... Już wyjechali?... Dziesięć minut temu?... Już idę... już!...

Zapinając guzik, rzucił się do drzwi. Sekretarka zabiegła mu drogę z maszynopisem.

— Jedno słowo panie dyrektorze! Czy sprawozdanie będziemy pisać na nowo?

Odsunął ją ręką i wypadł na korytarz.

Po chwili jednak wrócił i stojąc w progu powiedział zmienionym głosem.

— Wprowadzimy jedynie pewne poprawki, bo górnicy z oddziału siódmego już dzisiaj podjęli dodatkowe zobowiązanie. O liście nagrodzonych proszę pamiętać — dorzucił jeszcze krótko, zamykając drzwi za sobą.

Skinęła mu głową w milczeniu. Za oknem mignął popielato-szary wóz z napisem „Polskie Radio“. Dyrektor zasapany biegł najkrótszą drogą w stronę sortowni. Za wszelką cenę chciał zdążyć pierwszy...

Górnicy z oddziału siódmego przerwali na chwilę pracę i zebrali się pod wysypem. Każdy chciał widzieć na własne oczy specjalnie przystany elektrowóz, który miał zaciągnąć pod szyb pięknie udekorowany wózek. Brada już od rana gotował się do dłuższej przemowy, ale w chwili gdy wyszedł na czoło, przysadzisty Kunert chwycił go w pól, przyciągnął do siebie mocno i w oczach wszystkich ucałował.

— Nie trzeba mówić sztygarze, nie trzeba — szeptał ściskając coraz mocniej jego dłoń. — Jutro nasze święto! W mundurach przyjdziemy.

W naszych górniczych... — Oczy mu nagle zwilgotniały i przykryły się czarnymi rzęsami. Dużo jeszcze chciał powiedzieć, ale radosne słowa poplątały się i utknęły gdzieś w gardle.

— Z naszego oddziału odjeżdża ostatni wóz! Zapamiętajmy sobie! — krzyknął Kondracik. Poczem obróciwszy się do Marty, która siedziała w elektrowozie zawołał:

— Marto! Powiedz wszystkim, że w tej chwili w oddziale siódmym rusza nowo zabudowany przenośnik pancerny. Walimy węgiel już ponad plan!

— O tych rurach im już nic nie gadaj... Ale kombajn — krzyknął Sowa — kombajn jest nam potrzebny!

Dziewczyna zeskoczyła lekko z elektrowozu, rozpromieniona i szczęśliwa.

— Dobrze! Powiem, że załoga oddziału siódmego prosi o kombajn, a od siebie jeszcze dodam, że ja chcę...

— Zostać kombajnerką — dokończył Sowa.

— Zgadliście, ale nie wszystko. Od nowego roku idę na kurs średniego dozoru. Partia mnie wytypowała, chociaż jestem bezpartyjna — rzuciła krótkie przelotne spojrzenie na Rudnioka. Stojąc obok maszynisty sekretarz uśmiechnął się.

— To ci nowina — odezwał się gdzieś z tyłu zdziwiony Pyrtek. — Zapewne sztygarem też niedługo zostaniesz. No, no... W moich czasach, za młodu było inaczej... — Stary rębacz miał ochotę znów wrócić do swoich dawnych wspomnień.

— Słyszysz Pyrtek! — zawołał Kunert wznosząc się na palce — my wszyscy wiemy co było, chociaż jesteśmy młodzi. Od jutra swoim wnukom nie będziesz mówił o koniach i duchach, ale o kombajnach, o takich dziewczynach jak nasza Marta, które pragną zostać sztygarami! Pamiętaj!

— Jedźcie! Pozdrówcie wszystkich! Trzymaj się Marto! — wyciągali do niej zewsząd ręce. Maszynista usiadł przy kierownicy.

Zadzwoił dwa razy i po chwili elektrowóz ruszył z wolna w stronę przepokpu. Już w biegu Rudniok wskoczył do maszyny i usiadł obok Marty.

— Do zobaczenia! Jutro! — krzyknął głośno unosząc rękę do góry.

Spod kół maszyny tryskały różnokolorowe iskry, podobne do małych gwiazdek.

Żółte oko reflektora szło nisko nad szynami, oddalało się coraz bardziej aż wreszcie zniknęło za zakrętem.

— Skróciliśmy rok o jeden miesiąc — powiedział Brada patrząc na zegarek.

Do końca dniówki pozostało dwie i pół godziny...

WŁODZIMIERZ GRAB



Z TEKI MŁODYCH

LESZEK MECH

ŻYCIORYS PREZYDENTA

Twój życiorys uczy nas walczyć
Na przedpolach niejednego frontu.
Trzymam książkę i czuję w palcach
Płomień serca — ludzkiego lontu.

Łat w więzieniach bitych kolbami
Trudno w słowach gorących nie wyznać,
Pod salwami i za kratami
Umierała nasza Ojczyzna.

Czytam książkę, a z każdej karty
Wielkich trudów wyrasta pomnik.
Spójrz — na liście kandydatów Partii
Są wpisane nazwiska potomnych!

1 MAJA W PARYŻU

Zbuntowanym tłumem wylegli,
Nieulekłym, wezbrany frontem...
Jak gołębie sztandary pobiegły
W podpalone iskrą horyzonty.

Tysiaca serc nie odeprze bagnet,
Tysiaca serc nie zabije pocisk.
Szli robotnicy po żołdackim bagnie
Wyzysku i przemocy.

Szli jezdnią z pieśnią na wargach
— Pieśni buntu czerwona, wzlatuj! —
Okrzyk strajków Paryżem targał,
Groźny okrzyk proletariatu.

Grzmij stolicę salwami gniewu
Na cześć święta proletariuszy!
Przeciw ludzkim sercom i śpiewom
Korpus katów wersalskich wyruszył.

Generale... czy prefekcie Baylot?
Tępy rozkaz — stał w pierś wymierzyć. —
Już cię nie pochwalą, generale
Za pijanych i ślepych żołnierzy.

Rzędy kasków jak kruki czarnych.
Tyralierą bagnetów kroczą.
Nie wyruszy z francuską armią
Z marsylskiego peronu pociąg.

Maszynisty, prefekcie Baylot,
Nie odnajdziesz w szarych bluz tłumie,
On przez plac Republiki i Gwiazdy
Idzie dumnych sztandarów szumem.

Jego serce jest naszym sercem,
Ramię w hełmy uderzy łomem.
Przeciw pałkom, kulom, mordercom
Wyszedł z przedmieść słów i flag płomień.

Ulicami, placem, bulwarami
Idzie opór — Nie przejdzie faszyzm. —
Nad Sekwaną — słońce za kratami,
Nad Sekwaną — gniew walczącej klasy.

PAŁAC NAUKI I KULTURY

Kiedyś dzieje łączyły narody
Dat wachlarzem na łunach rozpiętych,
Albo w sercach pokoju spragnionych
Budził miłość anemiczny święty.

Dziś nie dzieje, nie skrzydlaci święci,
Miecz rdzewieje... Dziś lud ludowi
Wznosi do gwiazd w mieście uśmiechniętym
Wywalczonej przyjaźni budowę.

JANUSZ KONIUSZ

PASTERECZKA ZE SPÓŁDZIELNI PRODUKCYJNEJ

Wpatrywała się dziewczyna
w niebo uśpione, w czysty błękit.
Białoczerwoną koniczynę
jak uśmiech wpięła do sukienki.

Wieczorem idąc na spacer
spotkałem na łące dziewczynę,
ona mój zetempowski znaczek
przybrała spółdzielczą koniczyną.

Jedni mówią, że pieśni, że wiersze,
znowu inni, że śpiew słowiczy,
jej się zdawało, że najpiękniejsze
są łąki z białoczerwonych konieczyn.

PEJZAŻ DOLNOŚLĄSKI

Przejdziemy przez podmiejskie, zielone ogródki
ażeby się na Nysę popatrzyć z mostu,
w wieczór majowy, w śląski wieczór, krótki
jak pośpiesznego pociągu postój.

W rzece umyjesz ręce, ja gałązek niby gruszek
narwę do wazonu z rozkwitłych akacji. ,
W barze mlecznym przy stoliku nakrytym obrusem
zjemy kolację.

MARIAN KOZŁOWSKI

ŻYCIE ZACZYNA SIĘ JUTRO

W pamięci Józka Niepodzieja na długo pozostanie ów niezwykle dzień, kiedy po raz pierwszy zetknął się z ludźmi tej wielkiej, tętniącej budowy.

Pamięta — sypał gęsty śnieg i wiatr targał czerwonym, splewiałym płótnem chorągwi, zawieszanej na surowym murze wielkiego bloku, skąd dolatywały głosy schodzących murarzy.

Szedł obok cieśli Andrzejczaka, który tłumaczył mu swoim niskim, chropawym basem zawile sprawy planów budowy i rozmieszczenia głównej arterii dzielnicy „A“ powstającego nowego miasta. Szare, zimowe niebo, ciemniejąc coraz bardziej, opuszczało się nisko nad teren budowy niczym blaszana pokrywa. Szli, potykając się raz po raz na wybojach lub zapadając w głębokie koleiny, wyżłobione w mokrym gruncie przez ciężkie koła ciągników. Józek szedł za cieślą kuląc się z zimna. Myślał o noclegu. Czuł się zmęczony uciążliwą drogą z dalekiej wioski w Kielecczyźnie aż tu, na śląską ziemię. Tobolek ze skromnym mieniem, napoczętym w podróży chlebem i kawałkiem sera, mocno ścisnął pod pachą w obawie, by nie upadł mu w bajoro, które właśnie mijali.

Cieśla Andrzejczak klepnął go przyjaźnie po ramieniu i rzekł: — To nic, synku. Tu, gdzie teraz błocko i dziury, będzie asfaltowa, elegancka droga. Ho, ho, jaka droga! A po bokach, wśród kwietników i zieleńców wieczorem zabłysną światła elektryczne. Dzieciaki będą tu jeździć na hulajnogach. Mówię ci, tu będzie życie! — Wyciągnął rękę przed siebie i wskazując jakiś punkt, gdzie spod góry śniegu sterczały zwoje żelaznych drutów do robót zbrojarskich, dodał: — A tu, widzisz, będzie klub. Tu będą się odbywały różne konferencje i zabawy. Eh, synku! Nawet teatr będzie. To ci będzie życie! Co?

W słowach Andrzejczaka wyczuwał Józek jakieś przyjemne ciepło. Ciepło przyszłych ognisk rodzinnych, które zapłoną tu w krótkce za szymbami pustych na razie otworów okiennych.

Józek mimo woli przystanął. Chciał objąć wzrokiem ten olbrzymi, niknący w zmierzchu plac budowy, nastroszony gęsto wieżami wyciągowymi. Widział tu i ówdzie wyciągnięte ku niebu stalowe ramiona bagrów, których potężne pięści przed chwilą wyrzuciły ostatnią garść wykopanej dziś ziemi. Wszędzie, gdzie tylko skierował oszołomione oczy, wznosiły się czerwone mury. Niektóre były już pokryte dachówką. Na innych rysowały się wieżby przyszłych dachów. Gdzie niegdzie mury sięgały zaledwie pierwszego piętra, inne znów dopiero odrywały się od ziemi. Józek nazwał je w myślach „kiełkami“, porównywał do młodej, wykluwającej się z czarnoziemu rośliny. Tuż za nimi nagle zagwizdała lokomotywa, ciągnąca trzy rozklekotane wagoniki z piaskiem.

— To ty Grzelka? Cześć pracy! — Andrzejczak wskoczył na stopień pociągając za sobą Józka. — Podwieź nas, Grzelka, bo utopimy się w tych przeklętych bajorach.

— Siednijcie, podwieziemy. Ale wieje, co?

Wyciągnął z kieszeni zapalniczkę i trąc ciężką dłońią kółko przy krzemieniu, daremnie usiłował zapalić zgasłego papierosa. Wiatr ze świstem dmuchał im w spocone twarze przejmującym zimnem. Śnieg sypał mokrymi, grubymi płatami. Zalepiał oczy i przedostawał się za kołnierz. Pod naporem wiatru trzeszczały sucho drewniane wieże przy murach, a słomiane maty w ościeżach wydymały się furkocąc jak maszty żaglowców. Jechali w milczeniu, zasłaniając twarze kołnierzami. Wagoniki co chwila podskakiwały śmiesznie na szynach, a miniaturowa, jak zabawka lokomotywa rozsiewała gryzącą woń spalonej ropy. Milkły ostatnie odgłosy pracy, tylko z głośników radiowęzła niosła się pieśń, która napełniała całą przestrzeń budowy jakąś radosną treścią.

Śnieg miękką bielą pokrywał błotnisty grunt zasypując wyciśnięte w nim ślady stóp robotników.

O jakieś dwadzieścia metrów w bok od toru, po którym mknęła lokomotywka, zamigotał blok nr 16, gdzie mieścił się hotel robotniczy. Trzeba było zejść.

— Stop, Grzelka. Zatrzymaj no swego bucefała! Wysiadamy.

Gdy mijali przestrzeń, dzielącą ich od hotelu, Andrzejczak zatrzymał się nagle przy jakimś przedmiocie, leżącym w poprzek ścieżki. Klnąc głośno jął ciągnąć go ze sobą. W zapadającym mroku Józek nie widział co to takiego, ale po chwili cieśla zatrzymał się przywołując pozostałego w tyle chłopca i powiedział:

— Draństwo nie ludzie! — w głosie Andrzejczaka tyle było szczerego oburzenia, że Józek mimo woli poczuł się zespolony w tym uczuciu pogardy starego majstra dla nieznanych mu sprawców jego uniesienia. —

Znowu kalfas ze złamanym uchwytem! Psia mać. Co ich to obchodzi. Tyle co nic. Rzuci na drogę, przyjedzie ciężarówka i po kalfasie. Nie ma kalfasa, wezmą nowy. Co ich tam, smoluchów zatraconych, obchodzi oszczędność!

Ustawił skrzynię pod ścianą i znowu zwrócił się do Józka.

— Widzisz, ile tego się marnuje?

Józek, który znał się trochę na mularce (w swojej wsi pomagał od czasu do czasu przy stawianiu chałup bogatszym gospodarzom) dostrzegł w głębi skrzyni stwardniałą masę zaprawy, przyprószoną śniegiem.

— Będzie ze dwadzieścia kilo — rzekł niesmiało. — Szkoda, mógł to jeszcze wyrobić...

Andrzejczak zachnął się: — Pewnie, że mógł, ale śpieszyło się dranio-wi do koleżków. Już ja ich znam...

Majster huczał swoim głębokim basem. Kłął na niesumiennych robotników, ale nowa świszcząca fala wichru runęła na nich znienacka i Józek prócz przeraźliwego wycia wichury nie słyszał już nic. Ścigani przez mroźny, szarpiący żywioł wpadli wreszcie do bramy. Od razu odczuli przyjemną ulgę jak po długim, wyteżonym wysiłku.

Było tu spokojnie i przytulnie. Pachniało świeżym lakierem i heblowinami. Schody nie miały jeszcze poręczy — zastępowały je na razie prowizoryczne, drewniane „łaty“.

Krepy Andrzejczak otrząpywał się ze śniegu tupiąc miękko gumowymi butami. Był cały obsypany wilgotną, skrzącą się bielą, która osiadła grubą warstwą nawet na wąsach i krzaczastych brwiach. Wyglądem przypominał w tej chwili wsiowskiego św. Mikołaja.

— Znowu nas zasypie, pierona! — martwił się. — Jak mury ciągnąć w taki czas? Co?

Spojrzał nagle na zziębniętego Józka. W jasno oświetlonej klatce schodowej twarz młodego chłopca, sina od mrozu, wydawała się mizerna i o wiele chudsza, niż była w rzeczywistości.

— Ale ciebie, synku — dodał po krótkiej przerwie tonem łagodniejszym — te rzeczy jeszcze nie obchodzą. No tak. Tyś jeszcze nowy. Chodźmy do pokoju. Jutro zaczniesz...

Z góry schodziła jakaś dziewczyna nucąc młodym głosem znaną śląską piosenkę o Karolinie, co szła do Gogolina. Mijając Andrzejczaka zamilkła nagle, jakby zawstydzona i pozdrowiwszy go obrzuciła Józka zalotnym spojrzeniem. Była ubrana w szary watowany kaftan i takie same spodnie, wpuszczone do wysokich, gumowych butów. Na głowie miała czerwoną, wełnianą chustkę, spod której wymykały się gęste fale ciemnych włosów. Mimo białych plam zastygłego wapna, którymi oblepione było jej czoło, smągła twarz wydawała się Józkowi pociągająca. Przystanęła uśmiechając się do niego przyjaźnie rozchylonymi, grubymi

wargami. Była to Zytka, podręczna murarka z kobiecej brygady Trudy Wawrzyczkówny.

— No, co się tak gapisz? — burknął Andrzejczak, udając zagniewanego. W rzeczywistości lubił tę wesołą dziewczynę za jej ambicję i zapamiętanie w robocie. Pracowała na bloku szóstym, którego doglądał.

— Czy to wasz syn? — spytała dziewczyna poprawiając kokietyryjnie chustkę na głowie.

— „Głupiaś. Mój jest w Nowej Hucie, technikiem — odparł Andrzejczak z wyraźną satysfakcją. Nie spostrzegł się, że Józkowi, zahukanemu chłopcu, który dopiero co przybył ze wsi i ledwie umiał czytać, słowa te i ton, w jakim zostały wypowiedziane, sprawiały przykrość. Chłopak uświadomił sobie w tej chwili swój żałosny wygląd: kusa kurtkę z wytartego ze starości zielonego płaszcza żołnierskiego, szare, cąjgowe spodnie z dużą łątą na tyle i cyklistówkę z pękniętym ceratowym daszkiem. Wspomniął swoją daleką wieś, gdzie był popychadłem u obcych — i stara rdza goryczy za doznane krzywdy znów zaczęła żreć jego serce. Czy na zawsze już pozostanie „dziodem“ nikomu niepotrzebnym? Po co ta dziewczyna zadała to głupie pytanie i w dodatku przygląda mu się tak natrętnie? Najchętniej uciekłby na dwór, gdzie jest ciemno i wyje wiatr, ale nie miał na to dość sił. Pomyślał, że zgłupiał. Na szczęście Zytka pożegnała się szybko, jakby wyczuwała niestosowność wywołanej przez siebie uciążliwej sytuacji.

Majster wprowadził Józka do jasno oświetlonego pokoju. Józek dostrzegł przede wszystkim czerwony żar otwartego paleniska szamotowego pieca z brązowych kafli. Ktoś nachylony nad skrzynką z węglem podniósł się powoli czyniąc przy tym jakby zapraszający ruch ręką, w której trzymał żelazną łopatkę. Był to Kłosek — robotnik betoniarski.

— Łóżko gotowe, majster. Można zająć — powiedział mrugając przy tym śmiesznie oczyma w stronę Józka, który stał bezradnie przy drzwiach, nie wiedząc, co z sobą począć.

Drugim człowiekiem, który go onieśmiał, był nagi do pasa robotnik, golący się przy lustrze. Józek widział tylko jego nagie plecy z czarnymi kępkami włosów oraz mokrą, kruczoczną czuprynę, z której spływały na długą szyję strużki wody.

— A no synku, tu będziesz mieszkał — odezwał się Andrzejczak. — To jest twoje łóżko. Możesz się już położyć, jeżeli masz ochotę.

Józek rozglądał się w milczeniu. Ogarnął wzrokiem starannie ułożone szare koce na łóżkach swoich towarzyszy, cztery zgrabne szafy, ustawione pomiędzy łóżkami, taborety, lustro z nikłowymi łebkami śrub, niebieski emaliowany czajnik, syczący na blasze pieca — a przede wszystkim czekające na niego łóżko, lśniące białą, sztywną od krochmalu pościelą. Andrzejczak dodał po chwili prowokacyjnie:

— A może synku, nie podoba ci się, he? Możesz przywyknąć do osobnej garsoniery z prysznicem. Co?

Józek uśmiechnął się blado, wykrzywiając usta w jakimś gorzkim grymasie zaciętości i pokory zarazem. Nie wiedział, co to jest „garsoniera“ ani „prysznic“. Rozumiał jednak, że te niepojęte i obce słowa określają życie bogate i przyjemne, które nigdy nie było jego udziałem.

— Pan majster chyba żartuje — zająknął się, jakby z trudem wydobywał z siebie słowa. — Mnie się tu naprawdę podoba. Jakże by mi się miało nie podobać, kiedym wczoraj jeszcze spał w stajni, z końmi gospodarza. — Przełknął ślinę a twarz jego oblała się rumieńcem.

Obserwujący go cieśla oraz reszta mieszkańców wspólnego pokoju nie wiedzieli, czy szkarłatny rumieniec na twarzy chłopca oznacza wstyd na wspomnienie bolesnej i pełnej upokorzeń przeszłości, którą odsłonił przed świeżo poznanymi ludźmi, czy też długo tłumiony gniew przeciwko sprawcom doznanych krzywd.

Józek całe niemal życie był bezdomny. Nie zaznał ani razu ciepła własnego rodzinnego kąta, prócz tych kilku pierwszych lat wczesnego dzieciństwa, kiedy żyli jeszcze rodzice, których teraz prawie już nie pamiętał. Miał pięć lat, kiedy ojca przywaliło drzewo w lesie pana Zakrzewskiego, u którego pracował jako drwal, a matka oddała go bogatemu, bezdzielnemu gospodarzowi.

Bogacz nazywał się Koralik. Obiecał zająć się dzieckiem do czasu, kiedy matka nie wróci z Kielc, gdzie znalazła służbę w domu właściciela apteki. Młodszą o rok Helcię zabrała ciotka, żona wiejskiego szewca. Po trzech miesiącach matka przyjechała na wieś. Odwiedziła małeństwo i tuląc je do piersi zalewała się łzami, pomstując na swój ciężki los, który nie pozwalał jej opiekować się rodzonymi dziećmi. Wyjechała nazajutrz pocieszając dzieci, że wkrótce wróci. Przyjeżdżała później niejednokrotnie. Za każdą bytnością zapewniała, że zabierze je do siebie.

Pewnego razu sołtys otrzymał z miasta urzędowe pismo zawiadomieniem o śmierci Anny Niepodziejowej, która zmarła w szpitalu na udar serca. Należność za szpital nakazano uiszczyć gminie, ponieważ zmarła nie posiadała żadnego majątku.

Józek Niepodziej stał się teraz własnością bogatego chłopca, któremu służył przez długie lata. W zamian za ciężką pracę od świtu do zachodu otrzymywał miskę kaszy lub żuru, podaną mu w kącie mrocznej kuchni. Raz tylko w roku doznawał łaski siedzenia z gospodarzami przy wspólnym stole — w wigilię Bożego Narodzenia.

Zawsze był samotny. W wiejskiej szkółce, wiecznie brudny i zaniedbany, z włosami nigdy nie strzyżonymi, w postrzępionej, płóciennej kaptocie, na której jak krosty widniały ślady zakrzepłego łajna — trzymał się z dala od dokazujących chłopców. Przewali go, nie wiadomo dlaczego „strachopyszczykiem“. W tym okresie — miał już wtedy dziewięć lat —

do jego różnorodnych obowiązków należało także dogłębne oglądanie koni Koralików. Podawał im obrok, dźwigał dla nich kilka razy dziennie ze studni ciężkie wiadra z wodą, czyścił szczotką i zgrzeblem aż do utraty tchu ich krągłe zady. Gospodarz bowiem, który sam był parobczakiem do chwili ożenku ze starszą od siebie i brzydką córką bogacza, u którego służył, uczył go jak należy obchodzić się z końmi. Często nie szczędził mu mocnych szturchańców.

— Tfy, tak się czyści? Ty mi, parszywy mizeraku, konie szanuj, bo jak nie, to cię przepędzę. Potem cię przygarnął?

Wstawał o rannym chłodzie, kiedy wszyscy jeszcze spali. Rąbał drzewo, rozniecał ogień w piecu, zamykał podwórko a później przyrządzał obrok. Spełniając wszystkie te obowiązki biegał w ustawicznym pośpiechu, ślaniając się na chudych nogach i drżąc z zimna i ze strachu przed niewiem wiecznie niezadowolonym Koralikiem.

Niekiedy wieczorami, gdy opuszczał kuchnię na wpół głodny siadywał na kamiennym schodku przy stajni. Wieś otulona miękkim mrokiem nocy mrugała żółtawym światłem okien, w których widział cienie poruszających się postaci. Z lasów świętokrzyskich niosła się woń starych jodeł, która mieszała się z ostrym, cierpkim zapachem gnijących zielsk, rosnących przy stawie nad groblą. Za drzwiami stajni sennie poruszały się drzemające konie chrobocząc kopytami o spróchniałą podłogę. W takich chwilach odczuwał jakąś wielką żalłość i tęsknotę za czymś, czego właściwie nie umiał nawet nazwać słowami. Gdy w oknach Koralików gasły światła, udawał się do stajni. Zasypiał w swym kącie pod wyłiniąłym i śmierdzącym kozuchem marząc o nieznanym domu i ludzkim, życzliwym uśmiechu.

Majster Andrzejczak podszedł do Józka i odbierając mu z rąk zawiniątko powiedział serdecznie:

— Co było, to było, synku. Za to teraz będziesz spał jak sam dziedzic. Napijemy się herbaty. Co?

— Herbaty? Tak, dobrze byłoby się napić. Zmarzłem trochę.

W tej chwili nie czuł już żadnej niechęci do majstra z powodu przykrego zajścia w sieni. Widać, majster dumny jest ze swego chłopaka, który gdzieś tam jest technikiem. Wiadomo, ojciec...

Usiadł nieśmiało na brzegu swego łóżka. Chłodna, gładka pościel przyjemnie załaskotała go w dłoń. Gołacy się robotnik odrzucił ostatek mydlin do miednicy i wytarł twarz lnianym ręcznikiem z niebieskim szlaczkiem. Następnie wyciągnął z pobliskiej szafy świeżą koszulę. Wciągając ją na siebie parsknął z zadowolenia wydymając policzki. Uśmiechał się do Józka, jakby go znał już od dawna. Miał męską, energiczną twarz, która od razu zaskarbiła sobie sympatię chłopca. Pierwotne oneśmielenie Józka poczęło pomалуż zniknąć jak śnieg na jego butach, topniejący pod wpływem ciepła, bijącego od „szamotówki“.

— Skąd jesteś? — zapytał Józka nieznajomy wyciągając ku niemu dłoń z lekka rozczapierzonymi palcami i dorzucając przy tym: — Ja jestem Sowa, murarz.

— Ja spod Kielc. — Józek zrobił ruch, jakby chciał wstać, ale Sowa położył rękę na jego ramieniu i rzekł: — Siedź bracie. Zmachany jesteś. Kłosek! Czemu nie dajesz mu herbaty? Nie widzisz, chłopak z drogi. Zmarł.

Kłosek, krzątający się przy piecyku, ustawiał już na stole blaszane, emaliowane kubki, z których buchała wonna para. Zaraz też pojawił się cukier, bułki, smalec i kiełbasa. Józek poczuł głód. Wyciągnął z tobołka swój chleb i ser, prosząc niezgrabnie robotników by częstowali się jego wiejskim serem.

— Dobry jest. Skosztujcie...

— Cóż, spróbujemy — odezwał się cieśla Andrzejczak i sięgnął po żółtkły już nieco kawał sera, zawinięty w płócienną szmatkę. — A ty synek, smaruj chleb smalcem. A może bułkę wolisz? Nie bój się, nie skrzywdzisz nas...

Józkowi kolacja nigdy jeszcze tak nie smakowała jak dzisiaj. Nie tyle samo jedzenie sprawiało mu to przyjemne zadowolenie ile swobodny, swojski nastrój, panujący przy stole, swobodna, żywa rozmowa robotników, wśród których poczuł się jak w bliskiej rodzinie. Stwierdził ze zdziwieniem, że gdy sięgał po bułkę, nikt nie zwracał na niego uwagi. Nie patrzono na niego spode łba jak tam, u Koralików. Nie miał tego dławiącego uczucia obcości, nie czuł na sobie spojrzeń gospodyni, stawiającej przed nim miskę z miną pobożnej dobrodziejki, spełniającej miłosierny uczynek wobec nędzarza. Pojął, że tu zrównany będzie pracą ze wszystkimi. I ta świadomość sprawiła, że zaczynał prostować grzbiet jak po zrzućeniu gniotącego ciężaru.

Andrzejczak krajał składanym nożem kiełbasę na okrągłe plasterki, którymi obkładał kromki chleba. Jednocześnie opowiadał z ożywieniem, jak to brygadzysta Żmudny zaatakował dzisiaj ku uciechu zebranych na placu betoniarzy kierownika zaopatrzenia. Za co go besztal? Wiadomo. Za opieszałość w dostawie „de-emesów“.

— Ale go przyskrzypił. Szkoda, że was nie było. Ulżyłoby wam. Ze złości i wstydu przed ludźmi kierownik Sobczyk zrobił się czerwony na gębie jak pomidor. Jak mamy wykonać plan w terminie — wołał Żmudny na cały głos — kiedy belek stropowych trza szukać po całej budowie, bo mi ich nikt nie dostarcza już od dwóch dni.

— Mówią — wtrącił Kłosek — że ten kierownik zaopatrzenia był przed wojną karawaniarzem. — Spostrzegłszy niedowierzający gest Andrzejczaka dodał szybko: — To znaczy on sam, być może umrzykami się nie babrał, ale zarządzał taką firmą.

Uśmiechnęli się. Odczuwali satysfakcję, że dostało się wreszcie wyniosłemu i zarozumiałemu Sobczykowi. Zaniedbując dostawę materiałów często wyrządzał szkody budowie i wielu dobrym robotnikom, którzy z jego winy tracili zarobki.

Za oknami wył wiatr bijąc śnieżnymi skrzydłami o szyby. W głębi pieca huczało i dudniło, ale w pokoju było przyjemnie i ciepło. W sąsiedztwie, za ścianą maszynista Miklas śpiewał piosenkę przy akompaniamencie gitary. Raz po raz jego drżący tenor milkł na chwilę i słychać było tylko wibrujące, głębokie dźwięki strun.

Sowa wstał od stołu. Zdjął z wieszaka jedwabny krawat koloru lila w czarne kropki. Zawiązał go starannie w imponujący, suty węzeł a potem ukradkiem, żeby nikt nie zauważył, przypudrował twarz jakimś białym proszkiem. Włożył odświętną, dwurzędową marynarkę z brązowej setki i poprawił grzebykiem przedział. Czarne, gładko przyczesane włosy lśniły jak politura. Józek obserwując go i śledząc każdy jego ruch zazdrościł mu tej męskiej urody, „elegancji“ a co najważniejsze — pozycji, jaką zajmuje na budowie. Zauważył był już przed tym jego nazwisko na dużej tablicy przodowników z dopiskiem: 286% normy.

Józek miał dość mgliste pojęcie o współzawodnictwie. Wieś, z której przybył, leżała na dalekich peryferiach nowego budownictwa. Czuł jednak mimo to, że ta jakby magiczna cyfra, wypisana na czarnej tablicy, mieści w sobie cały sens powodzeń i życiowych osiągnięć takich ludzi jak Sowa. Patrzył na rośłego murarza zachłannym wzrokiem. Łowił spojrzenia Sowy za każdym razem, gdy ten tylko zwracał twarz w jego stronę. Stopniowo i nieśmiało uświadamiał sobie budzące się w nim namiętne pragnienie upodobnienia się do tego robotnika, dla którego poczuł podziw, pomieszany z czymś jeszcze na razie nieokreślonym. W przyszłości widział siebie takim jak Sowa. Chciał mieć żółte buciki, spodnie z kantem, krawat...

Marzył, by stać się tak samo dzielnym i w pracy jak Sowa — zdobyć poważanie i pieniądze. Przemknęła mu myśl o Helce. Widział w wyobraźni swoją wieś, która o tej porze zasypia pod zwałami śniegu, mała i nic nie znacząca, oddalona od wielkiego świata. Widział pusty kąt w stajni, kąt, który wczoraj jeszcze był jego legowiskiem. Za przegrodzeniem drzemiały obżarte konie. Zdawało mu się, że czuje znany zapach obroku i łąjna. Co też mówią tam o mnie, we wsi? — pomyślał. Wyobraził sobie Koralika, jak mści się na Helce za niewdzięcznego brata, który uciekł akurat przed wiosenną orką. Na tę myśl zacisnął pięści. Z wdzięcznością pomyślał o budowie, która go przyciągała. Odda jej wszystkie siły, zwiąże z nią swój los, swoje życie jak ziarno wiąże się z głodną glebą. Andrzejczak widząc, że Sowa zbiera się do wyjścia, zapytał:

— Co ty, Sowa? Znowu lecisz do miasta? Ze też chce ci się w taką zawieruchę? Ech, młodziki pierońskie!

Odpowiedział mu Kłosek:

— Majster, dla takiej jak jego Anulka to ja bym nawet i przez ogień latał. Widziałem ci ja tę frelkę w zeszłym tygodniu. Ho, ho! Ma szczęście nasz Sowa.

Sowa uśmiechnął się i rzekł uroczyście: — Będę się żenił, majster.

Andrzejczak skierował na Sowę długie przenikliwe spojrzenie. Cmoknął dwa razy i podkreśliwszy szpakowatego wasa klepnął murarza po ramieniu:

— Hm, jak tak, to rozumiem...

Sowa wyszedł, odprowadzony smętnym spojrzeniem Kłoska oraz pełnym zachwytu wzrokiem Józka Niepodzieja.

Po chwili drzwi otwarły się z impetem i do pokoju wtoczył się łysy, przysadzisty mistrz malarski Stuchlik. Zatrzymał się na chwilę, objął wzrokiem obecnych, po czym ruszył maleńkimi, szybkimi kroczkami w kierunku stołu. Wyciągnąwszy w teatralnym geście ręce przed siebie, stanął przed Andrzejczakiem i zawołał patetycznym głosem:

— Co za ludzie! Co za ludzie!

— Widzę, że cię znowu coś ugryzło. No mów, Stuchlik. Pofolguj sobie. — Andrzejczak podsunął mu taboret, lecz podniecony Stuchlik nie zauważył tego. Był wzburzony.

— I to mają być ludzie, co budują socjalistyczne miasto! Wstyd! Wstyd, powiadam — i nic więcej. Co ja powiem towarzyszowi Wojtyszcze z KM? Zbeszta mnie i tyle.

— Za co, Stuchlik? Gadajże po ludzku. Co się stało? — Andrzejczak, zniecierpliwiony zachowaniem się malarza wstał od stołu i zmusił Stuchlika do zajęcia miejsca. — A teraz mów, co cię tak złości?

— Te książki, com się zobowiązał sprzedać. Chodzę, namawiam, tłumaczę...

— I co?

— ...agitację prowadzę taką, że samego diabła bym nawrócił. A oni nic...

— Jak to nic? — spytał zdumiony Andrzejczak. — Przecież sam widziałem, jak ludzie wracali z roboty z twoimi książkami. Ile sprzedałeś?

— Sto dwadzieścia.

— Patrzcie go! Sto dwadzieścia książek sprzedał i jeszcze narzeka, że mało. Ty co byś chciał? Od razu się nie da. Pomału, cierpliwie, Stuchlicku. Książka delikatna rzecz, felunkowa robota. Trzeba na to czasu. A ty...

— Co ja? — obruszył się Stuchlik, przerywając Andrzejczakowi rozpoczęte zdanie. — Ja wiem jedno: Książka to, bracie, kultura. Nie? A kto nie czyta naszych książek, ten, rozumiesz, opóźnia budowę socjalizmu.

Może nie mam racji? Co? — Stuchlik wpatrywał się w oczy kolegów natarczywie, prowokacyjnie, jakby czekał tylko na jakiś najdrobniejszy choćby odruch sprzeciwu. Nagle spostrzegł Józka.

— A ty kto? — podszedł do chłopca i zaczął mu się uważnie przypatrywać.

— Ja na robotę... Ze wsi.

— Umiesz murować? No tak. Wszyscy, co przychodzą, mówią, że są murarzami.

— Trochę tam i umiem. Robiłem.

— A książki czytać — lubisz?

Józek poczuł się zakłopotany. Nie wiedział, co ma odpowiedzieć. Dziwny jakiś człowiek, ten Stuchlik, czy jak mu tam. Dotychczas nie zdarzało się, żeby mu ktoś zadawał tego rodzaju pytania. Książek nigdy prawie nie czytał. W jego wsi czytanie uchodziło za lenistwo. Było przywilejem ludzi wysoko postawionych jak syn geometry i kierownik szkoły. Raz tylko — było to parę lat temu — dostała mu się w ręce książeczka z powiastkami o świętych męczennikach. Drugi raz, a było to zeszłego lata, jakaś młoda kobieta z miasta, która przyjechała spędzić wakacje na wsi, pożyczyła mu książkę, której barwna okładka od kilku dni przyciągała jego wzrok. Widział tę książkę w rękach owej pani, spoczywającej w kwiecistym szlafroku na trawie, tuż przy lesie. Była to powieść pt. „Trzech muszkieterów“. Pamięta, czytał ją, pilnując koni pasących się na łące. Treść jej, pełną przygód, długo później przeżywał, nawet we śnie.

— No i co? — naciskał Stuchlik — lubisz?

— Lubić, to bym lubił, ale mało czytał. W mojej wsi nie było książek — usprawiedliwiał się Józek lekko zawstydzony.

— Co za ludzie! — oburzył się malarz Stuchlik. — Niby chcą budować socjalizm i nie czytają książek! Tu będziesz czytał. Bez żadnych wykrętów. Znam ja takich. Kabzy na budowie nabijają, forsy biorą jak lodu. I na co wydają — pytam? Ech! Szkoda mówić. Wstyd i nic więcej. — A po dłuższej pauzie rzucił: — Kupisz książeczkę, he?

Kłosek był zły. Czego ten Stuchlik chce od chłopca? Ledwie przyjechał, życie, widać miał niesłodkie, a ten litości nie ma.

— Ty łapiduchu zatracony! Czemu się go czepiasz? Jutro nie zdążysz?

Andrzejczak zanosił się od śmiechu. Stuchlik był jednak niezmordowany. Nie zważając na urągliwe słowa kolegi ani na śmiech Andrzejczaka, w dalszym ciągu nacierał na bezradnego, jakającego się Józka:

— Zobaczysz jaką dla ciebie wybrałem książeczkę. Podziękujesz mi za nią „Dzieciństwo“ Maksyma Gorkiego. Co? Piękna rzecz. Masz rodziców? Ojca, matkę, co?

Chłopiec zdziwił się. Co matka może mieć wspólnego z jakąś tam książką? Odpowiedział jednak rzeczowo:

— Nie mam ojca ani matki.

— Sierota? To bardzo dobrze! — orzekł Stuchlik zacierając ręce z zadowolenia.

Andrzejczak znowu wybuchnął śmiechem, ale Kłosek przerwał tę wesołość rzucając się na Stuchlika.

— A tyś z czego taki zadowolony? Że chłopak matki nie ma ani ojca? Tego już za wiele, Stuchlik. Z sierocej doli nie żartuj!

— Daj spokój, Kłosek. Z sieroty bym miał żartować? Sam sierota jestem. Pytałem, wiesz, bo w tej książeczce pisze o takim chłopaczku, co mu ojciec umarł a później matka. I coś mi ten — tu rzucił okiem na Józka — tak jakoś przypomniatł tamtego z książki. — A zwracając się już wprost do Józka, rzekł: — Dowiesz ty się, co to życie ludzi biednych, gdy będziesz ją czytał. Dowiesz się, co to znaczy być człowiekiem...

— Ale ja jeszcze nie mam za co kupić.

— To nic, mój drogi. Tu, w Tychach się zarabia. Za tydzień będzie wypłata, to oddasz. A książeczkę przyniosę ci jutro.

...Jak on to powiedział? — Zastanowił się Józek. — „Za tydzień będzie wypłata“. To znaczy, że traktują go już jak swojego. Jest na liście wypłat, jak każdy pracujący tu robotnik. Dają mu kredyt, zaufali mu. W jego wsi nikt nigdy nie dałby mu nawet kredytu na 50 groszy. A pieniądze miewał bardzo rzadko. Koralik raz na parę miesięcy, czasami nawet po upływie pół roku przypominał sobie o swoich obowiązkach i dawał Józkowi parę złotych, za które mógł kupić sobie w sklepiku białą bułkę lub jakieś drobiazgi dla Helci.

Józek zaczął się zastanawiać, jaką przydzieli mu robotę i ile będzie zarabiał. Jakże pragnąłby pracować pod kierunkiem tego murarza Sowy. To ci dopiero robotnik — myślał z podziwem. Murarz — a jak ubrany! U takiego można by się dopiero nauczyć murarki. To nie kulawy Wojtek, wsiowy murarz, którym zawsze pogardzano. Bardzo chciałby pracować u Sowy, choćby jako podręczny na początku. Postanawia prosić o to Andrzejczaka. Wierzy w swoją przyszłość. Budowę tę, przeróżne dziwaczne maszyny, które widział, łączy w swoich myślach z wieloma możliwościami, które wydzwigną go ku lepszemu życiu, o jakim marzył podczas długich, ciemnych nocy. Jest zadowolony ze swojej kwatery i z miłych współmieszkańców. Stołówkę ma już załatwioną. Będą tanie obiady i kolacje. Skończy się głodowanie. Jutro rano dostanie robocze ubranie — watowaną kurtkę, spodnie, gumowe buty i rękawice.

Myśląc o tym przypomina sobie zalotną dziewczynę, z którą zetknął się tak niefortunnie na schodach. Ona też nosiła takie buty. Ładnie wyglądała — stwierdza Józek. Ciekaw jest, czy ją jutro znowu zobaczy. Wyobrażając sobie to spotkanie czuje równocześnie gorące i zimne dreszcze. Wydaje mu się, że jest przeziębiony. „Chyba zawiało mnie w drodze“...

Stuchlik odszedł już dawno w towarzystwie Kłoska, który poszedł narąbać drzew. Józek rozwinął na łóżku pościel, snując równocześnie dziwaczne marzenia. Zostanie podręcznym, później samodzielnym murażem, może nawet brygadzystą. Kto wie? Sowa będzie się z nim przyjaźnił. Na tablicy, obok nazwiska Sowy wypisane będzie jego własne: Józef Niepodziej — 300% normy. Będzie miał piękne, nowe ubranie, koszule, krawat. Sprowadzi Helcię.

Oddając się tym chłopięcym marzeniom, w których dnie, pełne wrażeń i bohaterskich przygód mijają z jakąś zawrotną szybkością — rozebrał się automatycznie i wsunął pod koc.

Andrzejczak tymczasem nalał z czajnika do miednicy gorącej wody. Cień buchającej pary kłębił się na oświetlonym, białym suficie jak zwały pierzastych chmur przed deszczem. Józek przyglądał się, jak cieśla ściąga gumowe buty, jak odwija onuce rozwieszając je przy piecu, jak odpina z paska gruby, pękaty zegarek z łańcuszkiem, nakręca go dokładnie, przykładając go do ucha i długo wsłuchuje się w jego chód, a potem zawiesza na gwoździu nad swoim łóżkiem. Wykonawszy te czynności Andrzejczak rozebrał się, podwinął nogawki kalesonów, usiadł na brzegu łóżka i zaczął moczyć nogi. Przebijając bosymi stopami w chlupocącej wodzie pomrukiwał śmiesznie, sapiąc z zadowolenia.

Po upływie kwadransu w pokoju było już ciemno. Kłoska wciąż jeszcze nie było. Andrzejczak leżał w swoim łóżku ćmiąc papierosa. Józek widział czerwony ogienek, majaczący w oddalonym kącie. Z bocznej kolejowej dochodziły chrypliwe, stłumione głosy ludzi. Trajekotały sapiące motory lokomotywek. Skrzypiały gdzieś ciężkie, naładowane wozy. Nocna zmiana transportowa pracowała przy wyładunku piasku i cegły.

— Nie śpisz jeszcze? — usłyszał Józek głos Andrzejczaka.

— Nie śpię — odpowiedział chłopiec senny i zmęczony.

— No to posłuchaj co ci powiem. — W tonie wibrującego głosu Andrzejczaka Józek wyczuł powagę i jakby ojcowską troskę.

— Jutro zaczynasz pracować i nie będzie czasu na gadanie. Tu trzeba robić uczciwie. Rozumiesz? Różni przychodzą tu na budowę. Wielu tu nygusów, co to się tylko obijają i za nic chcą brać pieniądze. Takich wyrzucamy. Od takich trzymaj się z daleka. Mówię ci to dlatego, żeś mi się spodobał. Widzę, dobry z ciebie chłopak. Będę na ciebie uważał i nie dam skrzywdzić...

Andrzejczak mówił długo udzielając Józkowi rad, jak ma pracować, kogo się trzymać, a kogo unikać, jak obchodzić się z materiałem i z narzędziami. Z jego słów, pełnych doświadczenia i troski o budowę, Józkowi jasno układał się cały głęboki sens niestrudzonej, ofiarnej pracy nad wzniesieniem tego miasta przyszłości, w którym ludzie skrzywdzeni przez dawny porządek znajdą spokój i szczęście.

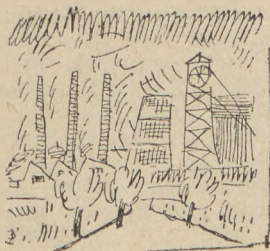
— I dlatego — kończył cieśla — gdy będziesz stał na murze, to pomyśl dobrze, zanim cegłę ułożysz. Czy równo ją wmurowałeś, czy luzu nie zostawiłeś. Pamiętaj, synku, że dom stawiasz dla brata swojego, robotnika. A jego oszukiwać nie wolno. Taka robota — święta. Rozumiesz?

Józek rozumie to aż nadto dobrze. Będzie wspólnie z Sową stawiał domy. Z domów tych powstanie jasne, piękne miasto dla górników i hutników. I nie będzie tam miejsca dla Koralików. Ten fakt wydaje się Józkowi najważniejszy. Wszystkie obowiązki, o których mówił Andrzejczak — rzetelna, wierna praca, ofiarność, oszczędność cegły i za-prawy z tego właśnie wypływają faktu.

Daleko zagwizdała lokomotywa. Józek przymknął powieki. Zasypiał w radosnym przeświadczeniu, że jego prawdziwe życie zaczyna się jutro...

Marian Kozłowski

Początkowy fragment powieści o ludziach, budujących Nowe Tychy.



O MIARCE

Stanisław Betza po rozmowie z Ludwikiem Jenikiem, redaktorem „Tygodnika Ilustrowanego”, zdecydował się pojechać zaraz, nie czekając na dalszą korespondencję ze Śląska. W lokalu redakcyjnym „Tygodnika” sporo się wówczas mówiło o Śląsku, słowo „głód” powtarzane było najczęściej. Betza jednak pojmował słowo „głód” szerzej, z listów Karola Miarki dowiadywał się nie tylko o straszliwej klęsce głodowej roku 1879, ale i głodzie — słowa polskiego. Należało zainteresować Warszawę również i tym drugim głodem śląskim, w tym celu właśnie Jenike wysyłał Betzę na Śląsk.

Jeśli zaś chodziło o ów głód fizyczny, któremu rząd pruski nie miał zamiaru przeciwdziałać, jako że objął on i niszczył zbuntowane od niedawna powiaty, powiaty, które odwracały się od języka niemieckiego, którym szkoła bogedainowska i Miarka przewróciły w głowie, dla owych głodnych Ślązaków Warszawa robiła nie mało. Robotnicy opodatkowali się na rzecz głodnych Górnoślązaków. W Resursie obywatelskiej panie zataczały wytwórne kręgi w rytmie walca — na rzecz głodnych Górnoślązaków. Cyganeria odmawiała sobie kawy — na rzecz głodnych Górnoślązaków. „Wspólna sprawa” — głosił napis nad lokalem kwaterarzy przy ulicy Chmielnej. Co rano odjeżdżały stąd pełne platformy, załadowane worami zboża, z wyraźnymi adresami: Karol Miarka, literat ludowy i redaktor, MIKOŁÓW, Śląsk pruski.

Wiosna roku 1879 zniszczyła świeże zasiewy, grad i deszcze zapowiadały nieurodzaje. Karol Miarka nie mylił się, gdy, nadawszy do pociągu kolei warszawskiej rozpaczliwe listy, z otuchą czekał odpowiedzi. Toteż Stanisław Betza mógł jechać na Śląsk z czystym sumieniem. Pakując kufrы, bez ustanku powtarzał Jenikemu: „Swoją powinność spełnić musimy do końca. Daliśmy im chleb, dajmy im słowo polskie, książki, pomoc!”

„Jakże on wygląda?” — myślał o Miarce w czasie podróży. Pociąg utaczał się z brzękiem na malutkie, drewniane dworce, konduktor i maszynista, porozumiewając się gwizdkiem, podrywali lokomotywę do dalszego biegu. Surowi i wąsaci pruscy żandarmi powitali literata milcząco na dworcu myśłowickim. Piersi mieli obwieszane orderami za wojnę francuską, ręce zaciskali na kopli, jak nakazywały przepisy, wąsy pod-

krecone do góry, także według przepisu, długo wieczorem i rano przytrzymywała binda. Znalazł się zatem w Prusach, na pruskim Śląsku. Jenike, wielbiciel i tłumacz Goethego, ostrzegał go, aby się zanadto nie popiszywał polską mową. „Z niemczyzną daleko zajedziesz i więcej dla sprawy zyskasz” — doradzał. Tymczasem pierwsze głośnie słowa wypowiedziane były po polsku. Dwoje ludzi schodziło schodami ku wyjściu. Ona, zamiatając spodnicami, mówiła surowo, krzykliwie niemal:

— A dyć tak nie leć, aże nie leć. Szandara cię porwie i psinco załatwimy...

„Psinco?” — w pamięci literata ozwał się ledwo słyszalny dzwonek alarmowy. „Psiniec będą od nas Niemcy mieli” — napisał doń niedawno Miarka. „Gorszy to psiniec, co rozciął, niż co ma rozciętą gębę” — kojarzyło mu się dalej. Uśmiechnął się na wspomnienie wczorajszej rozmowy z Jenikiem. „Kochany Ludwiku, gdybyś wiedział, co tu ten Miarka nie wyrabiał. Posłuchaj — ci za mną także mówią po polsku. I tamci. I jeszcze ta dziewczyna z koszyczkiem. To tylko żandarmi, nastroszywszy wąsy, krzyczą: Ja, was denn?!“

W kilka godzin później z pomocą napotkanej pary dotarł do Mikołowa. Wyszedł mu na powitanie człowiek barczysty, wysoki, olbrzym niemal, w surducie poplamionym inkaustem, z brodą długą, siwiejącą z lekka, z małymi pogodnymi oczyma. W lewej dłoni obracał nerwowo łańcuszek od zegarka, prawą ścisnął mocno drobną dłoń Betzy.

— Jak to dobrze — mówił grubym, dźwięcznym głosem — żeś pan do nas zawitał. Akurat jestem na wyjeździe do Królewskiej Huty, zapraszam do wspólnej przejażdżki, jeśli łaska. Siadaj pan ze mną na bryczkę, porozmawiamy o stosunkach naszych..

To powiedziawszy Karol Miarka wciągnął swego gościa do izby. Zaraz zjawiała się żona, drobniutka i uśmiechnięta, jeszcze w pełni urody dziewczęcej, jak gdyby dopiero co młodzieńca Zanzibałówna przyjechała tutaj od rodziców z Cieszyna, by objąć gospodarstwo domowe barczystego wdowca. Z drugiej izby przyniesiono mleko, chleb, wędzonkę. Na końcu w ozdobnej żółtej beczulce wtoczyło się na stół piwo: beczkę dostał Miarka w podarunku od robotników browaru tyskiego, dziękowali mu w ten sposób za kalendarze, książki i prasę.

Ledwo gość posilił się nieco, małe koniki porwały bryczkę i zaczęły ją nieść równą brukowaną szosą w stronę Królewskiej Huty.

— Chciałeś pan dowiedzieć się czegoś o mnie.

— Tak, tak — przyświadczył gorliwie Betza.

— Nikomu o sobie mówić wiele nie umiem. Chociaż ksiądz Przynicznyński rozgłasza o mnie, że gdzie tylko spósobność jaka, ja siebie chwalić zaczynam, swoje uczynki i bądź co, wszystko to nieprawda. Tak jak śmiałością było z mojej strony pisanie w polskim języku, za śmiałość polczyć by mi można mówienie o samym sobie. Nie lza...

— Ale czytelnicy warszawscy znają już pana dobrze. I te dary na głodnych to przecież także z uwielbienia, z miłości do pana...

— Z miłości do polskiego ludu górnośląskiego, chciałeś pan powiedzieć.

— Tak i nie tak. Lud mało znają. Ale pan...

— Ja, ciągle tylko ja! I potem rad nierad muszę wyczytywać bajeczki spod pióra Przynicznyńskich. A dajcie mi spokój z tymi kłopotami... Ale, żeś pan z samej Warszawy przybył, jako ten, który niejeden dar na Śląsk przystał, ulegnę, no i — zacznę mówić.

Było to w roku 1848...

W roku 1848 miał Karol Miarka zaledwie dwadzieścia trzy lata. Ze szkoły wyszedł niemieckiej, w której wszystko co polskie stępowane było przydomkiem: barbarzyński. W roku tym powstał górniczy bytomscy i na ulicach miasta pokazali się w takiej ilości, że mieszczenie poczuł się nagle w mniejszości a późniejszy starosta bytomski Hugo Solger napisze o tej manifestacji, iż zasygnalizowała ona niebezpieczeństwo, któremu niewiedomo co przeciwstawić. Wówczas w Bytomiu przeciwstawiono robotnikom 4 szwadron 2 pułku ułanów. W tymże samym roku „wieszcz śląski“ Józef Lompa wespół z grupą ruchliwych działaczy zmontuje polski front narodowy — przeciw panom niemieckim i magnatom. Na Górny Śląsk dotrze piosenka tkaczy dolnośląskich i jako piosenka o „krwawym sądzie uciskanego ludu“ mobilizować będzie przeciwko posiadaczom. „Dziennik Górnośląski“, wydawany w Piekarach, dotrze do rąk wielu robotników, kolporterzy pisma zapukają do każdego niemal domu, który uchodzi za polski. Niemiecki historyk czasopiśmiennictwa śląskiego cytuje w swojej książce (Willy Klawitter: Die Zeitungen und Zeitschriften Schlesiens bis 1870) raport landrata z 16 stycznia 1849, w którym urzędnik niemiecki z niezwykłą trafnością charakteryzuje sytuację na Górnym Śląsku: „Bez wątpienia w chwili obecnej rozbudzone zostało zainteresowanie dla literatury politycznej również i w niższych warstwach ludności, a obserwując jej niezadowolone przeciwko istniejącym stosunkom, łatwo zrozumieć można, czemu warstwy te przyjmują zło nauki Dziennika, jedyne pisma polskiego“.

Miarka przeżył rok 1848 w Łędzinach, jeszcze nie nad gramatyką polską, ale już pochylony nad zeszytem, w którym spisywał różne swoje uwagi o otaczającym go świecie. Z uwag tych powstanie w dziesięć lat później jego pierwsza powieść „Górka Klemensowa“. Młody Miarka nie wiele jest podobny do mężczyzny z patriachalną brodą, który w trzydzieści lat później z taką godnością będzie mógł mówić o swoim życiu, o przebytych niebezpieczeństwach, o doświadczeniach więziennych i pisarskich. Młody Miarka imponował lekkomyślną pogodą. Uczył się wtedy pilnie łaciny, bo jako pomocnik nauczyciela główny awans życiowy upatrywał w połączeniu dwóch funkcji — organisty i nauczyciela.

Do małych Łędzin dotarło niejedno echo, zwielokrotnione przez życzliwych ludzi, upatrujących w przemianach jedyną nadzieję lepszego życia. Zarówno ze Śląska Górnego jak i z Cieszyńskiego przychodzili chociażby tylko wędrowni szewcy; jeśli zjawiali się od strony Cieszyna, wyciągali z torby przyrzady owinięte w numer „Tygodnika Cieszyńskiego“. Dużo byśmy dali, żeby móc dzisiaj, zgodnie z dokumentami dziejowymi, odtworzyć postać Miarki, wyglądającego pomięty numer czasopisma, czytającego na głos sąsiadom jego treść rewolucyjną. Niestety nawet on sam w żadnej ze swych późniejszych wypowiedzi nie pozwolił na tego rodzaju przypuszczenie, choć z drugiej strony przyznać trzeba, że dwa te tygodniki polskie krążyły wówczas po Śląsku najbardziej niespodziewanymi drózkami.

Cała ta śląska Wiosna Ludów powiewała jednak nie tylko wolnościowymi sztandarami. Nad Śląskiem załopotały również i czarne sztandary. Nie pierwszy to raz nawiedził ziemię głód. Tym razem był to głód najokrutniejszy. Ostatnie dobre żniwo minęło w roku 1844. W następnym roku nie udały się ziemniaki. W 1846 zgniły zboża na polu. W 1847 pogoda była pełna niespodzianek: przenikały się wzajemnie mroźne podmuchy z tropikalnymi falami powietrza. Biedniejsi zjedli owoce pół

i ogrodów przed ich całkowitym dojrzaniem. Czerwonka była pierwszym groźnym objawem powszechnego głodu i nędzy. Od 10 czerwca do 16 września 1847 siekły ustawiczne deszcze. Lato zostało wykreślone z kalendarza, stodoły stały puste, w komorach nie było już nawet obierzyn z kartofli. Na skutek tego wszystkiego w samym powiecie pszczyńskim chorowało w pierwszym kwartale roku 1848 czternaście procent ludności. W poprzednim roku dziesięć procent ludności powiatu zmarło z głodu. Sumienny lekarz dr Rudolf Virchow przyjechał tutaj, zanotował wiele cyfr i narobił niemało wrzawy w Berlinie.

Radość mieszała się z boleścią w tym osobliwym roku wolności. Miarka czuł jedno i drugie. Łędziny były częstką powiatu, tak srodze nawiedzzonego przez klęski. Choć odczuwał prostym sercem temperaturę tych dni, nie rozumiał wcale przyczyny klęski, nie umiał znaleźć właściwych winowajców głodu. Dr Virchow wskazywał na nich palcem w berlińskim „Archiv fuer pathologische Anatomie und Physiologie, und fuer klinische Medizin“. „Biurokracja nie chciała zatem — pisał tam — lub nie mogła ludowi pomóc. Arystokracja feudalna potrzebowała pieniędzy, by dogodzić luksusowi i głupocie dworu, armii, wielkich miast. Magnaci, którzy tak olbrzymie sumy wyciągali z kopalń górnośląskich, nie widzieli w Górnoślązakach ludzi, lecz maszyny, lub, jak mówi pojęcie sztuki — ręce. Duchowieństwo wreszcie widziało w nędzy ludu palec nieba.“ Ale Miarka nie wiedział nawet o istnieniu takiego pisma. Biedni umierali lub — po długich dniach niemocy — stawali na nogi, zaczęli pracować, uczyli się na nowo uśmiechu. Przerażeni bogacze albo zabarykadowali się w swoich pałacach, tak jak to uczynił hrabia Henckel von Donnersmarck, albo też uciekali koleją wrocławską na zachód. Ale i tam sięgała po nich śmierć, tak jak sięgnęła w tym roku radości i zwątpienia po śląskiego „króla cynku“ Karola Godulę, dusząc go w brudnym pokoiku hotelowym zrewolucjonizowanego wówczas miasta Wrocławia.

2.

Bernard Bogedain z Wróblina pod Głogówkiem był także wysokiego wzrostu. Raczej wątły, wydawał się za wysoki wówczas, kiedy milczał. Natomiast gdy mówił głos jego jakby wydobywał się z głębokiej studni, niski i pełny; głos harmonizował ze wzrostem, cała postać była silna, jakby z jednej bryły. Po roku 1848 spodziewał się zbyt wiele. Marzyła mu się niepodległość Polski, ale nie pochwalał form rewolucyjnych. Wybrany do berlińskiego Zgromadzenia Narodowego zasiadał na prawicy, podczas gdy przedstawiciel polskich Górnoślązaków ks. Józef Szafranek od samego początku do końca swego posłowania trwał na lewicy; a kiedy biskup wrocławski zakazał mu zasiadać na lewicy — stał na lewicy podczas każdego wielogodzinnego posiedzenia. Bogedain z Szafrankiem zgadzał się tylko wtedy, gdy trzeba było rozegrać bitwę o język polski. Był fanatykiem języka polskiego i stąd jego prawo do naszej pamięci.

„Tygodnik Górnośląski“ prowadził niewątpliwie politykę narodową polską. W jego redakcji bytomskiej nie było ani jednego Niemca a Lompa raz po raz dawał tu wieczory autorskie, recytując swe ubogie wierszyki, pełne prymitywnych wzruszeń, pełne ludowych tonów i skarg. Jakże inaczej było w opolskiej redakcji Bogedaina. Był on redaktorem polskiej mutacji rządowego pisma. Tytuł polski brzmiał: „Gazeta wiejska

dla Górnego Śląska". Tekst niemiecki kolportowany był w siedemdziesięciu egzemplarzach, tekst polski odbijano w 180 egzemplarzach. Stąd wniosek, że gazeta była poczytna, ale po stronie polskiej. Bogedain redagował pismo w duchu pięknej polszczyzny. Nauczył się w Poznańskim, czym jest dla ucha piękny język ojczysty. Odtąd był przeciwnikiem gwar. Pod tym względem jego gazeta była lepsza od „Tygodnika Górnos Śląskiego“, w którym — nawet pod piórem Lompy — trafiały się *roztomane* regionalne zgrzyty. Jeden egzemplarz „Gazety“ niewątpliwie musiał docierać do Łędzin. Nie była to bowiem piekarska kontrabanda, którą ścigali szandarzy, śledził landrat, przenosili zakonspirowani kolporterzy. Była to prusko-rządowa gazeta z pobożnymi hasłami, wypisanymi na czele numeru.

Bogedain od samego początku — wierny swej miłości — realizuje plan przebudowy szkolnictwa na Górnym Śląsku. Jako wizytator rządowy ma najwięcej do powiedzenia. W ciągu dwudziestu lat z jego szkół wyjdzie pokolenie, które z dumą nazywać się będzie bogedainowskim. Późniejsze sukcesy „Katolika“, pisma politycznego, wynikać będą po części z owych przemian językowych, które sprawiła szkoła Bogedaina.

W roku 1850 umarł ojciec Miarki, dotychczasowy nauczyciel i organista w Pielgrzymowicach, rodzinnym gnieździe. Z osiemnaściorga dzieci najstarszy Karol, pracował w zawodzie ojca. Obrany więc został następcą ojca i w czerwcu 1850 zaczął uczyć w szkole, w której sam kiedyś brał baty od rodzica.

Bogedainowska reforma zniosła tak zwaną metodę Sagana, według której słówek należało się uczyć paralelnie; dla lepszego zapamiętania łączono je w rymy:

Grzywa — die Maehne, poręcz — die Lehne,
Jagnię — das Lamm, grobla — der Damm
Ławka — die Bank, powróż — der Strang...

Odtąd rymowano polszczyznę z ojczyzną, ziemię z plemieniem. Miarka zasłynął wkrótce jako dobry pedagog. Polskość narastała w nim powoli i dlatego słynna rozmowa z Bogedainem w czasie wizytacji pielgrzymowickiej szkoły, zwykle ukazywana zarówno w literaturze naukowej o Miarce, jak i beletrystycznej, jako *sui generis* cud — była po prostu pewnym zamknięciem długiego okresu wahań, pomyłek i niepewności. Co Miarkę zastanowiło wówczas, późnym latem roku 1853, to owa czysta polszczyzna w ustach wysokiego urzędnika pruskiego, księdza i nauczyciela. O żadnym cudzie nie mogło być mowy. Miarka czytywał w tym okresie na pewno i książki „liberalne“.

Rozmowa z Bogedainem miała jeszcze i inne skutki. Od pewnego czasu w związku z ruchami roku 1848 Miarka zdawać sobie musiał sprawę z osobliwej pozycji, jaką Śląsk zajmuje w państwie niemieckim. Naokoło Pielgrzymowic a i w samych Pielgrzymowicach ludzie coraz śmielej mówili o innych czasach. Bogedain wskazał na germanizację, jako na źródło wszelkiego zła. Ksiądz miał w tym nie tyle polsko-narodowe, ile swoje własne kościelne cele. Rozbudzone polskie masy ludowe czekały na przywódców. Miarka zaczął się uczyć gramatyki polskiej; język, którym mówił na co dzień, przetykany był zwrotami niemieckimi — postanowił z tym zerwać.

Można zaryzykować twierdzenie, że zaraz po wyjeździe Bogedaina, zanim jeszcze powiędła brzezina, którą umajono wejście do pielgrzymowickiej szkoły, Miarka zaczął się zastanawiać poważnie nad swoją przyszłością. Kariera nauczycielska nie nęciła go już chyba zbyt. „Książek

polskich ani śpiewek polskich nie posiadałem“ — zwierzył się czytelnikom „Gwiazdki Cieszyńskiej“ w dziesięć lat później, mówiąc o tych swoich początkach przebudzonej polskości. Zaczął więc sam tworzyć literaturę, tłumacząc pieśni niemieckie na język polski. Ale lud wołał swoje dawne polskie pieśni. Zaczął więc zbierać je, spisywać, podsluchiwać. I tak dość nagle znalazł się na szlaku, na którym kroczyło już wielu innych z Lompa na czele.

3.

Pisarzy było już wtedy na Śląsku więcej. Józef Lompa uprawiał twórczość literacką od 1821 roku i dziełka jego, malutkie tomiki z serdecznymi dedykacjami dla ludzi prostych, tu i ówdzie dotarły już do ludu. Ks. Szymon Perzych tworzył literaturę religijną po polsku, i częściowo po niemiecku oraz po czesku. Przed tym jeszcze pieśni religijne, wzorowane na Kochanowskim, rozpowszechniał między prostymi ludźmi ks. Jan Gałeczka. Ks. Józef Szafranek, choć polityk i mówca, także nie stonił od pióra. Proboszcz michałkowicki ks. Antoni Stabik w pamiętnym roku 1848 wydał nawet tom wierszy o charakterze świeckim „Żarty niezarty czyli wierszoklectwa wesołych i poważnych marzeń“. Gorzej powodziło się w poezji ks. Adrianowi Włodarskiemu z Hajduk, późniejszemu biskupowi-sufraganowi we Wrocławiu. Poetą był także Jan Gajda, malarz pokojowy, który w roku 1848 próbował formułować cele rewolucji narodowej: „Musimy pracować... Uczy nas historia Anglików, Francuzów i Niemców, że gdy się lud pobrata i połączy w jedną całość, tego największy wróg nie pokona. I my to samo czynić możemy, oparci na wolnościach konstytucyjnych“. Mieszkał wtedy na wsi. „Napocznijcie — radził — tak jak my. Zgromadziliśmy się 40 członków i założyliśmy klub niedzielny. Co niedzielę gromadzą się licznie członkowie u sołtysa, gdzie im czytam „Dziennik Górnośląski“, „Gazetę Polską“ i inne pożyteczne pisma...“ Jego hymn o Śląsku zaczynał się zgoła rewolucyjnie:

Znasz ty tę ziemię, co z wszystkich skarbów słynie,
Z której dla obcych złoto w kieszeń płynie...

Gajda, przebywający w towarzystwie księży, najczęściej oddanych patriotów pruskich, nie mógł wtedy jeszcze dośpiewać sobie końca swego hymnu. Nie zdawał sobie sprawy z klasowego charakteru swej wierszowanej manifestacji. Jeżeli później hrabia Henckel von Donnersmarck na Świerklańcu na utuczonym śląskim złocie ugruntuje niebylejaką swoją pozycję — trzeciego z kolei w Niemczech miliardera, po cesarzu i Kruppie — to była to jedynie konsekwencja rozwoju, zauważonego przez skromnego malarza pokojowego.

W każdym razie pisarzy ludowych było już tyłu, że Lompa poważnie myślał o założeniu towarzystwa literackiego.

Ale po latach nadziei przyjdzie rok zwątpienia. Reakcja niemiecka zdusi inicjatywę nauczycieli ludowych i mniej lub więcej odważnych proboszczów, po roku 1853 na długo na Górnym Śląsku zapanuje cisza w czasopiśmiennictwie i wydawnictwach. Jedyne „Gwiazdka Cieszyńska“ świecić będzie nikle na zachmurzonym górnośląskim niebie. Gdy w roku 1858 na łamach tejże „Gwiazdki“ kowal Juliusz Ligoń zadebiutuje wierszem „Kilka słów do pisarzy i ludu“, Lompa tak się ucieszy, że kowalowi przyśle książkę w podarunku z serdeczną dedykacją.

Droga Karola Miarki do literatury prowadzi także przez „Gwiazdkę“. Tutaj drukuje pierwszą swoją powieść „Górka Klemensowa“, opartą jeszcze na wrażeniach lędzińskich. Tu w Cieszynie roku 1861 wita Pawła Stalmacha oracją, układaną przez całą drogę do Cieszyna, oracją, w której brzmią już tony i okresy znanych polskich literatów. W rok później z Cieszyna do Pielgrzymowic przybywa Józef Chociszewski, pisarz ludowy, którego książeczki kolportowane były na odpustach. Chociszewski ma nadzieję założenia pisma ludowego na Śląsku. Miarka wypytuje go wieczorami o literaturę polską. Przyszły autor popularnej historii literatury polskiej umie opowiadać szeroko i barwnie. Nauczyciel Miarka jak uczeń notuje w zeszytiku nazwiska, tytuły, przy nazwisku Lenartowicza zaś stawia wykrzyknik. Lompa już korespondował z Kraszewskim. Miarka zapuszcza się w gąszcz nazwisk ostrożnie jak w egzotyczną dżunglę.

Za to od razu pierwszy artykuł Miarki w „Gwiazdce Cieszyńskiej“ był wydarzeniem publicystycznym niemałej miary. Z taką namietnością nie pisano jeszcze na Śląsku. Gniew wzrastał w tym nauczycielu powoli. Jego „Głos wołającego na puszczy górnośląskiej, czyli o stosunkach ludu polskiego na pruskim Śląsku“ to jeden wielki krzyk. „Mam teraz ciągle około 90 książeczek u chętnych czytelników“ — informuje tu o swojej bibliotece. „W gminach, gdzie gminnym jestem pisarzem, trzymamy nadto gazety polskie. Każdą niedzielę zgromadzają się gospodarze, czytamy i rozmawiamy nad treścią odczytaną“. Walczy tu z pogardą tych, którzy pragnęliby w Górnoślązakah widzieć jedynie bydło robocze. Zakładajcie biblioteki ludowe! — woła. Uczcie się pięknej polszczyzny! — nakazuje. Pielęgnujcie pieśni ludowe! — namawia. Z artykułu tego widać, jak olbrzymią wiedzę o Polsce i jej kulturze, o języku polskim i stosunkach śląskich zgromadził Karol Miarka w ciągu długich wieczorów rozmyślań. Artykułem tym, a nie „Górką Klemensową“, wpisał się na trwałe w annały literatury polskiej.

1868 po długich latach suszy — deszcz urodzajny: zaczyna wychodzić „Zwiastun Górnośląski“, wydawany przez sprytnego Heneczka, który dobrze sobie obliczył ewentualne dochody z pisma. Nie przewidział tylko jednego. Ostrożny program „Zwiastuna“ może nie odpowiadać już poruszonym masom śląskim. Miarka, wstępując do redakcji „Zwiastuna“, pragnął dostosować poziom pisma do potrzeb ludu. Ale z Heneczkiem, spekulującym na wydawnictwach, nie łatwe były rozmowy na ten temat. Wobec tego Miarka wystąpił z redakcji. Jeszcze Heneczek próbuje przekupić Miarkę. „Ja, widząc chytręgo węża — pisze o tym — wiedziałem dobrze, że skoro go odsunę od redakcji, to on zaraz pod ręką moją będzie zakładał drugie piśmko... a dwa pisma na Śląsku nie są w stanie się utrzymać“. W końcu jednak Heneczek przestraszył się. Oto duchowieństwo zaczęło go zasypywać listami przeciwko Miarce: Miarka niebezpieczny buntownik, Miarka szerzy nienawiść do niemieckich panów, Miarka podważa pokój wewnętrzny na Śląsku!

Miarka ustąpił z ulgą. Miał przynajmniej satysfakcję, że ani razu nie poszedł na lep łatwej ugody. „Znasz bogatego fabrykanta, dla którego oprócz parowych pracują i żywe maszyny, bo oprócz machin zatrudnia kilkuset ludzi w fabryce swojej. Czyliż niedość fabrykantów, co swoich robotników nie inaczej jak maszyny swoje poważają, bo więcej oburzają się nad zepsuciem maszyny, jak nad nieszczerściem ubogiego robotnika, którego maszyna na kawałki poszarpała... Czyliż taki fabrykant ma serce, który korzystając z ubóstwa i z biedy ludu najlichszą płacą nadgradza niebezpieczną i ciężką pracę jego?“ A położenie robot-

ników w przemyśle śląskim było coraz gorsze. Ustawa zakazywała przemysłowcom śląskim zatrudniać dzieci. Protestował przeciwko temu zastępca prawny Donnersmarcka, radca górniczy Ficinus. Twierdził, że ustawa ta ogranicza wolność przemysłową. Bronił zatem wolności wyzysku. Rząd oficjalnie nie przyznał Ficinusowi racji, ale tajnymi pismami zezwalał na omijanie ustawy. Długość dniówki zależała od właściciela kopalni. Dzieci mogły po dwunastu godzinach pracy wrócić do domu, starsi musieli siedzieć pod ziemią piętnaście godzin często. W latach 1867—1870 wskutek tego wszystkiego zwiększyła się zdolność produkcyjna górników śląskich o 50%, ale równocześnie wzrosła liczba wypadków śmiertelnych, z około 2% w roku 1852 do przeszło 3% w roku 1868. Pytania Miarki uderzały w samo sedno zagadnienia. Ta retoryka publicysty-polityka, choć osłabiona później przez wnioski, dawała wiele do myślenia ludziom umiejącym czytać, ludziom przygotowanym na przyjęcie najbardziej radykalnych rad.

Heneczek miał rację: skoro tylko wypuścił Miarkę z redakcji, byt „Zwiastuna“ został zagrożony. Za zarobione pieniądze Miarka zdołał ubrać dziewięcioro dzieci i — kupić chełmneńskiego „Katolika“ od Chociszewskiego. Pewien księgarz poznański dopomógł mu do złożenia kaucji rządowej, potrzebnej przy wydawaniu pism politycznych. 1 kwietnia 1869 w Królewskiej Hucie ukazał się pierwszy numer nowego pisma.

4.

Jakże wyglądało w tej król-huckiej redakcji Karola Miarki? Pismo „poświęcone nauce, przemysłowi, zabawie i wiadomościom politycznym“ mieściło się w jednym pokoiku. Obok znajdowała się księgarnia, która na długi czas będzie ośrodkiem kształcenia polskiego dla robotników Królewskiej Huty, dzisiejszego Chorzowa. Miarka w czarnym chałacie z rozwianą brodą przez kilka godzin dziennie załatwiał korespondencję, rozmawiał z ludźmi, pisał artykuły. Rozmowy z ludźmi były najciekawsze. Już w Pielgrzymowicach był doradcą we wszystkich sprawach. „Katolik“ wyniósł go na czoło wydarzeń. Wieczorami uczył się prawa, ekonomii, historii, języków, rzemiosła, geografii — o wszystko bowiem mogli go zapytać czytelnicy, tarasujący swymi wozami ulicę przed redakcją, tak że specjalny żandarm regulował ruch na tym odcinku ulicy. Redaktor „Katolika“ musiał wiedzieć o wszystkim.

Program Miarki bardzo przypominał w tym zakresie program pozytywistów polskich. Oczywiście był to pozytywizm w miniaturze, dostosowany do specyficznych warunków śląskich i do poziomu oświaty polskiej na Górnym Śląsku. Jego praca od podstaw widoczna była tak na polu oświaty jak i życia gospodarczego. Ukazując mechanizm kapitalizmu — nie umiał rozszyfrować istotnych przyczyn nędzy i wyzysku. „Katolik“ redagowany był radykalnie, śmiało mieszał się w sprawy ogólnopolskie; w okresie wojny prusko-francuskiej stanął wyraźnie po stronie Francji i artykułem „Polska i Francja“, pióra samego Miarki, przypominał przyjaźń ludów przeciwko tyranii i despotom. Dla król-huckiego „Kółka“, w którym odgrywa rolę przywódcy, pisze odczyt, wydany później w broszurze pt. „Przyjaciel górników i robotników, czyli wskazówki, jakim sposobem się z niedoli ratować i przed grożącym niebezpieczeństwem ocalić mogą“. Broszura, zaatakowana przez Heneczka,

rozeszła się szybko wśród robotników. W „Katoliku“ ukazały się później głosy robotników na temat broszury i polemiki Heneczka. I tym razem Miarka, dając naogół dobrą charakterystykę robotnika śląskiego, demaskując rolę kapitału w ucisku jednostki („zależność od fabryki pozbawia go wolności głosowania“), błądzi we wnioskach, uważając upadek wiary wśród bogatych jak i ubogich za główny powód nędzy i ucisku. Ale nie mogły przebrzmieć bez echa takie oto zdania: „Twierdzą niektórzy, że strajki powiększyły nieszczęście robotników, lecz bez zasady. Prawda, że robotnicy podczas strajku dosyć cierpieli biedy, lecz bogacze, aby uniknąć szkody, przez zawieszenie roboty w fabrykach poniesione, chociaż nie zaraz, podwyższyli płacę robotnikom“.

Nie trzeba było długo czekać na skutki uświadomienia robotników. Strajk robotników Królewskiej Huty i okolicznych kopalń unieruchomił przemysł na kilka dni. Trzy tysiące robotników chodziło po ulicach z czerwonymi sztandarami. Nie pomogły uspokajające słowa księdza De-locha, landrata, burmistrza. Zorganizowano coś w rodzaju komuny, która załatwiała sprawy strajkujących. Dopiero ułani, przybyli tu z francuskich placów boju, rozpędzili tłumy a sądy stłumiły resztę zapału. Nie na długo zresztą.

Miarkę oskarżono o nawoływanie do rozruchów. Jego „Przyjaciel robotników“ miał jakoby odegrać poważną rolę w tym wszystkim. Miarka sam bronił się dzielnie, mimo to — przymykając oko na jego samoobronne wywody — przyznać trzeba, że „Przyjaciel“ nie mało narobił zamieszania. To była naprawdę buntownicza książeczka.

Równocześnie opanowuje go inna pasja. Teatr! Piszze sztuki, które rodzina jego, z brodaczem na czele, odgrywa na scenie. Dziećmi swoimi obsadza co ważniejsze role. Dla większego ruchu wokół tych przedstawień sam pisze recenzje teatralne. Założona przez niego „Spółka poczytywych wiarusów“ za 745 talarów, zebranych w drodze składek, zakłada konsum robotniczy. Konsumy — to nowa jego pasja. W Tychach na wiecu przemawia do delegatów całej okolicy. Równocześnie pilnuje w drukarni pierwszego numeru nowego pisma: „Poradnik Gospodarski“.

W okresie walki kulturalnej — redaktor i publicysta staje na szczytach swego rozwoju. Połączył losy ludności polskiej z losami katolickiego Centrum. Później Centrum wywdzięczy mu się za to — walką przeciwko językowi polskiemu. W ciągu pierwszych dwóch lat siedemdziesięciolecia siedem razy przyjdą po niego żandarmi, by go zamknąć w więzieniu. „Katolik“ osiągnie największy nakład spośród śląskich pism centrowych — osiem tysięcy egzemplarzy! Poczytna wrocławska „Schlesische Volkszeitung“ nie przekroczy nigdy pięciu tysięcy. Później poczytność „Katolika“ będzie wzrastała proporcjonalnie do wzrostu świadomości narodowej na Śląsku. Jedenaście tysięcy, piętnaście, dwadzieścia dwa tysiące! Każdą taką cyfrę zaś trzeba pomnożyć conajmniej przez dziesięć. „Katolik“ był bowiem czytany gromadnie, tak jak dzięki szerokiej sieci korespondentów terenowych — redagowany był niemal kolektywnie, pod kierownictwem mądrego Miarki. Na wieczory dyskusyjne „Katolika“ Miarka zjawiał się w „polskim stroju narodowym“, jak donosi o tym Franzke (w „Die oberschlesischen Industriearbeiter“) na podstawie raportów policyjnych z tajnych archiwów pruskich. „Jeśli tak powiedział Miarka, to nie może być inaczej“ — upowszechniło się niemal jako przysłowie. Autorzy niemieccy notują to z przerażeniem.

Przeciwko „Katolikowi“ powstaje wreszcie gazeta dywersyjna. Dwujęzyczny „Schlesier-Szlązak“, wychodzący od 1872 lat siedem w Pszczynie, finansowany był przez wielki przemysł. Pismo założyli dyrektor

Huty Królewskiej i Laura oraz generalny dyrektor zarządu dóbr i przedsiębiorstw księcia pszczyńskiego. Genealogię miało zatem pismo jak ułań. Tylko, że nie na rozpalone walką umysły prostego robotnika i chłopca śląskiego. Niejaki kapitan Schimmelpfennig zajmował się finansami pisma. Ile talarów zebrał on w kasie redakcyjnej? Musiały to być miliony, skoro dwukrotnie usiłowano tymi samymi pieniędzmi przekupić Miarkę. Raz to nawet sam Schimmelpfennig pofatygował się do mieszkania Miarki i napełniając pokój dymem z drogiego cygara — proponował, kuśi, wykladał pieniądze na stół. A było tego blisko 70 tysięcy talarów.

Zachowała się lista subkrypcyjna przemysłowców na rzecz pisma. Huty Królewska i Laura, książę pszczyński, hrabia Donnersmarck oraz katolicki magnat Thiele-Winkler dali po półtora tysiąca talarów. Do nich dołączył się później milioner z Ujezda, książę sławieicki, z dalszym półtora tysiącem. Nadto osiemnastu dalszych subskrybentów przemysłowych ofiarowywało poważne sumy. Nawet potulny książę raciborski, który zajmował się do pewnego czasu macaniem kur a nie wielką polityką, przesłał przez posłańca konnego tysiąc talarów.

Stółek redaktorski był zatem wymoszczony prawdziwym złotem. Długo jednak redaktora nie było. Wreszcie niejaki Jan Noras, 36-letni elwer z Bierunia, donosiciel, wstrętne indywiduum, napisał do jednego z wydawców list, w którym odkrywa wszystkie swoje lokajskie talenty. „Ja wypracowałem dla p. burmistrza Bialeckiego wniosek celem ukarania Miarki za obelgę i udokumentowałem go, gdyż pan burmistrz sam nie włada dostatecznie językiem polskim, aby móc „Katolika“ dobrze rozumieć” — pisze w swoim liście. Przyznaje się do wierszyków wyszydających Miarkę na łamach starokatolickiej „Prawdy“, chwali się, że umie fałszować podpisy, organizować wiece i przemawiać.

W kwestiach finansowych jest jednak niewzruszony: „Kwota 2000 talarów rocznie, jako pensja dla redaktora, wydaje mi się być niezbyt wygórowaną“. Ostatecznie dorwał się do fotelu i oto jak zaczyna: W pierwszym zaraz numerze, żeby pobudzić patriotyzm pruski Ślązaków, przedrukowuje w przekładzie polskim szowinistyczną pieśń „Die Wacht am Rhein“.

Ale pisma nikt nie chce czytać. W końcu przemysłowcy stracili nadzieję na skuteczność całej tej akcji i przestali pismo finansować. Noras całe nakłady sprzedaje na makulaturę pewnemu kupcowi bytomskiemu. Wreszcie — jak przystało na renegata — żywot Norasa kończy się na gałęzi. Sam sobie wymierzył sprawiedliwość.

A „Katolik“ walczy nieustępliwie. Bismarck czyta artykuły Miarki w Reichstagu i walić pięścią w stół domaga się ukarania zuchwałego redaktora. Zuchwały redaktor prawie nie wychodzi z więzienia. Razem z nim po kolei odwiedzają więzienie jego zastępcy. Rodzinna dywersja także dogryza mu jak może. Bracia Przynicznyńscy, którzy założyli w Bytomiu „Gazetę Górnośląską“, starają się podważyć jego dobre imię. Heneczek nieustannie opluwa Miarkę. Agresywny ksiądz Przynicznyński organizuje nawet wiece przeciwko Miarce. Trwają za to przy nim najwierniejsi. Kowal Juliusz Ligoń pisze wiersze agitacyjne: Nowy kwartał się przemyka — zapisujcie „Katolika“! Robotnicy oświadczały w listach do redakcji, że dadzą się porąbać za Miarkę: „Jesteś naszym dobroczyńcą, tyś naszą wiarę podniósł i ojczyznę nam pokazał w całej jej krasie“.

Sukcesy polityczne „Katolika“ i Miarki zmobilizowały przeciwko niemu całą polską i niemiecką reakcję. Wkrótce w partii, którą popierał

i której zapewnił czołową pozycję na Śląsku, pojawiają się politycy, którzy postanowią go zniszczyć. „Dał nam wpływy, to prawda — pisze jeden z nich we wrocławskim organie „Centrum“ — ale oderwał Śląsk od Niemiec. Maluczko a nie będziemy tam mieli nic do szukania a wszystko to zawdzięczać będziemy Karolowi Miarce“. W ten sposób organ „Centrum“, walcząc z Miarką pod koniec jego pracowitego życia, wystawił mu chlubny nagrobek, nie przewidując nawet, jak bardzo zbliżył się do prawdy dziejów, które szły.

Dojeżdżali do Królewskiej Huty. Już poznawali Miarkę ludzie, idący do miasta lub z miasta. Uchylali głęboko kapelusza, kłaniali się królowi polskiemu, pędzącemu na zwykłej gospodarskiej bryczce.

Bełza przypatrywał mu się z boku. Na wysokie obnażone czoło pięty się zmarszczki, ale oczy, wypełnione światłem, były teraz szersze i jaśniejsze, niż tam w Mikołowie.

— Tak, głodnych u nas nie mało — westchnął Miarka — głodnych słowa polskiego i książeczek. Znałeś pun może Lompe, wieszca naszego?

— Styszałem o nim wiele.

— Jego dziełka jeszcze teraz lud przechowuje. Czyta z nich jak z biblii. Proste one są, prostego serca, ale polskie.

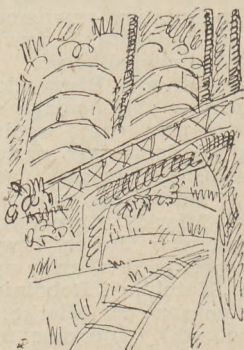
Mała lokomotywa zatarasowała przejazd, szybko opadały czarno-białe bariery na widełki. Stała bryczka. Po chwili przed barierą zgromadziło się wielu robotników. Ktoś szepnął: Miarka! Wszyscy otoczyli bryczkę. Literat warszawski patrzył i słuchał:

— Jakoż to z nami bydzie? Gnębią nas ustawicznie. Z pracy zwalnają. Polszczyznę gniotą. Panie Miarka, wyście uczony, wy nasz dobrodziej.

Miarka powoli odwrócił się w stronę Bełzy.

— Głodni są, jak pan widzisz, głodni słowa. Ziarno, któreście im przysłał łaskawie, zjedli już wszyscy. Ale słowa ciągle im mało. Ja sam nie nastarczę. A i mnie gnębią...

WILHELM SZEWCZYK



ZDARZENIA

i komentarze

Faszyzm, odradzający się na zachodzie Europy, to zjawisko natury nie tylko politycznej. Poczynaniom marionetkowego rządu Adenauera przytakuje neofaszystowska literatura. Po siedmiu latach wyszedł z więzienia alianckiego jeden z czołowych bardów hitlerowskich, Hanns Johst, oświadczając dziennikarzom, że teraz dopiero wierzy naprawdę w Hitlera. Oczywiście oświadczenie to prasa faszystowska przedrukowała, a za jej pośrednictwem bez komentarzy dostało się ono również do prasy francuskiej, włoskiej i anglosaskiej. Strzały, które w Essen zabiły młodziutkiego obrońcę pokoju, Filipa Muellera, były dla większej części społeczeństwa zachodnich Niemiec wstrząsającym przeżyciem, uświadamiającym im konieczność walki o pokój bardziej, niż by to uczynić mogło dziesięć przemówień. Max Reimann, przemawiając na pogrzebie młodego członka FDJ w Monachium, przyznał, że strzały te poruszyły setki, tysiące Niemców, dotąd obojętnych na losy pokoju.

Tymczasem w Bonn podpisano tak zwany układ ogólny. Przewiduje on „równouprawnienie Niemiec pod względem wojskowym, ze specjalnym, nie podlegającym wymówieniu, porozumieniem wojskowym“. Ale tym samym „republika związkowa“ czyli Trizonia okupiła wskrzeszenie Wehrmachtu utratą swej suwerenności, której zresztą nigdy nie miała. Postanowienia układu ogólnego wyraźnie mówią, że „władze alianckie w pewnych wypadkach będą miały prawo ingerencji“.

Walka z układem ogólnym to nie tylko sprawa Niemców. Społeczeństwo niemieckie, zwłaszcza społeczeństwo Niemieckiej Republiki Demokratycznej, protestuje najwymowniej. Ale aktywizacja neofaszystów niemieckich ma przecież swoje źródła w ogólnej aurze politycznej zachodniej hemisfery. Francuski rząd Pinay'a — w zgodzie z postanowieniami układu ogólnego, z jego tajnymi klauzulami zapewne przede wszystkim — postanowił dokonać zamachu na wolność i suwerenność Francji. Aresztowanie Jaques Duclos, prowokacje i represje policji — mają stworzyć odpowiedni grunt, na którym zapuści korzenie faszystowska dyktatura. W Barcelonie, w której tak niedawno jeszcze stłumiono

krwawo powstanie robotników, odbył się kongres eucharystyczny. Z Andersem na klęczkach spotkali się tutaj biskupi włoscy, którzy lecąc samolotem z Barcelony do Madrytu manifestacyjnie rzucali kwiaty na cmentarz wojskowy w Gozza, gdzie zostali pogrzebani żołnierze faszystowskiej interwencyjnej armii Mussoliniego. W tejże samej Barcelonie, jeden z biskupów zachodnio-niemieckich, korzystając z tak liczного zgromadzenia, wygłosił przemówienie antypolskie i antyradzieckie i narzucił pewnej części kongresowiczów rewizjonistyczne ślubowanie.

Rewizjonizm — oto jedna z owych rzekomo cudownych broni, która produkowana w Niemczech zachodnich, zbyt często nosi znak szczególny **made in USA**, by nie można się było zorientować w jej właściwym pochodzeniu. Raz po raz rewizjoniści przez nasłanych agentów próbują dezorganizować życie polskie na Ziemiach Zachodnich. Zabójstwo młodego działacza harcerskiego Jerzego Kołdy w Opolu, w perfidii i tchórzostwie swym tak charakterystyczne dla metody faszystowskiej, ani na chwilę nie odwróciło młodzieży opolskiej od wspólnych dążeń, od wspólnej drogi. W żadnym wypadku już nie mogą być uważane za poważne — oszczerce i plotkarskie wiadomości o Chińczykach na Śląsku. Plotka o Chińczykach pojawia się nie po raz pierwszy. W ubiegłym roku mniej więcej o tej samej porze zjawiała się ona w głowach redaktorów „Schlesische Rundschau“, tym razem powtórzył ją „Der Schlesier“, umiejscawiając inwazję chińską w okolicy Rybnika. Rybnik, miłe miasto, tonące w kwiatkach, jest miastem młodzieży. Młodzież Rybnika, pracująca w fabrykach i kopalniach, odpowiedziała na plotkę o Chińczykach zobowiązaniami złotowymi, które wiążą ją z rzeczywistością w tym samym stopniu, w jakim chińskie plotki zachodnio-niemieckich rewizjonistów oddalają ich od rzeczywistości.

Młodzież Rybnika i Bytomia, Katowic, Chorzowa i Sosnowca, młodzież z całego Górnego Śląska daje najlepszy przykład pokojowej, wytrwałej pracy. Młodzieżowcy Bytomia zaoszczędzą swą pracę trzy miliony złotych! Lista przodowników pracy z dnia na dzień wzbogaca się o nowe, młode nazwiska. Do niedawna mało kto słyszał o zespołach ścianowych kopalni „Katowice“. A teraz nazwiska Józefa Królika, Józefa Ganzery i Henryka Szylera świecą ze szpalt gazetowych optymistycznie i ciepło. Nie jest także rzeczą obojętną, że do kopalni Katowice prowadzi teraz zamiast błotnistej wąskiej drożyny, szeroka jasna szosa. Ręce robotników polskich wydobywają bowiem nie tylko węgiel, służą nie tylko ugniataniu gorącej stali, ale zmieniają krajobraz Śląska, całego kraju, nadając mu charakter krajobrazu socjalistycznego.

Dnia 14 czerwca załogi kopalń „Eminencja“ i „Wesoła I“ wykonały plan półroczny roku 1952. Obok nich już i inne kopalnie na wiele dni przed terminem zameldowały o wykonaniu planów. W pobliżu kopalni „Wesoła I“ rośnie wielka socjalistyczna budowla Polski Ludowej — nowa kopalnia. Cel tej wielkiej inwestycji jest ten sam, jaki przyświecał budowniczym kanału Wołga — Don; również i ta nowa kopalnia, dzieło robotniczych rąk, służyć będzie sprawie pokoju.

Im więcej takich ludzi, im więcej takich pokojowych dzieł, tym mniej groźnym staje się układ ogólny, dzieło faszystów. Im więcej pokojowych osiągnięć polskiej młodzieży ZMP-owskiej, tym większa nadzieja sprzęga szeregi Freie Deutsche Jugend, walczącej z inwazją neofaszystów na teren życia niemieckiego. Albowiem wszystko spleta się w jeden łańcuch przyczyn i skutków. Za przyczyną światowej armii obrońców pokoju — obroniony i wywalczony zostanie pokój!

KSIĄŻKI

POPRAZ MITY KU REALIZMOWI

Gustaw Morcinek: **POKLAD**
JOANNY, Gebethner i Wolff,
Warszawa 1951, stron 473.

Kiedy w roku 1848 we wrocławskim hotelu pod Złotą Gęsią umierał Karol Godula, magnat śląski, „wypajtnięty“ czyli pozabawiony męskości przez mściwych kłusowników jeszcze w czasach, kiedy był gajowym w hrabiowskich lasach, wokół jego hotelowego łóżka tłoczyli się jezuici, spodziewając się, iż umierając bezpotomnie cały swój olbrzymi majątek zapisze zakonowi. Ale Godula nie na darmo uchodził za mizantropa i bluźniercę. Odpędziwszy jezuitów od łóżka, sporządził testament, którego mocą cały jego majątek ruchomy i nieruchomy przeszedł w ręce sześciolatniej Joasi Gryczykównej, córki sprzątaczkii w jego rudzkim domu. Samo inwentarium, szczegółowo odnotowane w testamentie, zajęło 399 stron folio, opis zaś i charakterystyka dóbr — drugie tyle. Zaslugą Wilhelma I jest, że ten olbrzymi majątek dostał się w ręce niemieckie, mała dziewczynka z Rudy bowiem po niemiecku miała się nauczyć dopiero na pensji wrocławskiej. Uszlachcona — wydana została w roku 1858 za degenerata Schaffgotscha, który część swego ojcowskiego majątku przehułał w kasynach i klubach oficerskich Berlina. W ten sposób nowy ród arystokratyczny Gryzik von Schomberg-Godulla, jako *im Mannesstamme erloschen*, zakończył się na Joannie, a fakt ten gotajskie vademecum genealogiczne notuje

jako niezwykle, opatrując go wykrzyknikiem.

Ale dość o Joannie i o fortunie Goduli. Wszystko to są jedynie pradzieje pokładu Joanny w szymbie Arnolda, wokół którego rozgrywa się akcja powieści Gustawa Morcinka, nagrodzonej państwową nagrodą literacką za rok 1951. Fakty powyżej opisane przedostały się do powieści Morcinka w formie zmitologizowanej i odrealnionej, uwaga autora bardzo szybko ześlizguje się z owych arystokratycznych wyżyn, by do końca powieści już służyć sprawie ważniejszej, sprawie walki toczzonej na pokładzie i wokół pokładu Joanny. I tu jest miejsce na realizm, tu obserwować można, jak dość niewyraźnie zarysowana z początku koncepcja powieści tężeje, osadza fakty i wydarzenia w realistycznych ramach, jak zwolna na bohaterów powieści wyrastają ludzie pokładu, pokolenia coraz dojrzalsze świadomością toczzonej walki. Od Włocha Strandelli, bardzo mgliście jeszcze mówiącego o krzywdzie robotniczej, do Franciszka Kudery, organizatora walki, ludzie pokładu Joanny przebyli drogę daleką. Za czasów Strandelli niezadowolenie górników objawiało się w formie, której historia buntów robotniczych nadała nazwę tumultów. Przedstawicielem okresu zorganizowanych strajków jest już Ignacy Kulisz, postać przez autora pokazana może najbardziej wszechstronnie i ciepło zarazem. Fragmenty rzeczywistości międzywojennej, widziane poprzez losy i śmierć Kulisza, to próby oskarżenia ustroju, który atakowany był przez autora w sposób pośredni jeszcze przed wojną, w utworach mających za tło życie bezrobotnych. O ile jednak te przebliski realizmu krytycznego w międzywojennej twórczości Morcinka nie wpływały zasadniczo na ogólną tendencję

jego dzieł, tu w „Pokładzie Joanny” stanowią one naturalne ogniwo w rozwoju tak pisarza jak wydarzeń, opisanych w książce.

Wreszcie Franciszek Kudera. W postaci tej Morcinek zawarł sporo materiału typowego. Z początku wozak w pokładzie Joanny, potem uczeń politechniki — od początku tkwi mocno w swej klasie, dzieląc jej losy i wpływając decydująco na losy jej walki w okresie najtrudniejszym. Już sam problem inteligenta z robotnika jest typowy w społecznym krajobrazie Śląska sprzed drugiej wojny światowej, wbrew twierdzeniom tego młodego krytyka śląskiego, który przy okazji omawiania innej współczesnej powieści, zawierającej ten sam problem, stwierdził, że „autor umożliwił w ten sposób awans synowi robotniczemu w warunkach sanacyjnych, co przecież było niemożliwe”. Takich jak Franciszek Kudera było na Śląsku wielu, rośli oni w warunkach szczególnie trudnych i dzięki temu, nie mając bynajmniej ułatwionego awansu, wiązali się coraz silniej z własną klasą, której interesy mieli reprezentować.

W okresie okupacji Franciszek Kudera walczy jako towarzysz Arnold. Na zewnątrz widzimy go ze swastyką w klapie marynarki. I tu postawiony został przez autora i rozwiązany niezwykle typowy problem — wallenrodyzmu śląskiego. Nie ma potrzeby dokonywania szczegółowej dokumentacji tego problemu, ponieważ uczyniono to już wielokrotnie na innym miejscu, warto jednak posłużyć się cytatem z przemówienia hitlerowskiego gauleitera Śląska, potwierdzającym całkowitą zgodność sytuacji powieściowej z polityczną rzeczywistością okresu okupacyjnego. „*Nie należy zapominać* — oświadczył gauleiter Bracht 24. 1. 1943 roku

na wiecu w Chorzowie — że Polacy znajdują się wewnątrz partii hitlerowskiej i niejeden spośród posiadających dowody swego aryjskiego i niemieckiego pochodzenia jest naszym wrogiem i działa dla Polaków, ba co gorzej, dla komunistów ... nie należy też zapominać, że również w zachodniogórnośląskich powiatach, jak w opolskim czy strzeleckim, istniała mniejszość polska i że wskutek tego muszą tam i dziś jeszcze istnieć Polacy”.

Na pokładzie Joanny rosną ludzie. W ustawicznych utarczkach z naturą, z kapitałem, z uciskiem socjalnym i narodowościowym — dokonuje się ich przemiana, wyzwala się z nich energia, oczyszczona z mistycznego kopcia, skierowywana przez zdolnych organizatorów we wspólne koryto walki. Praca nie jest błogosławieństwem, tak jak w niektórych przedwojennych książkach Morcinka, gdzie karmelkowy optymizm nie był w stanie osłonić rzeczywistości. Praca przestaje być także przekleństwem. Wychowawca Kudery, stary górnik Szymiczek mówi jasno i prosto: „Dawniej górnik pracował tylko na panów, teraz pracuje dla wszystkich a więc i dla siebie. Dawniej kopalnia była „pańska”, teraz stała się kopalnią robotniczą. Teraz każdy kęs węgla to nasz węgiel. Każde uderzenie kilofem, to na naszą korzyść. Każdy skrzywiony gwóźdź czy złamany stempel to nasza szkoda!”

Morcinek, epik kopalni, dorzucił do swych dotychczasowych opisów nowy, wspaniały obraz, kiedy to w roku 1890 *ignis fatuus* przemienił dół w rozpadlisko i zaczął pogorzelisko. Tę dawną kopalnię, jej niespotykaną już dziś topografię, ów na pół mistyczny stosunek górnika, do pracy, utrzymywany zresztą świadomie przez kapitalistę — to nakładem kapitalistów niemieckich ukazy-

wały się zbiory baśni górniczych, w których Skarbnik karał zbuntowanych górników, nakazując im: Słuchaj i pracuj pilnie a sumiennie! — Morcinek zna doskonale. Dziś w okresie kombajnów, kiedy to na jednej już tylko kopalni używa się na dole koni, a i one w najbliższym czasie ustąpią miejsca maszynom, Morcinkowe opisy starej kopalni działają na naszą wyobraźnię, jak znane śląskie sztychy Knippela; wzruszają, ale ani na chwilę nie pozwalają zapomnieć o ludziach, którzy tutaj żyli, cierpieli, walczyli i umierali.

A więc jeszcze raz ludzie, ludzie jako najważniejszy atut autora w tej walce o realistyczny wyraz jego prozy. Pokolenia ludzkie przemijają i układają się w pamięci ludzkiej jak owe warstwy geologiczne w szybie Arnolda. Ale równocześnie z niewolników ustroju feudalno-kapitalistycznego wyrastają świadomi swej walki proletariusze. Całe dzieje pokładu to zatem przede wszystkim dzieje człowieka i jego świadomości, ukazane na tle katastrof i klęsk. Stąd rodzi się ów niebanalny optymizm „Pokładu Joanny“, największe może osiągnięcie autora w tej książce, ostateczna i jedynie słuszna zdobycz, wynikająca z tego stuletniego blisko rozrachunku. Wiara w postęp i w ostateczne zwycięstwo klasy robotniczej podana została tutaj w sposób oryginalny i niezwykle atrakcyjny, co stanowi drugą, bynajmniej nie peryferyjną wartość książki.

Artyzm „Pokładu Joanny“ wyraża się m. in. w obfitości metod pisarskich zastosowanych przez Morcinka. Gwara sąsiaduje tu z językiem literackim (n. b. gwara cieszyńska, będąca anachronizmem w środowisku górnośląskim), list z narracją, opis kronikarski z odautorskim komentarzem. Morcinkowi udało się prze-

mieszać te wszystkie metody, przez co styl powieści jest niepowtarzalny w swym trochę dziwnym pięknie, stanowiąc zarazem duże osiągnięcie autora.

Czy książka ma błędy? Krytyka dotychczasowa wytknęła ich sporo Morcinkowi. Nie będziemy tu powtarzać wszystkich zarzutów, wydaje się jednak, że najistotniejszy dotyczy naturalizmu, który w swoim czasie triumfował na stronicach „Inżyniera Szerudy“, wywołując zaniepokojenie u najżyczliwszych krytyków Morcinka. W powojennych opowieściach obozowych pojawił się raz jeszcze, w stopniu równie niepokojącym co wtedy. Tu w „Pokładzie Joanny“ jest go już nie wiele; wydaje się, jakby sam temat zmuszał autora do powściągliwości, do syntezy. Natomiast w partiach, w których Morcinek mitologizuje, stosowana jest przez niego wyłącznie metoda opisu naturalistycznego.

W literaturze polskiej o tematyce górniczej „Pokład Joanny“ zajmie miejsce poczesne z tytułu swych rozlicznych wartości i osiągnięć.

WILHELM SZEWCZYK.

ŚLĄSK PRZED WRZEŚNIEM

Wilhelm Szewczyk: *KLESZCZE*,
PIW, 1951, stron 237.

Debiut prozatorski Wilhelma Szewczyka nie był dla interesujących się twórczością tego pisarza ani zaskoczeniem, ani wyrazem ucieczki od poezji. Oczekiwało się raczej jego wcześniejszego pojawienia. Bowiem już od lat wczesnej twórczości, równoległe z rozwojem poetyckim idzie w parze zamyślenie do mowy niewiązanej. W roku 1937, na łamach katowickiej „Kuźnicy“ de-

biutuje Wilhelm Szewczyk właśnie nowelą zatytułowaną „Wiatr nad kopalnią“ a w niedługim czasie publikuje w „Zaraniu Śląskim“ drugą pt. „Bunt rudowłosych aniołów“, które zjednały mu opinię ciekawie zapowiadającego się talentu. Potem jego proza poczęła służyć niełatwym gatunkom i formom literackim, przystosowanym do potrzeb radia. Niestabnące zainteresowanie Szewczyka reportażem literackim po wojnie — kazało spodziewać się debiutu prozatorskiego.

W „Kleszczach“ autor sięgnął do ważnego dla nas okresu, szczególnie na Śląsku czekającego dotychczas bezskutecznie na słuszną analizę artystyczną, do ostatnich dni Polski przedwrześniowej. Jednak wydarzenia historyczne nie przesłoniły Szewczykowi spojrzenia na skomplikowany obraz stosunków społecznych Śląska — tym trudniejszy do rozszyfrowania w momentach krzyżowania się zorientacjami narodowymi bohaterów. Ostatnie godziny Polski przedwrześniowej, kiedy opadały zdradajemy maski — posłużyły raczej tylko do ostrzejszego zarysowania konfliktów, zaś wielowątkowa konstrukcja powieści — mimo, że akcja toczy się tylko w przygranicznej miejscowości — pozwoliła na ogarnięcie i zinterpretowanie bodaj wszystkich problemów i zagadnień, nurtujących mieszkańców Śląska. Nieomal jako aksjomat przyjęli dotychczas krytycy postawę autora wobec ówczesnej rzeczywistości — za słuszną. Dlaczego? Czy nie nasuwa obawy ten zasadniczy podział na dwa obozy, na dwie grupy bohaterów: tych, którzy służą idei postępu i ich przeciwników? Szewczyk wytyczył inną granicę patriotyzmu, posłużył się inną miarą przy ocenie: Polak — Niemiec, przyjaciel — wróg, zajął się właściwym ustalaniem „przeciw-

ników faszyzmu — jak mówi Budrecki w „Nowej Kulturze“, — umiejscawiając ich pomiędzy tymi, którzy obronę ojczyzny łączyli ze sprawą walki o przyszłe socjalistyczne społeczeństwo“. Nowe spojrzenie na stosunki w naszym kraju przed wrześniem 1939 pochłonęło uwagę krytyków ze szkodą dla szerszego komentarza, wartościującego artystyczny obraz swoistej struktury społecznej Śląska. Tym także należy chyba tłumaczyć przeoczenie przez dotychczasowych krytyków szeregu typowych postaci dla tego terenu (m. in. sylwetki Pozbieroła czy Niemca Waltera).

Głębsze spojrzenie na obraz powieściowy, który zrodził się z gruntownej znajomości stosunków i zdecydowanego klasowego stanowiska autora — pozwala nam orzec, że powieść nie posiada nic z cech łatwego schematyzmu. Sprawy i zagadnienia przedstawione w „Kleszczach“ znajdują swoje odbicie i potwierdzenie w ówczesnej rzeczywistości. Przyjrzyjmy się im bliżej. Walka o kopalnię i jej charakter grupuje wokół siebie zwolenników różnych ideologii i orientacji. Konspiracyjna działalność KPP znajduje w książce Szewczyka swoje odbicie w postaci Bartoszką. Współpracujący z nim inżynier Jilk, dziennikarz Emil, sztygar Klóсок, Miklas i inni — to właśnie ci ludzie, którzy przyczynili się do tego, że sanacyjne gazety mogły z właściwą sobie tromtadracją jeszcze w dniu 31. VIII. 1939 r. donosić: „...na terenie Górnego Śląska panuje wzorowy spokój i porządek... Praca odbywa się wszędzie normalnie, pracują wszystkie zakłady przemysłowe, huty, kopalnie, walcownie i to w bardzo intensywnym tempie“ („Tempo Dnia“).

Żywe kontakty pomiędzy komunistami Polski i Niemiec, powiązanie losów Ernesta (niemiec-

kiego antyfaszysty) z losami postępowych pracowników opisywanej przez autora kopalni — świadczą o słusznej obserwacji życia w pasie przygranicznym. Kiedy Komunistyczna Partia Polski czyniła rozpaczliwe próby zorganizowania obrony zagrożonej i jawnie sprzedawanej ojczyzny — w niemieckich miastach i ośrodkach robotniczych ruch oporu w stosunku do zaborczej polityki rządu wzrastał z każdym dniem. „Heil Moskau“ — tak pozdrawiali się robotnicy Hamburga, a na murach miast rozlepione ulotki głosiły: „Naród niemiecki nie chce wojny! Precz z Hitlerem!“ („Tempo Dnia“ 31. VIII. 1939 r., strona 2, mutacja C). Śląsk w owych dniach — to istna wieża Babel pojęć i poglądów. Krzyżują się problemy i sfery wpływów poszczególnych ugrupowań. Na tym tle wyraźnie odcinają się dwa obozy: obóz Bartoszków i faszystowski krąg Duchów, Czyprynów, który na skutek przemycania swoich ludzi na odpowiedzialne stanowiska w przemyśle starał się jeszcze bardziej pogłębić sprzeczności, tkwiące w ustroju Polski przedwrześniowej, ażeby skuteczniej zwalczać komunistów. Dzięki poparciu władz zwierzchnich rozprzestrzenił się bezkarnie. Kiedy za sprawą inż. Jilka postanowiono zwolnić radcę zakładowego i kierownika administracji Czyprynę, ponieważ sprzyjał Hitlerowi, okazało się, że ten miał „we Wspólnocie Interesów przyjaciół; niejaki dyrektor Bauch poręczył za niego. Bauch był legionistą, a Czypryna na wszelki wypadek należał do „Strzelca“ i do innych organizacji sanacyjnych.“ (cytat z „Kleszczy“) Wypadek ten nie był ani odosobniony, ani przypadkowy. W 72-gim nr. pepesowskiej „Gazety Robotniczej“, z dnia 24. III. 1939 r., w notatce pt. „Panu gen. dyr. Ciszewskiemu pod uwagę.

Kto proteguje pana Alfreda Schönfelda?“ — czytamy: „Na kop. „Wujek“ zatrudniony jest od 1 lipca 1932 r. niejaki pan Alfred Schönfeld, były kierownik ruchu na tej kopalni. Od lat już znajduje się pan Schönfeld w zatargach z załogą i poszczególnymi robotnikami. W roku 1934 miał zatarg z robotnikiem Wypiołem i Przybyłą, powodując nawet przez swe brutalne rękoczyny wypadek. Dalej miał zatargi z robotnikami: Kiełkowskim, Koziołem, Cieślikiem, Gruchlikiem z kierowcą lokomotywy Granikiem...“ i dalej... „inż. Śmigielgielski — zdaniem załogi i Rady Zakładowej — jest bezsilny i skazany na poddanie się zarządzeniom pana Schönfelda... syn jego chodzi do szkół w Niemczech, przy czym odwiedzając swego ojca przyjeżdża do Katowic w czapce hitlerowskiej... Pytamy się gen. dyr. Ciszewskiego, kto proteguje pana Schönfelda, że może w taki sposób bezkarnie prowokować polskich robotników.“ Ci agenci obcego imperializmu przesuwali ludzi, jak figury szachowe na terenie zakładu pracy. Od ich decyzji niejednokrotnie zależał byt robotnika. Z ich imieniem wiąże się także sprawa Pozbierołów. Tragedia zdeorientowanego robotnika śląskiego, który pozbawiony środków do życia, wyrzucony na bruk stawał się niejednokrotnie łupem faszystowskiego imperializmu — urastała w ostatnich dniach Polski sanacyjnej do zjawiska typowego. „Pozbieroł to młody, biedny górnik — inówi Szewczyk — który długie lata był ulubieńcem sztygara Kłóska. Potem, wysłany na trzymiesięczny urlop turnusowy, nie mając środków do życia wpadł w ręce Volksbundu, który błyskawicznie przerzucił go do pracy na kop. „Sośnica“ po drugiej stronie granicy. Pozbieroł burtował się,

próbował uciekać, nie czuł się re-negatem. Ale Volksbund groził mu denuncjacją przed władzami polskimi. Ostatecznie Pozbieroł brał na początku pieniądze od Volksbundu. Zaczął więc ulegać szantażowi. Rozpił się, ale nie palił za sobą wszystkich mostów. Po prostu wymknął nam się z rąk — powiedział kiedyś Jilk — to wyłącznie nasza, nie jego wina“. Sprzedaż robotników polskich kapitalistom niemieckim (nie rzadko kosztem miejscowego proletariatu), szczepienie wśród nich szowinistycznej nienawiści miały osłabić dojrzewającą ideologicznie i cementującą się coraz bardziej klasę robotniczą. Ci właśnie ludzie mieli służyć nie tylko jako bojówki faszystowskie, ale i w razie „rozwoju wypadków“ w przyszości powinni stać się wyszkolonymi łamistrzajkami. Postacie — Kuloka, restauratora Ducha, postacie tych typowych handlarzy żywym towarem XX wieku, długo pozostaną w pamięci śląskiej klasy robotniczej. W cytowanej już Gazecie Robotniczej czytamy w nr z dnia 28. III. 1939 r., że „Policja w Łaziskach Górnych przeprowadziła rewizję w mieszkaniu przewodniczącego miejscowej grupy GDA. (Gewerkschaft Deutscher Arbeiter) 50-letniego Andrzeja Gallusa... który był podejrzany o przechowanie broni. W czasie rewizji znaleziono u Gallusa sztylet, większą ilość naboju do broni krótkiej oraz dużo korespondencji, z której wynika, że Gallus... werbował robotników do Niemiec... większość zwerbowanych przez Gallusa była w wieku poborowym.“

I jeszcze jedna sprawa, na którą dotąd nie zwrócono uwagi. Objaśnienie, że powieść jest początkiem cyklu o życiu i walce klasy robotniczej Śląska, zobowiązuje pisarza do stworzenia nie tylko dwóch lub trzech obra-

zów powieściowych, które odzwierciedlają odmienne warunki historycznego rozwoju, ale i do pokazania — w przekroju typowego wycinka rzeczywistości — dochodzenia do świadomości społecznej przedstawicieli całego proletariatu, ich wystąpień, załamania, zobowiązuje do słusznej motywacji psychologicznej ewolucji bohaterów. Nie wiemy, jak potoczą się ich losy w następnych ogniwach cyklu, nie wiemy, jaką rolę przeznaczy im autor obecnej rzeczywistości, który z nich w ogóle doczeka wyzwolenia? Stwierdzić należy jedno: Szewczyk przy konstrukcji postaci do swojej powieści wybiegł myślą do chwili obecnej; skorzystał z pokaźnego kapitału doświadczeń dzisiejszej rzeczywistości. Dlatego z łatwością możemy odszukać w tych ludziach, którzy obecnie dzięki zdolnościom i pracowitości wyniesieni zostali z robotników na stanowiska dyrektorów w licznych fabrykach i kopalniach — cech i rysów Bartoszków i Miklasów, Kłósoków. Zresztą autor sam zwraca na to uwagę czytelnikowi. Zawiaadowca kopalni, inż. Jilk, patrząc na pracę mechanika Bartoszką, myśli: „Byłby z niego świetny dyrektor kopalni, zna się na robocie i na ludziach.“ Podobnie rozumuje Słupik, który w ustroju kapitalistycznym postawiony został poza nawias społeczeństwa: „Nie wierzył w klęskę. Był optymistą i spodziewał się, że lada chwila może nastąpić odwrót, na kopalnię wróci Jilk i Bartoszek, a Polska będzie silniejsza, bo sprawiedliwsza. Bartoszek będzie dyrektorem, Jilk zawiadowcą, a ja — dla siebie przewidywał skromną funkcję nadzorcy przy wyciągu na hałdach.“

Główne natomiast niebezpieczeństwo dla prozy Szewczyka upatrywać należy w gromadzeniu, organizowaniu i selekcji ma-

teriału pisarskiego. Autor „Hagnysa“, który w niezbyt obszernej książce chciał przekazać czytelnikowi jak najpełniejszy obraz wydarzeń, zjawisk, typów ludzi tej pogranicznej prowincji — wskazuje na to szeroki wachlarz epizodycznych postaci i problemów — nie ustrzegł się pewnego przesycenia fabuły bogactwem faktów. W rezultacie — nagromadzony materiał rozsadza szczerze ramy powieści. Jak się wydaje, Szewczyk przeniósł na teren swojej prozy niektóre doświadczenia (nie zawsze szczęśliwe) z warsztatu poetyckiego. Znajdzie to swoje uzasadnienie w niektórych metaforach powieści jak i w słusznym stwierdzeniu Grenia, że „autor nie buduje, nie wznosi postaci, ale relacjonuje tylko“ (Życie literackie z dnia 16. II. 1952 r.). Przecież ta zbytnia skłonność do monologizowania jest raczej właściwością poezji. W tym właśnie należy szukać źródeł tego wszechwładnego panowania komentarza odautorskiego nad sytuacjami, sformułowaniami poszczególnych postaci i ich poczynaniami. Takie podejście do tematu musiało wywrzeć swoiste piętno na języku powieści i dlatego może ten zarzut jednoznaczności.

Niepokojący natomiast jest pewien indywidualizm metafory, która niesynchronizowana z sytuacją żyje odrębnym obrazem. Oto kilka przykładów: „Kopalnia klaszka w żelazne dłonie“, „niebo zarastało stalową rzęsą mroku“, i porównanie „dzień dzisiejszy wirował na kopalni jak karuzela“ itp. Zostało to niewątpliwie także przeszczepione z warsztatu poetyckiego na grunt powieści. O ile bowiem podobna metaforyzacja języka może pełnić w wierszu funkcję twórczą (jako tło obrazu wydarzeń, podmalowanie sytuacji itp.), w prozie nie tylko utrudnia

odbiór obrazu, ale wręcz go rozbija.

„Kleszcze“ jako obraz ostatnich chwil Polski przedwrześniowej i jako początkowe ogniwo cyklu powieściowego o śląskiej klasie robotniczej — wypełniły poważną lukę w naszej powojennej beletrystyce. Tym samym uczyniono pierwszy, ambitny krok w kierunku szustnej analizy artystycznej stosunków społecznych na Śląsku.

BOLESŁAW LUBOSZ

PROZA JANA BARANOWICZA

Jan Baranowicz: Spółdzielnia nad Zieloną Wodą. Książka i Wiedza, Warszawa 1950, str. 46.

Jan Baranowicz, autor mało znanych i skąpo recenzowanych tomów wierszy „Pieśń o jaworowym krzaku“ (1938), „Chrystus w zautku“ (1939) i powojennej już „Łąki skowronków“, poeta poparty wysoką i ciepłą oceną jego debiutu pochodzącą spod pióra Józefa Czechowicza, uchodził za typowego i oryginalnego liryka, znajdującego szczególne upodobanie w bliskiej mu tematyce chłopskiej. Tkwiły w nim jednak silnie zakorzenione pokusy w kierunku prozy. Ale próby ulegania tym pokusom długo nie przynosiły poważniejszych i trwalszych rezultatów, co zdawało się potwierdzać i umacniać wspomnianą opinię o wybitnie lirycznym gatunku jego pisarskiego talentu.

Baranowicz z prozą pasował się długo. Długo pracował nad tym, by ująć temat wsi w kształt epicki. I doprowadził wreszcie do tego, że dzisiaj trzeba już uznać prozę za drugi, równoległy do liryki i nie ustępujący jej kierunek jego pisarskich zaintereso-

wań. Do stwierdzenia tego upoważnia fakt, że w ciągu trzech ostatnich lat pomnożył swój dorobek o trzy interesujące pozycje prozatorskie, stanowiące niewątpliwy dokument artystycznego dojrzewania i rozwoju, doskonalenia się warsztatu artystycznego w kierunku prozy nacechowanej dużą jasnością i komunikatywnością, odznaczającej się nieprzeciętnymi zaletami barwnej, interesującej narracji. Te trzy pozycje to dwa krótkie reportaże zawarte w szczupłej książeczce „Spółdzielnia nad Zieloną wodą”, przygotowana do wydania opowieść o psie „Mój przyjaciel Lompi” i obszerny, zakrojony na sporą książkę reportaż „Nad Dramą ludzie są młodzi”. Druga z tych prac przeszła zwycięsko dyskusję na Sekcji Prozy w Katowicach, trzecia natomiast zdobyła jedną z nagród w konkursie zamkniętym Zw. Literatów i Prezydium Woj. Rady Narodowej w Katowicach.

Oceniana na podstawie tych trzech prac proza Baranowicza zasługuje na uwagę przede wszystkim przez walory narracji, zwartej, potocznej, oszczędnej, noszącej cechy doskonałej gawędy, przesyconej strukturalnymi elementami mowy chłopskiej, przez zwięzłość i wielką plastykę opisu. W mniejszym już stopniu zalety te występują w dialogu, który nieoczekiwanie — przy wyrażonej tendencji do unikania naturalizmu językowego — zabarwia się składnikami literackiej mowy pisanej. Wreszcie zadaniem, które stoi jeszcze przed Baranowiczem jako prozaikiem, jest praca nad kompozycją, przejście od techniki posługiwania się krótkimi, luźnymi obrazkami ku konstrukcjom bardziej zwartym, silnie wiązany w fabułę. Zadanie to zarysuje się i stanie się problemem, którego nie będzie można obejść, z chwilą gdy Ba-

ranowicz zechce przejść od formy reportażu, szkicu literackiego czy niezbyt podporządkowanej rygorom kompozycyjnym opowieści do form opowiadania, powieści czy może i noweli, gatunku wyraźnie u nas zaniedbanego.

„Spółdzielnia nad Zieloną wodą” nie wykracza poza ramy prostego, jakby celowo rezygnującego z większych ambicji literackich reportażu. Ważne jest w tych dwóch szkicach to, że autor potrafił zgromadzić bogatą i cenną tematykę z życia wsi opolskiej, zrealizował ją w sposób interesujący, choć nieco suchy — zwłaszcza w niektórych partiach — że zaprezentował się jako prozaik, który wyzbył się całkowicie dawnych dziwactw językowych i stylistycznych, niezmordowanej pogoni za obrazowaniem, które gromadzone w sposób niecelowy, czyniło prozę jego sztuczną, pretensjonalną, zaskakującą czytelnika denerwującymi niespodziankami.

Baranowicz, jakby nie ufając jeszcze swoim siłom i możliwościom, porzestaje tu w obydwu reportażach na szkicowaniu tylko postaci, problemów, sytuacji i zdarzeń. Daje żywe i barwne scenki, powiązane skrótową narracją. Toteż powiedzieć trzeba, że w książeczce tej bardziej frapuje to, co nie zostało w niej opowiedziane, niż to co autor swoim komentarzem wyjaśnia nam w skrócie wprowadzie, ale bez reszty. Dwa i pół miesiąca upartych zmagania osiedleńców z reakcyjnym zarządem majątku o oddanie im roli i zabudowań to przecież materiał na pasjonującą powieść o silnym nurcie politycznym. To samo dotyczy wzmianki o wążeniu się losów siwickiej spółdzielni produkcyjnej w okresie tych siedmiu dni, kiedy egzystencją jej zachwiało wystąpienie kulaka Partyki. W drugim reportażu takim materiałem na po-

wieść o rozbudowanym wątku miłosnym jest rozdział „Pracowity dzień Staszka Lisa“.

Od czasu ukazania się „Spółdzielni nad Zieloną wodą“ Baranowicz znacznie pomnożył i wzbogacił materiał obserwacji i doświadczeń. Toteż wolno chyba oczekiwać, że nie zmarnuje dramatycznych problemów i konfliktów, które w tych swoich pierwszych reportażach zanotował.

ZDZISŁAW HIEROWSKI

TEATR

Z WĘDRÓWEK TEATRALNYCH

Kiedy przybysz z innej dzielnicy Polski znajdzie się w jakiejś małej górniczej osadzie Śląska, niewątpliwie z pewnego rodzaju zdumieniem przyjmie wiadomość, jaką wyczyta na wywieszonym afiszu. Dowie się, że któregoś dnia Teatr im. Wyspiańskiego lub Państwowy Teatr z Bielska wystawią na scenie tamtejszego klubu kopalnianego czy fabrycznego „Trzydzieści srebrników“ Howarda Fasta lub „Szkołę żon“ Moliere.

Na drogach łączących nasze wojewódzkie centra teatralne — Katowice, Bielsko i Częstochowę — z małymi osadami a nawet, jak się dzieje w Częstochowskim, z wsiami, często możemy spotkać autobusy naszych teatrów, niosące słowo wielkich dramaturgów w najodleglejsze zakątki Śląska.

Za czasów szekspirowskich Melpomena podróżowała wozami zaprzężonymi w konie lub muły. Wędrowne zespoły teatralne krą-

żyły od miasta do miasta. Ale mijają stulecia, zbijane z desek teatralne budy wędrownych zespołów zastąpione zostały gmachami z kamienia.

Rewolucja przemysłowa, wywołana przez rozwój kapitalizmu, koncentracja życia ekonomicznego i kulturalnego w miejskich centrach zakotwiczyła teatry w ośrodkach miejskich. Odtąd na teatralne występy przyjeżdżano do miasta, w którym znajdował się teatr. A ci, którzy nie mieli możliwości przyjazdu? Ci, najczęściej nie posiadali również na bilet wstępu, a więc problem udostępnienia teatru był na tej burżuazyjnej płaszczyźnie rozwiązany zgodnie z logiką rozwoju burżuazyjnego społeczeństwa.

Pozorny paradoks teatrów śląskich wypływa stąd, że mimo swego umiejscowienia w Katowicach, Częstochowie, czy gdzie indziej, teatry te w istocie są teatrami wędrownymi, objazdowymi z tą różnicą, że wozy z końmi zostały zastąpione przez nowoczesne autobusy, Mavagi i Mercedesy. Paradoks ten znajduje swoje usprawiedliwienie w niedalekiej historycznej i ekonomicznej historii ziemi śląskiej. Niemiecki kapitalista, siedzący na Górnym Śląsku, tworzył teatr dla Niemców — dla urzędników przemysłu, policjantów, dla całej płytkiej warstwy rządzącej. Tej grupie wystarczył fakt posiadania teatrów stałych w dwóch miejscowościach, do których zjeżdżano się jak do teatralnej Mekki — w Bielsku i Katowicach.

Dla Polaków teatru nie było. Teatr polski powstał, dopiero po pierwszej wojnie i przechodził różne koleje. W każdym razie był on również teatrem dla tych, którzy mogli płacić i to wysokie ceny wstępu.

W okresie międzywojennym teatr polski na Śląsku na ogół nie przekraczał rogatki kulturalnych, które kapitalistyczny ustrój postawił pomiędzy szerokimi rzeszami robotników z jednej strony a instytucjami kulturalnymi z drugiej.

Revolucja kulturalna zapowiedziana manifestem PKWN-u zaczęła się od znoszenia tych rogatki.

Na Śląsku widomym symbolem tego stały się teatry objeżdżające cały Górny Śląsk. Dzięki nim w Wirku, Nowym Bytomiu lub gdzieś w Konopiskach pod Częstochową ze sceny w wielu wypadkach z trudem przygotowanej do teatralnych występów padają słowa Słowackiego, Fredry, Gorkiego, Moliere.

Jest rzeczą oczywistą, że oddziaływania teatru nie można obliczać tylko według licznika samochodu i ilości przebytych kilometrów, potrzebne są tu jeszcze inne mierniki. Artystyczna dojrzałość przedstawień, jakość repertuaru — i to właśnie spróbujemy poddać analizie uwzględniając również tę wielką misję naszych teatrów niesienia żywego słowa w najdalsze zakątki Śląska.

Zacznijmy od naszego największego i niewątpliwie czołowego teatru im. Stanisława Wyspiańskiego w Katowicach.

Dziwne koleje przechodziły sztuki wystawione przez ten teatr w ciągu bieżącego sezonu, tj. licząc od września 1951. Zaczęło się od bardzo nieładnego potknięcia, jakim było wystawienie we wrześniu komedii Fajki i Sołdara „Dziewczęta z Zorzy”. Próbowano usprawiedliwiać wybór sztuki względami kadrowymi, koniecznością wykorzystania jak największej liczby aktorów, dla których normalnie rzecz biorąc nie ma w innych sztukach pola do popisu ze względu na niewiel-

kie ilości ról kobiecych. Ostatecznie mimo zmobilizowania rzeczywistości poważnej liczby aktorów „Dziewczęta z Zorzy” okazały się nieporozumieniem. Nieporozumieniem, którego korzenie tkwiły głównie w nie bardzo szczęśliwej adaptacji tej sztuki.

Fakt ten nie usposobił przychylnie do teatru szerokich rzesz widzów mających zresztą jeszcze w pamięci nieudane przedstawienia sztuk współczesnych autorów polskich. Ale teatr przygotowywał niespodziankę i trzeba to podkreślić nader przyjemną niespodziankę. Było nią doskonałe wystawienie „Dożywocia” Fredry w reżyserii Zawistowskiego. Sukces „Dożywocia”, granego zresztą ponad pół roku, przy czym liczba przedstawień przekroczyła 150, był po raz pierwszy od dłuższego czasu w historii przedstawień Teatru im. Wyspiańskiego nie sukcesem pojedynczych aktorów, ale sukcesem kolektywu artystycznego. To zespołowe ujęcie całości przedstawienia czuło się w każdym momencie. Przejawiało się ono w każdym geście, w każdej sytuacji.

„Dożywocie” było niejako naturalnym dowodem, że Teatr Śląski stać na dobre, nawet bardzo dobre przedstawienia. I to było bodaj najważniejsze. A że w tym przedstawieniu błysnął pełnym blaskiem wielki talent Gustawa Holoubka, jednego z najzdolniejszych aktorów młodego pokolenia, który trudną rolę Łatki pokazał nam w nowej, odkrywczej — jak zresztą całe przedstawienie — interpretacji, to była druga cena na zdobycz tego spektaklu.

Dla tych, którzy byli świadkami pełnej temperamentu polemicznej walki Boya z uczonymi w piśmie fredrologami, ta interpretacja „Dożywocia”, którą nam przekazał Roman Zawistowski była niewątpliwie dowodem

słuszności tezy Boya, wskazującego na szlachecką ograniczoność spojrzenia tego wielkiego komediopisarza.

W Miesiącu Przyjaźni Polsko-Radzieckiej wystawiono sztukę Gorbatowa „Młodość ojców“. Reżyserował ją znowu R. Zawistowski i tutaj znowu ujawnił się jego wielki talent wydobywania ze sztuki tego co jest w niej najistotniejsze, najważniejsze.

„Intratna posada“ Aleksandra Ostrowskiego wprowadziła tego wielkiego realistę rosyjskiego teatru na scenę śląską. Niestety przedstawienie to było krokiem wstecz w porównaniu z „Dożywociem“ i „Młodością ojców“. Dlaczego? Złożyło się na to moim zdaniem kilka istotnych przyczyn: nienależyte przetrawienie tekstu i nieskreślenie kilku zupełnie drugorzędnych momentów przewlekających akcję, prowadzenie dialogów w jakimś zwolnionym tempie, nużącym widownię, a wreszcie stłumienie w wykonawcach niemal wszelkich przejawów indywidualności i bezwzględne podporządkowanie ich nie zawsze słusznej koncepcji reżysera.

Inna sprawa, że prawidłowe odczytanie komedii i dramatów Ostrowskiego przez teatr nie należy do rzeczy łatwych, tym bardziej że teatrowi polskiemu brak tu poważniejszych i głębszych tradycji.

Tymi sztukami zakończono rok 1951. W styczniu na scenę wszedł wywołujący tyle uwag i zastrzeżeń „Grzech“ Stefana Żeromskiego. Patrząc na katowickie przedstawienie „Grzechu“, przygotowane przez Ireneusza Erwana ściśle według inscenizacji Korzeniowskiego w Teatrze Polskim w Warszawie, trzeba mimowoli sięgnąć to teorii teatralnych modeli niemieckiego dramaturga Brechta.

Brecht, autor i reżyser szeregu sztuk, między innymi twórcą doskonałej „Matuli Courage i jej dzieci“, wysunął zagadnienie konieczności naśladownictwa, albo jak kto woli imitacji wzorowych inscenizacji, wychodząc z założenia, że nie ma potrzeby szukać nowych dróg, o ile nie są one rzeczywiście nowe i odkrywcze. Tę teorię Brecht wprowadził w życie wystawiając właśnie „Matulę Courage“ według swego berlińskiego modelu w szeregu teatrów w Niemczech.

W świetle katowickiego przedstawienia „Grzechu“ zagadnienie przeniesienia cudzej inscenizacji powinno było wywołać dyskusję w naszym świecie teatralnym, gdyż nie ulega wątpliwości, że było ono w pewnym sensie potwierdzeniem teorii Brechta, mającej wielu przeciwników. M. in. w numerze 4 „Twórczości“ odmienną opinię wypowiedział Zygmunt Greń.

Na następne premiery Teatru Śląskiego trzeba było czekać stosunkowo długo. Dopiero w połowie kwietnia zobaczyliśmy dość ograniczoną już na naszych scenach sztukę Howarda Fasta „Trzydzieści srebrników“, która była równocześnie debiutem reżyser-skim Gustawa Holoubka. Trzeba stwierdzić na tle innych przedstawień tej sztuki, że to przedstawienie było niewątpliwie najciekawsze, a rolę Holoubka jako agenta FBI Fullera i Marii Velanek jako Hildy, należą do najlepszych interpretacji tych postaci na polskich scenach.

Tematyka historyczna, tak trudna we współczesnej interpretacji scenicznej, została nam zaprezentowana w sztuce J. Lutowskiego „Wzgórze 35“. Trudna ta sztuka, wyjaśniająca zakłamaną przez burżuazyjną historiografię odcinek dziejów Śląska, była doskonałym sprawdzianem możliwości artystycznych kolek-

tywu teatru. Sztuka współczesna jest jak papierek lakmusowy: natychmiast dekonspiruje nierzetelny, nieuczciwy stosunek do problematyki współczesnej albo bliskiej współczesności. Na przykładzie „Wzgórza 35” jeszcze raz się pokazało, jakie ogromne możliwości posiada zespół Teatru Śląskiego i w jak poważnym stopniu możliwości te są już wykorzystywane. Doskonałe to przedstawienie, reżyserowane przez R. Zawistowskiego, zamknęło pewien etap w rozwoju Teatru Śląskiego. Etap ten można określić słowami: tworzenie kolektywu artystycznego świadomego swoich zadań. Niewątpliwie teatr katowicki dotarł w tej chwili do czołówki teatrów polskich, ale nie wolno zapominać, że ześlizgnięcie się z tej z takim trudem zdobytej pozycji jest bardzo łatwe.

A teraz przenieśmy się z zadymionych Katowic do ślicznego, zielonego Bielska. Scena bielska ma swoją utartą sławę w Polsce. Należy bowiem do tych, które śmiało sięgają po nowe, nieznanne sztuki.

W tym sezonie taką odkrywczą sztuką teatru w Bielsku był grany po „Głupim Jakubie” Ritnera „Łaskawy chleb” Turgieniewa. Ta drapieżna sztuka, zbudowana właściwie na dwóch potężnych monologach Kuzowkina, wymagała nie tylko sprawnej reżyserii, ale i doskonałego odtwórcy roli Kuzowkina. Tę trudną rolę zagrał doskonale Kazimierz Fabisiak stwarzając kreację aktorską, którą się bardzo długo pamięta.

Po „Łaskawym chlebie” wystawiono górniczą sztukę Uspieńskiego „Na spotkanie życia”. A po tem przyszła kolej na dwie klasyczne komedie: „Śluby pańskie” Fredry i „Szkole żon” Moliера. W przerwie między tymi komediami klasyków zagrano

współczesną sportową komedię czeskiego autora Paszka pt. „4:0 dla ATK”.

O ile „Śluby pańskie” były przygotowane starannie i przedstawienie to potrafiło utrzymać cały urok tej wspaniałej komedii Fredry, to na „Szkole żon” w poważnym stopniu odbił się pośpiech, z jakim przygotowywano tę komedię.

Chcąc syntetycznie ocenić charakter teatru bielskiego trzeba by scharakteryzować go jako teatr rozrywkowy. W tym określeniu kryje się przyczyna, dla której teatr ten cieszy się bardzo dużą popularnością wśród widzów, ale kryje się również i niebezpieczeństwo, że teatr ten nie dopowiada wielu słów, które chcielibyśmy usłyszeć ze sceny.

Ta kameralno-rozrywkowa linia bielskiego teatru ma niewątpliwie również swoje uzasadnienie w szczupłości zespołu (przysłowie „wedle stawu grobla” znajduje w tym wypadku pełne zastosowanie), mimo to jednak wydaje się, że repertuarem można by trochę inaczej pokierować.

Zbliżamy się do końca naszej teatralnej wędrówki. Spod zielonych beskidzkich lasów jedziemy do Częstochowy. Tutaj trzeba było teatr budować od podstaw. Częstochowa miała wprawdzie na afiszu aż trzy teatry — Wielki, Kameralny i Powszechny, ale żaden z nich nie cieszył się popularnością. Widz w Częstochowie po prostu odwykł od chodzenia do teatru. Trzeba było go zdobyć. Zdobyć, ale nie za wszelką cenę. I po tej słusznej linii poszła polityka repertuarowa teatrów częstochowskich.

„Damy i huzary” Fredry, „Trzej przyjaciele” Uspieńskiego to były pierwsze wystrzały w stronę publiczności. I trzeba dodać, że trafiły celnie. Sale teatralne wypełniły się nowymi widzami. Po tem przyszedł wręcz niesłychany

jak na stosunki częstochowskie sukces „Mirandoliny“ Goldoniego, która osiągnęła rekordową liczbę 100 przedstawień. O takiej cyfrze nikt nie śmiał nawet marzyć w tym mieście. Ale nie tylko lekkie i pogodne komedie zdobywały widza — zdobywała go też głęboka, pełna podziemnych, głuchych konfliktów ludzkich sumień sztuka Ławreniewa „Za tych co na morzu“.

W końcu w styczniu 1952 teatry częstochowskie po raz pierwszy wykonały plan frekwencji. I to jest bez wątpienia poważne ich osiągnięcie.

Z wiosną tego roku „Faryzeusze i grzesznik“ J. Pomianowskiego i Wolin oraz „Wodewil warszawski“ Stępnia i Gozdawy podtrzymywały linię repertuarową teatrów. I dlatego nagle przejęcie kierunku przez wystawienie sztuki „Pieją koguty“ Bałtusza mimo godnego uznania wysiłku całego zespołu zakończyło się niepowodzeniem. Po prostu teatry nie przygotowały publiczności do tego rodzaju przedstawień.

Ta ze wszech miar właśnie w Częstochowskiem potrzebna sztuka nie zdołała zdobyć publiczności.

Ostatnie przedstawienie Teatru Wielkiego, „Wesele Figara“ Beaumarchais, jest próbą przejścia teatru na wielki repertuar klasyczny. Świadczą o tym zresztą i najbliższe zamierzenia repertuarowe. „Wesele Figara“ dowiodło, że nawet w nielicznym i mającym jeszcze poważne braki zespole można odważyć się na śmiałe przedsięwzięcia, które nie zawsze muszą kończyć się niepowodzeniem.

Pokazanie wielkiego dorobku klasycznej światowej i polskiej

dramaturgii, a zarazem wprowadzenie nowego widza z Częstochowy, miasta huty im. Bolesława Bieruta, we współczesną problematykę to najważniejsze zadania teatrów częstochowskich.

Na zakończenie przyjrzyjmy się kilku cyfrom, które prezentują nam teatry naszego województwa.

Teatr Śląski im. Wyspiańskiego dał w roku 1951 łącznie w Katowicach i Sosnowcu oraz na objazdach 643 przedstawienia dla 285 tys. widzów. Teatr bielski grał 478 razy łącznie z wyjazdami, a jego przedstawienia oglądało około 240 tys. widzów. 810 przedstawieniom teatrów z Częstochowy przyglądało się również 240 tys. widzów.

Liczba 770 tys. widzów, którzy łącznie obejrzeli przedstawienia śląskich teatrów, jest na pozór imponująca. Ale tylko na pozór. Bo gdy przyłożymy ją do cyfry ludności naszego województwa, jego różnorodnych, zależnie od miejscowych warunków potrzeb (niecka węglowa, Biesko — Cieszyń, Częstochowa i jej powiat), przekonamy się, że zbyt jeszcze wiele mamy białych plam na mapie naszego województwa, które wykazuje nasza teatralna geografia.

Powiększenie ilości wyjazdów czynnych do tej pory teatrów nie usunie ich. Znikną one wtedy, gdy powstaną nowe, konieczne dla rozwoju naszej narodowej kultury teatry. Dwa z nich — w Sosnowcu i w Gliwicach (niezależnie od powstającej tu operetki) — są koniecznością naszej polityki kulturalnej na tym zaniedbanym przez niemieckich i polskich kapitalistów terenie.

JULIUSZ ROBLICZEK

W ŚLĄSKIM STUDIO TEATRALNYM

Kiedy niespełna dwa lata temu przystąpiono do utworzenia w Katowicach Studia Dramatycznego, jedyne go bodaj w tej chwili w Polsce, kierowano się niewątpliwie pragnieniem dostarczenia krajowi — lub ściślej Śląskowi — kilkudziesięciu nowych aktorów. Województwo nasze, przemysłowe serce Polski o przeżyłej, jak wiemy, większości robotników, posiada niewystarczającą sieć teatrów i to teatrów bardzo szczególnego typu — teatrów objazdowych. Biorąc przykładowo Państwowy Teatr Śląski dociera w objazdach swych do najdalszych zakątków Śląska a nawet nierzadko poza nie. Gliwice, Zabrze, Zawiercie, Tarnowskie Góry, Dąbrowa Górnicza, Rybnik, Pszczyna, Racibórz a nawet Nysa i Prudnik — żeby wyliczyć tylko kilka z długiego łańcucha pięćdziesięciu miejscowości, — oto dokąd jak rok długi wędruje nasz aktor ze swoim repertuarem.

W brzydkim języku fachowców nazywa się to „mieć pełny stan zatrudnienia w pracy“, czyli po prostu mieć stale kilka sztuk na warsztacie. W tych warunkach aktor przechodzi od sztuki do sztuki, grając równocześnie dwie a nawet trzy role. I tak np. świetny młody aktor Gustaw Holoubek gra równocześnie w „Dożywociu“ Łatkę, we „Wzgórzu 35“ Lutowskiego generała de Marinis, w „Trzydziestu srebrnikach“ Fastę, które nota bene sam reżyserował, Fullera. W tym samym czasie bierze udział w próbach nad niegraną u nas od stu lat z górą sztuką Dmuszewskiego.

Tak więc założeniem Studia było wyłowić ze środowisk robotniczo-chłopskich nowe talen-

ty i zapewnić Śląskowi nowe kadry.

Plan 6-cioletni przewiduje, jak wiemy, wzrost liczby aktorów do 2500. W chwili obecnej mamy ich w Polsce zaledwie 1600, w tym wykwalifikowanych — 1300.

Ale powróćmy do naszego Studia. W drugim roku swego istnienia liczy ono dwudziestu trzech słuchaczy, w tym siedem kobiet. Jeśli cyfra ta nie brzmi imponująco, jeśli nie jest zbyt wysoka, to wysoki jest za to poziom słuchaczy i to zarówno, jeśli idzie o wiadomości, jakie w ciągu dwóch niespełna kursów zdołali nabyć, jak i o kulturę osobistą, zainteresowania, czytanie i wreszcie — nie na ostatnim miejscu — inteligencję. Fakt ten tym bardziej godzien jest podkreślenia, że słuchacze Studia — to młodzież wyłącznie niemal pochodzenia robotniczego. Kilku z nich, niedawno jeszcze, bo w momencie przyjęcia do Studia mówiło gwarą śląską. A dziś — zdumiewająca jest łatwość, z jaką władają bezbłędną, czystą, nierzadko literacką polszczyzną. Osiągnięcie to przypisać chyba trzeba poloniście, prof. Zarembie, którego jasne, przejrzyste wykłady młodzież ogromnie sobie ceni. I może czemuś jeszcze, może owej szczególnej atmosferze, panującej w Studio, która sprawia, że młodzież z rzadkim zapalem, po prostu z entuzjazmem pracuje bezustannie nad sobą, że pedagogów mają nie byle jakich. Historię teatru np. wyklada Wojciech Natanson, literaturę i dramat — Wilhelm Szewczyk. W zagadnienia repertuaru współczesnego wprowadza ich wybitny reżyser, doskonały wychowawca młodego pokolenia aktorskiego, dyr. art. Teatru Śląskiego, Roman Zawistowski.

Wykłady odbywają się na Małej Scenie, stanowiącej zresztą siedzibę Studia. Kiedy zjawiam

się, w sali odbywa się właśnie lekcja dramatu — mówi Wilhelm Szewczyk. Rozglądam się po słuchaczach — z kilkoma zdołałam się zapoznać parę godzin temu. Oto jeden z najzdolniejszych, dwudziestoletni Tadeusz Hanusek, syn górnika. Duża inteligencja, ambicja i pracowitość. W komediach czuje się źle, myśli o dramacie. Lubi wielkie uczucia, wielki repertuar — Szekspira, Molięra. Skupiona, mocna twarz, przebłyśki twardej woli w oczach. Wszystko, co robi, robi z przekonaniem i namiętnie. Obok niego uśmiechnięty Bernard Krawczyk, syn robotnika kopalnianego, lat dwadzieścia jeden. Przyjemna słowiańska uroda. Interesuje się muzyką, śpiewem, lubi rolę „mocną“, chciałby zagrać Nilę w „Mieszczanach“. Dalej Stanisław Wymysłowski, Łódzianin, lat osiemnaście. Również ze środowiska robotniczego. Interesuje się wszystkim, co ma związek ze sztuką. Bystra, lotna inteligencja, duże czytanie. Ulubieni pisarze — jak wyznaje z pewnym zażenowaniem — Stendhal i Maupassant. Czwartym z rzędu, to pełen dowcipu, przyjemnie złośliwy Jacek Medweczek. Ten będzie reżyserem. Poza tym interesuje się choreografią i sam tańczy. Lubi Szekspira, chciałby go kiedyś wystawić. Cała ta czwórka, by móc zdobyć zawód aktora, ku rozpaczy rodziców przerwała naukę w szkole na rok przed maturą. Rodziny protestowały, ale młodzi mieli swoje wyrachowanie. — „Maturę można zdać i po ukończeniu Studia“ — rozumował — i nie bez racji — każdy z nich. A zapisy do Studia odbywają się raz na trzy lata. Dopiero po trzyletnim kursie otrzymuje się świadectwo ukończenia Studia. Wówczas nie zawadzi parę miesięcy popracować nad maturą, zwłaszcza gdy się ma w kieszeni dyplom,

otwierający drogę do pracy w ukochanym teatrze.

W następnym rzędzie smagły, z płonącymi brunatnymi oczyma przewodniczący ZMP przy Studiu, Stanisław Brudny, syn stolarza z Pilzna. Miłość do teatru pozostała mu z czasów, gdy jako ośmioletni chłopiec chodził po domach z szopką kukiełkową. Obok niego najstarszy ze wszystkich, Jerzy Siwy, 31-letni górnik. Życie Siwego — to fascynujące dzieje wielkich ambicji, wielkiej wytrwałości, więcej: uporu, zawziętości prawdziwie śląskiej, prawdziwie górniczej. Mając na utrzymaniu żonę i dwoje dzieci walczy ze szczególnymi trudnościami. Kiedy przyszedł do Studia, miał braki w ogólnym wykształceniu — dopędzać musiał co prędzej bardziej zaawansowanych kolegów. Dziś, dzięki wytrwałej pracy nad sobą, ślęczeniu nad książką po nocach, dzięki swej pięknej zawziętości, osiągnął już poziom kolegów, prześcignął wielu, nie dał się zdystansować.

Dalej siedzą kobiety: siedemnastoletnia Ślązaczka, Hilda Żyłanka, Teresa Kamińska z Człedzi, córka nauczycielki i robotnika i trzecia Halina Sienkiewiczówna, która zamierza poświęcić się reżyserii. Są zgrabne, delikatne, o ładnych regularnych rysach. Wszystkie wpatrzone w wykładowcę, mówiącego teraz o „Tkaczach“ Hauptmana, sztuce, która wejdzie wkrótce na scenę Teatru im. Wyspiańskiego. Wykład jest swobodny, zwięzły i jasny, o szeroko podmałowanym tle historycznym. Za chwilę Wilhelm Szewczyk wywołuje Wymysłowskiego, pełnego temperamentu chłopca, którego poznaliśmy przed chwilą. Wywołany mówi przez chwilę o rewolucyjnych akcentach końcowych sztuki, o zwycięstwie „Tkaczy“, choć historycznie rzecz biorąc, po-

wstanie było przegrane. Przechodzi następnie do „Germinalu” Zoli, do Zapolskiej i jej naturalizmu krytycznego („termin za-
stępczy!” — woła wykładowca), by wreszcie ugrzęznąć w zawi-
łych rozważaniach na temat
psychologizmu, w który — jak
usiłuje dowieść — przeradza się
naturalizm.

Twierdzenie to wywołuje po-
śród kolegów burzę protestów,
pokrzykiwań, sporów, namięt-
nych i gwałtownych, do jakich
zdolna jest tylko młodość. „Sta-
szek urodził się o trzynaście wie-
ków za późno, inaczej byłby sofi-
stą” — woła ktoś z dalszych rze-
dów. To naturalnie Jacek Med-
wecki. Chłopiec o inteligentnych
oczach, z rozwichrzoną niepo-
rządnie czupryną i takąż fan-
tazją odpiera śmiało zarzuty, od-
powiada to temu, to owemu, po-
lemizuje z ogniem, wreszcie po-
trząsając niesforeną grzywą, wra-
ca na miejsce.

Sala, uciszona, milknie na
chwilę. Myślę o tych młodych
ludziach, o tej ich pięknej skwa-
pliwości, z jaką chcą brać udział
w dyskusji — wszyscy naraz.
Myślę o tym, że nic po tej mło-
dzieży nie spływa obojętnie —
taka jest cała gorąca, łatwo za-
palna, chłonna, świeża. I o tym
myślę, że tak swobodnie, z taką
prostotą obracają się w kręgu
zagadnień estetycznych. To do-
brze, że dyskutują. Że myślą na
własny rachunek. Że się ścierają.
Tylko w ogniu dyskusji dojrze-
wa się, tylko w takich namięt-
nych sporach ugruntowują się
poglądy i przekonania.

Następna godzina poświęcona
jest historii teatru. Wojciech Na-
tanson wysłuchuje uważnie refe-
ratu Haliny Sienkiewiczówny
o Osterwie; uzupełniając wywo-
dy referentki mówi o wpływie
MCHAT-u na wielkiego twórcę
teatru, o pokrewieństwie idei

Reduty z ideami Stanisławskie-
go. W interesujących uwagach
wykładowcy Osterwa jawi się
przed słuchaczami jako zwolen-
nik przeżywania roli a nie zim-
nego jej konstruowania, charak-
terystycznego dla teatru francu-
skiego. Z kolei przechodzi wy-
kładowca do przyjaźni Osterwy
z Żeromskim. Tematem gorącej
(znowu!) dyskusji staje się „Prze-
pióreczka” i jej problem central-
ny — sprawa Przełęckiego.
Wszyscy oczywiście znają sztukę,
niektórzy widzieli ją na scenie.
— „Dlaczego Przełęcki odcho-
dzi?” — pada wreszcie chytre
pytanie. — „Z powodu Smugo-
nia...” — rzuca którychś ze słucha-
czy. — „Bo takie są moje oby-
czaje” — myśli głośno inny. Ktoś
mówi o tym, że kiedy „Przepió-
reczka” się ukazała, nie wszyscy
krytycy zrozumieli należycie po-
stać Przełęckiego — niektórzy
wołali wręcz, że to cierpiętnik,
drudzy, że masochista. Któraś
z dziewcząt sugeruje, że Przełę-
cki poświęca się dla Doroty. Inna
znów jest przekonana, że działa
pod wpływem moralności trady-
cyjnej. Wysłuchawszy cierpliwie
wszystkich wypowiedzi, Wojciech
Natanson ustala ostatecznie, że
Przełęcki miał do wyboru dwie
drogi: albo zostać — i zaprze-
paścić kurs, albo — odejść i oca-
lić to, co z takim trudem zostało
stworzone. Tak więc Przełęckie-
go, który kocha Dorotę, zwycięża
Przełęcki-społecznik.

Ostatnia lekcja w tym dniu —
to lekcja praktyczna. Bo nauka
w Studio obejmuje nie tylko teo-
rię, lecz i praktykę. Studio ma
dać słuchaczom obok zasad nauki
teoretycznej w zakresie liceal-
nym (język polski, historia, język
rosyjski, historia sztuki) wszel-
kie podstawy zawodowej wiedzy
aktorskiej. Będzie to więc litera-
tura i dramat, zagadnienia tea-
tru współczesnego, dykcja, ryt-

mika, kostiumologia, stawianie głosu, historia teatru powszechnego, polskiego i rosyjskiego, mówienie wierszem, umuzykalnienie i chór. Trzeba podkreślić, że przedmioty teoretyczne związane są ściśle z praktycznymi. Przed rozpoczęciem np. ćwiczeń z „Balladyny” czy „Beniowskiego” uczestników kursu zapoznaje się z właściwą interpretacją tych dzieł. Przed ćwiczeniami mówienia wierszy Majakowskiego czy też np. Broniewskiego — mówi się o twórczości tych poetów.

Lekcję praktyczną, którą prowadzi Roman Zawistowski, stanowić będzie dziś odtworzenie fragmentu ze sztuki Rittnera „W małym domku”. Na Małej Scenie sadowią się Hanusek i Siwy. Będą mówić dialog sędziego i doktora. Po chwili to, co odtwarzają, zaczyna działać sugestywnie, dialog płynie pośród napiętego milczenia widowni, aż skończy go bolesne stwierdzenie doktora: „Pan jesteś straszny człowiek... straszny człowiek”.

Na sali cisza. W tę ciszę wpada krótkie lapidarne pytanie dyr. Zawistowskiego: „Jak wypadł dialog? Kamińska?”

— „To było raczej dobre. Robiło wrażenie” — brzmi odpowiedź. — „Klemens, Ogrodziński — jakie są wasze uwagi?” Wywołani namyślają się. Wreszcie wspólnymi siłami ustalają, że doktor był lepszy niż sędzia. Sędzia zbyt lekko mówił rzeczy przykre, grę zdecydowanie prowadził doktor.

— „Tak — mówi Roman Zawistowski — tekst nie zupełnie trafnie został odczytany. Sędzia, który dobrze wiedział, że stanowisko doktora w szpitalu jest już zajęte, nie powinien był podawać swojej kwestii tak melodramatycznie. Nie wyszła np. bezwzględność ludzka, cynizm, brak

serca — to wszystko, co Rittner chciał podkreślić.”

— „Oni są dziś, na drugim kursie, bardziej samodzielni, niż inni na trzecim” — powiedział mi później dyr. Zawistowski. — Sami robią analizę tekstów, podtekstów i interpretacji. I później muszą uzasadnić, dlaczego tak a nie inaczej.”

Tak. Metoda wypowiedzi słuchaczy na temat lekcji praktycznych, zastosowana przez Romana Zawistowskiego, daje doskonałe wyniki: zmusza ich do wyjątkowej uwagi, do samodzielnych sądów, do czynnego udziału w tym, co się dzieje na scenie.

Metodzie tej zapewne zawdzięczają swój sukces, o którym wspominają ze wzruszającą dumą. To słuchacze Studia, jurorzy, oceniający grę teatrów ochotniczych, biorących udział w niedawnym Festiwalu Sztuk Współczesnych — Tworkowska i Maruszczyk — wysunęli Zespół Kolarzy z Czechowic, który zdobył następnie w finale eliminacji centralnych I miejsce.

— „To nie są paniczki — mówił jeszcze Roman Zawistowski — to młodzież cenna przez swój stosunek do nauki, do tego, co tu zdobywają. Przyszli tu po naukę i wiedzę, że to ich cała przyszłość — że ta przyszłość zależy od ich postępów w pracy.”

Wiem, że nie zawiodą naszych oczekiwań. Mówi mi to twarda wola Siwego, mocny upór Hanuska, płonący wzrok Brudnego. Wiem, że z tym samym zapalem, jaki ich dziś ożywia, z tym samym poczuciem odpowiedzialności, z tym pełnym żaru przejęciem, jakim nacechowana jest ich dzisiejsza praca nad sobą — służyć będą nowej sztuce, nowej kulturze Polski Ludowej.

Jadwiga Kozłowska-Fiszlowa

KALENDARZ kulturalny

Z OPOLSZCZYZNY

Książka dla Opolszczyzny i o Opolszczyźnie — oto zagadnienie, z którym coraz częściej spotyka się bibliotekarz i działacz kulturalny w swej pracy terenowej na Śląsku Opolskim.

Obejmując w 1945 roku w swe władanie Opolszczyznę Polska Ludowa stanęła przed odpowiedzialnym zadaniem usunięcia wiekowych naleciałości germanizacyjnych, wzbudzenia wśród mieszkańców tej ziemi dumy narodowej i ścisłego powiązania ich z odrodzoną ojczyzną.

Walka o ekonomiczne i kulturalne zagospodarowanie ziem opolskich nie była łatwa. Przebiegając w labiryncie skomplikowanych problemów narodowościowych i osiedleńczych (w samym 1945 roku przewinięto się przez punkt repatriacyjny w Opolu ponad pół miliona ludzi), wymagała wysokiego uświadomienia politycznego i znajomości środowiska.

Z jednej strony osiemsettyśieczna rzesza Opolan, w przygniatającej przewadze mało- i średniorolni chłopci, którzy mimo siedmiowiekowego ucisku ekonomicznego i narodowego, wywiezianego przez pruskich junkrów i burżuazję, nie zatracili swego narodowego charakteru, kulturę polską przechowali w tradycji i obyczajach a przede wszystkim w polskiej mowie i polskim śpiewie; z drugiej zaś — setki tysięcy ludzi z nad Buga, Sanu i Wisły. Obie strony stawały się obiektem penetracji elementów o wybujałych nastrojach nacjonalistycznych, które wykorzystując trudności okresu powojennego, doprowadzały do szeregu antago-

nizmów i zgrzytów między poszczególnymi grupami ludności.

Dlatego też proces umacniania się świadomości narodowej wśród miejscowej ludności opolskiej i jej zespalaania się z Polską przebiegał w ostrej walce z nie-dobitkami obszarniczo - kapitalistycznymi, które opierając się o agenturę mikołajczykowską, popierane przez reakcyjną część kleru i szpiegów anglo-amerykańskich, żerując na wyczynach elementów nacjonalistycznych, organizowały sabotaż, dywersję, szpiegostwo i bandycki terror, aby siać zamęt i utrudniać odbudowę rosnącej z dnia na dzień w siłę Polski Ludowej.

W walce tej przewodziła masom pracującym Opolszczyzny Partia, likwidując systematycznie wszelkie skutki wielowiekowego upośledzenia i opóźnienia w rozwoju politycznym, gospodarczym i kulturalnym Ziemi Nadodrzańskiej.

Z roku na rok zmienia się oblicze Opolszczyzny, przekształcając się z rolniczo-przemysłowego w przemysłowe. Tam, gdzie jeszcze wczoraj szumiały zbożem pola, dziś wznoszą się szklano-żelbetonowe hale fabryczne, jaśnieją cementem ściany nowych bloków mieszkalnych. — Po opolskiej „Odrze“, brzeskiej Olejarni i zdzieszowickiej Koksochemii ruszą już w niedługim czasie dwie dalsze budowle socjalistyczne — „Azoty“ w Kędzierzynie i Fabryka Urządzeń Technicznych w Raciborzu.

Przy dużych bezsprzecznie osiągnięciach na polu gospodarczym należy stwierdzić, że na polu kulturalnym a w szczególności na polu umasowienia czytelnictwa mamy jeszcze wiele zaniedbań.

Księgozbiory bibliotek jak i kolportowana przez „Dom Książki“ literatura nie spełniają w sposób oczekiwany zadań, jakie książka powinna spełnić na Opol-

szczyźnie. Czytelnictwo książek kształtuje się tu jeszcze w granicach nikłego na ogół zainteresowania. Wprawdzie są ośrodki — szczególnie tam, gdzie prowadzona jest intensywna praca kulturalna, czy to przez świetlice czy biblioteki — gdzie książka znajduje wielu czytelników, jednak i tu zauważa się wyraźne zróżnicowanie poczytności pewnych autorów i utworów literackich. Wyjątkowym wzięciem cieszą się u czytelnika opolskiego Sienkiewicz, Orzeszkowa, Prus, „Pan Tadeusz“ Mickiewicza, ze współczesnych autorów — powieści Gustawa Morcinka, oraz niektóre tytuły autorów radzieckich, jak „Zorany ugór“ czy „Poemat pedagogiczny“ Makarenki, czytany w szczególności przez młodzież.

To zróżniczkowanie w poczytności wpływa częściowo z trudnej formy literackiej utworu, niejednokrotnie nieprzystępnej dla specyficznego odbiorcy na Śląsku Opolskim, a przede wszystkim z braku książek, środowiskowo i tematycznie powiązanych zarówno z postępową przeszłością tej ziemi jak i jej nowym, socjalistycznym rozwojem. Nie znaczy to wcale, aby prowadzić politykę izolacyjną, przeceniającą wartość regionalizmu i przeszłości; należy wiązać go ze współczesnymi osiągnięciami polskimi i folklorem innych dzielnic celem zwalczania partykularyzmu. Należy wykazywać nasze dotychczasowe osiągnięcia oraz piękno naszej przyszłości, w czym dopomoże nam literatura radziecka.

Rozwiązaniu tego zagadnienia poświęcona została specjalna narada, zwołana przez Wydział Propagandy Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Opolu, z licznym udziałem literatów i naukowców z Katowic i Wrocławia, oraz opolskich pisarzy i czołowych działaczy kulturalnych.

W czasie dyskusji, w której zabierało głos 27 osób (m. in. z Katowic Wilhelm Szewczyk, Zdzisław Hierowski, Klimas-Błahutowa, Marian Kozłowski, Jan Baranowicz, Jan Brzoza, Aleksander Baumgardten, Kazimierz Popiołek, Jacek Koraszewski, Stefan Golachowski z Wrocławia i z Opola Władysław Lubecki, Wincenty Hlouszek, Stefan Chmielnicki, Rafał Urban, Roman Horoszkiewicz), stwierdzono zasadniczy brak wydawnictw, informujących w popularnej formie o społecznej i narodowej walce mieszkańców Opolszczyzny z kapitalistyczno - obszarniczym naporem wroga, popularnych biografii robotniczych i chłopskich przywódców ludu opolskiego tak z okresu przed pierwszą wojną światową (dr Rostek, Bogedain, Lompa, Krawczyk, Marek z Imielnicy, Krystian Minkus, Gorzałka, ks. Szafranek, Bonczyk, Damrot, Dzierżoń i inni), jak i w okresie międzywojennym (Wagnerowa, Kania, Gacka z Markowic Jośko z Gamowa, Myśliwiec, Gomola, Mrocheń, Słowik, Smolka, Gumnior); brak literackich opracowań o tematyce powstań śląskich, walk robotników z kapitalistycznym wyzyskiem i kierowanych przez „Komitety Pracującego Chłostwa“ strajków chłopskich oraz elementarnej opracowania historii ziemi opolskiej.

Prawie zupełnie nie uwzględniono również w literaturze (z wyjątkiem reportaży dziennikarskich) kapitalnego rozwoju gospodarczego w dobie obecnej, walki robotnika o pełne wykonanie gigantycznych zadań Planu 6-letniego, walki chłopca o socjalistyczną przebudowę wsi, potężnego wkładu mas pracujących miast i wsi Opolszczyzny w ogromne dzieło odbudowy i utrwalenia pokoju.

Przebieg narady, której przewodniczyła kierownik Wydziału

Propagandy KW PZPR tow. Cesarzowa, wykazał jasno potrzebę podjęcia szerokiej akcji wydawniczej, która w planach swych uwzględniałaby wszystkie wysunięte postulaty.

Z dużym uznaniem trzeba tu przyjąć poczynione już w tym kierunku kroki przez centralne placówki naukowo-wydawnicze, które przygotowują szereg publikacji na temat Śląska Opolskiego, jego historii i ludzi. I tak — już w niedługim czasie ukaże się na półkach księgarskich monografia Opola, opracowana przez pracowników naukowych Instytutu Zachodniego. Interesująca publikacja dr Jacka Koraszewskiego rzuci światło na ogromny kult Mickiewicza na Opolszczyźnie, pierwszą pracą Polskiego Instytutu Nauk Historycznych będzie szczegółowa historia Śląska, a tematem powieści młodzieżowej Wilhelma Szewczyka — bohaterskie walki powstańców pod Górą Anny.

Zebrani na naradzie literaci i naukowcy, doceniając konieczność wzmożenia działalności wychowawczo-politycznej na poważnym odcinku kształtowania świadomości mieszkańca Opolszczyzny przez książkę, zaoferowali pełną gotowość ścisłej współpracy z przyszłą placówką wydawniczą, której konieczność powstania w najbliższym czasie w Opolu stwierdzili zgodnie wszyscy dyskutanci.

Celem zaspokojenia natychmiastowych potrzeb mas czytelnich wielu z obecnych zobowiązało się do dostarczenia już teraz popularnych publikacji, reportaży literackich, nowel, opowiadań i utworów scenicznych, tematycznie związanych z postępową przeszłością i twórczą teraźniejszością ziemi opolskiej.

Obecni zwrócili również uwagę na potrzebę stosowania w akcji wydawniczej dla Opolszczyzny

nie docenianej dotychczas formy kalendarza oraz odpowiednio dobranych wyborów twórczości najznakomitszych naszych pisarzy, jak Mickiewicz, Słowacki, Kornopnicka, Lenartowicz, Pol i inni.

Zorganizowana przez Komitet Wojewódzki w Opolu narada jest jeszcze jednym przejawem troski Partii o likwidację kulturalnych zaniedbań Opolszczyzny.

RYSZARD HAJDUK.

Z WARSZTATU PROZAIKA I DRAMATURGA

Niewielka liczebność katowickiego skupiska literackiego sprawiła, że organizując sekcje twórcze trzeba się było uciec do połączenia w jednej sekcji prozaików i dramaturgów. Symbioza ta zdaje dotychczas jakoś egzamin, przy czym pamiętać jeszcze trzeba, że pracę tej połączonej sekcji zasilają jeszcze swym udziałem niektórzy poeci, którym nie obce są zainteresowania prozą i dramatem, nawet jakoby dystansujące zainteresowania poetyckie, których nasilenie w okresie ostatnich lat wyraźnie osłabło.

Katowicka Sekcja Prozy i Dramatu pracuje na innych nieco zasadach niż tego typu organizacje pracy twórczej w pozostałych Oddziałach Związku Literatów Polskich oraz przy Zarządzie Głównym ZLP. Odmienność metod pracy polega na tym, że Katowice w przeciwieństwie do stosowanej gdzie indziej zasady omawiania książek wydanych już drukiem organizują dyskusje nad utworami, które nie zostały jeszcze oddane wydawnictwom lub powierzone teatrom.

Metoda ta ma swoje złe i dobre strony. Trudnością i stałym niedomaganiem jest to, że autorzy nie dysponują taką ilością

egzemplarzy maszynopisu, by umożliwiła ona zapoznanie się wszystkich członków sekcji z proponowanym do omówienia utworem. Wskutek tego znaczna część uczestników prac Sekcji nie ma dostatecznych podstaw do dyskusji i polemizuje z tezami referentów lub aprobejuje je trochę na ślepo albo jedynie na podstawie znajomości odczytywanych na zebraniach fragmentów. Odczytywanie urywków niepotrzebnie przedłuża obrady i jest stratą czasu dla grupy tych, którzy znają utwór w całości.

Dobłą stroną tak pomyślanej pracy jest to, że autor otrzymuje uwagi, rady i wskazówki jeszcze przed ostatecznym zamknięciem pracy nad swoim utworem, że ma możność sprawdzenia jego pozytywów oraz dostrzeżenia popełnionych błędów. Rzecz prosta, że jak przy każdej krytyce, tak i tu uwagi i rady występują w takim nagromadzeniu i formułowane są tak różnorodnie, że potrzebna jest umiejętność ich analiza, poparta odpowiednią dozą świadomości pisarskiej, by autor ustrzegł się od podejmowania decyzji zbyt pochopnych. A już do zabawniejszych należą kolizje, które czasem zachodzą między postulatami redaktorów wydawniczych a opiniami wyrażanymi na Sekcji. Nie znaczy to jednak, by redaktorzy zawsze mieli tu rację. Zagadnienie „wszystkoizmu” jest najczęściej terenem, na którym kolizje te zachodzą.

Zgłoszony do omówienia utwór powierzany jest do opracowania z zasady dwóm referentom, których dobór przy obecnym składzie środowiska literackiego o wyrażnej przewadze literatów młodych lub mało doświadczonych nie należy do spraw najłatwiejszych. Omawiane dzieło poddawane jest szczegółowej analizie od strony jego problematyki i artystycznych metod jej

realizacji. Szczególny nacisk kładą na analizę i ocenę ideologicznej treści utworu, jej konfrontację z rzeczywistością, ale równocześnie jako sprawę równej wagi traktują zagadnienie warsztatu pisarskiego. Kompozycja, styl, język dzieła, zespół zastosowanych w nim środków wyrazu artystycznego i końcowy rezultat ich zastosowania — oto zagadnienia, które nie tylko zajmują dużo miejsca w ocenach, ale i stają się podstawą do rozważań i dyskusji teoretycznych. Fakt że, tylko pewna część uczestników zebrań ma możność dyskutowania w oparciu o konkretny materiał wynikający ze znajomości całości utworu, sprzyja podejmowaniu zagadnień natury teoretycznej w ramach spraw związanych z ideologicznymi i artystycznymi postulatami realizmu socjalistycznego.

Z przedstawionych powyżej założeń wynika, że napływający pod obrady Sekcji materiał literacki nie zawsze jest dobrej jakości, że stosunkowo dość często zdarzają się wypadki surowej, w dużej mierze dyskwalifikującej omawiany utwór krytyki referentów i dyskutantów. Są to jednak wypadki nie do uniknięcia nawet przy omawianiu prac już drukowanych. Zresztą analiza błędów i wad również nie jest bez znaczenia i wpływu.

W ostatnim półroczu na posiedzeniach Sekcji Prozy i Dramatu omówiono następujące prace: sztukę Włodzimierza Żelechowskiego, poświęconą problematyce śląskiej klasy robotniczej w okresie działalności Karola Miarki, pt. „Śląsko jest nasze” (ref. Aleksandra Mianowska), pierwszą część powieści Aleksandra Baumgardtena „Roman i Katowice”, której tematem jest wiązanie się elementu repatrianckiego ze Śląskiem (ref. Danuta Zarzycka), dwa zbiory nowel członka-kau-

dydata Józefa Pasza (ref. Jadwiga Kozłowska-Fiszłowa i Jan Edward Kucharski), dramat historyczny Marii Orzechowskiej „Czyngis Chan zabijał ziemię“, (ref. Teodora Banasiowa i Karol Słotwiński), tom szkiców i esejów Wojciecha Natansona (ref. Karol Słotwiński), opowiadanie Albina Kamionki „Chorzowskie serce“ (ref. Maria Orzechowska i Józef Pogan), opowieść Jana Baranowicza „Mój przyjaciel Lompi“ (ref. Maria Klimas-Błahutowa i Zdzisław Hierowski).

Nie wdając się w szczegółowe omówienie ocen tego dość licznego zespołu prac, ogólnie należy zanotować, że z mniej więcej jednolitą negatywną oceną spotkały się prace Józefa Pasza i Albina Kamionki, dalej sporo zasadniczych zarzutów wysunięto przeciw pracom Aleksandra Baumgardtena, Włodzimierza Żelechowskiego a w mniejszym stopniu przeciw dramatu Marii Orzechowskiej, natomiast najbardziej pozytywną kwalifikację otrzymały prace Wojciecha Natansona i Jana Baranowicza.

Sumując pracę ostatniego półroczna można stwierdzić, że katowicka Sekcja Prozy i Dramatu stanowi dobry, działający bez zahamowań zespół pracy twórczej, który przez swoją krytykę i swoje oceny oddziałuje pozytywnie na działalność śląskiego środowiska literackiego. Poziom prac Sekcji kształtuje się w granicach możliwości, które środowisko to stwarza. h

DZIAŁALNOŚĆ SEKCJI POEZJI I LITERATURY DZIECIĘCEJ

Działalność sekcji była dwukierunkowa — z tym, że zagadnieniom poezji poświęcono znacznie więcej zebrań niż literaturze dziecięcej.

Przyjęła się warsztatowa metoda pracy, polegająca na bardzo szczegółowej analizie omawianych utworów, zarówno w odniesieniu do treści jak i formy.

Od początku istnienia sekcji w krzyżowym ogniu dyskusji i referatów byli już ze swymi utworami prawie wszyscy członkowie sekcji. Wydany przez Książkę i Wiedzę „Poemat górniczy“ Wilhelma Szewczyka uzyskał swoją pierwszą ocenę, która posłużyła jako podstawa do zasadniczych poprawek, własnie od członków sekcji poezji. Przygotowany do druku tom poezji Aleksandra Baumgardtena „Łuny na wietrze“ również od sekcji otrzymał swoją pierwszą aprobatę wraz z odpowiednimi zaleceniami i propozycjami. Na „warsztacie“ sekcji były kolejno: zbiory poezji i poematy Bolesława Lubosza, Maruty Stobieckiej, Władysławy Szkaradkówny, Aleksandra Widery, członków Koła Młodych Koniusza i Mecha oraz przekłady wierszy chińskich Jana Wyplera. Na ostatnim posiedzeniu sekcji omówiono poematy „Zwykły dzień“ Aleksandra Baumgardtena i „Spółdzielnia nad jeziorem“ Jana Baranowicza.

Osobne zebranie poświęcono omówieniu książki Juliana Przybosa „Czytając Mickiewicza“. W dyskusji nad zagadnieniem realizmu socjalistycznego wypowiedzieli się na wspólnym zebraniu poeci i prozaicy. Szczególnie liczne było zebranie, poświęcone omówieniu poezji i satyry w „Życiu Literackim“.

Jedno z zebrań zajęło się omówieniem poematu Pablo Nerudy „Niech się zbudzi drwa!“. Stanowi ono wstęp do dalszych zebrań, poświęconych poetom socjalistycznym.

Kol. Szewczyk omówił twórczość poetów śląskich sprzed i po pierwszej wojnie światowej. Dzieje śląskiego trudu literackiego są szczególnie bogate w postępowe tradycje polsko-śląskie od czasów zarania aż po lata międzywojenne. Materiał wykorzystany z zebrań poświęconych temu zagadnieniu mógłby stanowić podstawę dla antologii twórców śląskich, która spełniłaby ważne zadanie w świetlicach i bibliotekach całego Śląska, zwłaszcza odzyskanej Opolszczyzny.

Na kilku zebraniach warsztatowych zajęto się specjalnie sprawą zbiorowego przekładu poematu Stefana Hermlina „Mansfelder Oratorium“, nagrodzonego Nagrodą Państwową NRD. Przedłożony wydawnictwu przekład spotkał się jednak z oceną negatywną, z powodu nierównej wartości poszczególnych fragmentów. Próba zbiorowego opracowania szopki politycznej nie powiodła się.

Problematyka literatury dziecięcej i młodzieżowej omawiana była w związku z poświęconym tej sprawie zjazdem w Warszawie.

Dyskutowano nad utworami koleżanek piszących dla dzieci (Zofia Bronikowska, Janina Wazłowa, Maria Rosińska).

Mała ilość zebrań sekcji, poświęconych tym zagadnieniom, tłumaczy się tym, że twórczość dla dzieci reprezentowana jest w śląskim Oddziale jedynie przez wymienione trzy koleżanki.

Ostatni przed przerwą letnią wieczór poświęcony był omówieniu całokształtu twórczości poety, dramaturga i satyryka starszego śląskiego pokolenia Emanuela Imieli.

ALEKSANDER WIDERA

PO KONKURSIE

W śląskim środowisku literackim po wojnie konkursy jako konkretna forma zamówienia społecznego odegrały szczególną rolę. W tym, co można by określić terminem „polityka konkursowa“, stawiano sobie tutaj dwa cele: po pierwsze odkrycie nowych talentów w szeregach młodzieży a przede wszystkim w szeregach robotniczych, po drugie zaktywizowanie skupionych na Śląsku literatów, pobudzenie ich do żywszego reagowania na bieżące przejawy życia tego terenu, na jego gospodarczy rozmach, głębokie przemiany i osiągnięcia.

Trzeba powiedzieć, że w zakresie obydwu tych celów osiągnięto drogą kilku konkursów rezultaty, które wyraźnie zaważyły na przebiegu i kształtowaniu się zjawisk literackich na Śląsku. Tak było w wypadku kilku dawniejszych konkursów przeznaczonych dla tych, którzy w paraniu się piórem stawiają pierwsze kroki, tak było też w dwóch konkursach zamkniętych, przeznaczonych dla członków katowickiego Oddziału Związku Literatów Polskich.

Te dwa konkursy poza tym ogólnym celem, o którym była mowa, miały jeszcze pewne założenia specjalne. Chodziło mianowicie o popularyzację tzw. małych form literackich, o zwrócenie uwagi skupionych w śląskim środowisku literatów na znaczenie i potrzebę takich form, jak reportaż literacki, szkic literacki, drobne formy sceniczne, służące przede wszystkim teatrom ochotniczym. Pamiętać zresztą trzeba, że rozwinęty szeroko w literaturze radzieckiej reportaż i szkic literacki traktowany jest w pewnej mierze jako forma przejściowa, próbna, jako pierwsze zmierzanie się pisarza z nową, socjalistyczną tematyką, jako próba znalezienia dla niej nowych, naj-

bardziej odpowiednich form wyrazu artystycznego. I stąd duże znaczenie tych pozornie mało wdzięcznych, skazanych na przemijanie form w rozwoju literatury kształtującej się w duchu i według postulatów realizmu socjalistycznego.

Po pierwszym, ogłoszonym przed dwoma laty konkursie na reportaże, w którym wzięło udział czternastu pisarzy z katowickiego środowiska, w dniu 4 grudnia ubiegłego roku katowicki Oddział Związku Literatów Polskich wspólnie z Wydziałem Kultury i Sztuki Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej ogłosił konkurs o znacznie szerszym zasięgu tematycznym i angażujący równocześnie znacznie liczniejszy zastęp piór.

Konkurs ten dopuszczał szeroką skalę tematów zakreslając dla nich tylko najogólniejsze ramy, którymi były problematyka klasy robotniczej Śląska w okresie powojennym, człowiek pokazany w nowym ustroju, w toku otaczających go i kształtujących przemian i procesów społeczno-gospodarczych i politycznych a obok tego narodowe, postępowe tradycje ludu śląskiego. W zakresie form konkurs dopuszczał zarówno opowiadania i nowele, jak reportaże i szkice literackie, poematy, utwory dramatyczne a nawet essaye, które miały służyć przede wszystkim tematyce historycznej. Do konkursu zaproszono 37 literatów. Cyfra ta wskazuje, że akcją konkursową objęci zostali w tym wypadku niemal wszyscy skupieni w katowickim Oddziale Związku literaci zarówno starszego jak i młodszego oraz najmłodszego pokolenia. Wydaje się jednak, że nieco za szczupło uwzględniono kadrę początkujących literatów skupionych w Kole Młodych Pisarzy.

Rozstrzygnięcie konkursu nastąpiło w pierwszych dniach ma-

ja. Pozornie nie stanowiło ono zaskoczenia, nie było niespodzianką. Pierwsze pięć nagród przypadło bowiem na udziale laureatom konkursu na reportaż sprzed dwóch lat i nawet kolejność tych nagród nie bardzo odbiegała od kolejności ustalonej w wyniku poprzedniego współzawodnictwa. Oto nazwiska tych laureatów: Wilhelm Szewczyk, który otrzymał pierwszą nagrodę, Aleksander Baumgarten i Jan Brzoza, zdobywcy dwóch drugich nagród, Maria Klimas-Błahutowa i Jan Baranowicz, laureaci dwóch trzecich nagród. Ale już w tej ostatniej grupie nagród pojawiło się nazwisko dotychczas mało znane czytającej publiczności, nazwisko literata będącego dopiero — jak się to mówi — na dorobku. Jest nim Jan Edward Kucharski, jeden z nielicznych przedstawicieli środowiska zagłębiowskiego w tu-tejszym Oddziale Związku Literatów, autor, który otrzymał nagrodę za utwór pt. „Opowiadanie“.

Dalsze nowości przyniosła grupa nagród czwartych. Tutaj poza Józefem Poganem, który zmniejszył swoje szanse w tej dość silnej konkurencji przez posłanie na konkurs urywka większej całości, wystąpiły nazwiska literatów mniej jeszcze głośnych. Przede wszystkim trzeba tu zwrócić uwagę na interesujące opowiadanie Jadwigi Kozłowskiej-Fiszłowej „Ojciec i syn“ oraz na dość surową, jeszcze w swym artystycznym wyrazie nowelę Karola Słotwińskiego o tematyce opolskiej pt. „Nowy rok“. Wreszcie wymienić trzeba jeszcze grupę wyróżnień. Objęły one utwory pisarzy stosunkowo najświeższego autoramentu — prozę Włodzimierza Graba, który wyszedł z szeregów robotniczych i został odkryty przez jeden z konkursów Związku Zawodowego Gór-

ników, Danuty Zarzyckiej, Antoniego Sylwestra oraz poemat Bolesława Lubosza.

Wynik konkursu pod jednym względem był bardzo sprawiedliwy. Większość nagród przypadła tym jego uczestnikom, którzy ustosunkowali się do zadań konkursu najbardziej aktywnie, nie sięgnęli do prac już gotowych albo przeznaczonych już z góry dla wydawnictw i na ich zamówienie pisanych. Utwory Szewczyka, Baumgardena, Brzozy, Kucharskiego, Kozłowskiej-Fiszlowej, Słotwińskiego to utwory specjalnie pisane na konkurs, dostosowane do jego wymagań tematycznych i formalnych.

Spostrzeżenie to wymaga pewnego wyjaśnienia. Niższy stopień nagród dla utworów stanowiących większe całości, opracowywanych na zamówienie instytucji wydawniczych po uzgodnieniu z nimi ogólnych postulatów, nie stanowi ich dyskwalifikacji. W wypadku Pogana, jak wspominałem, musiała zaważyć fragmentaryczność wyrwanej z większej całości powieściowej pracy. Obszerne, doskonale napisane reportaże Klimas-Błahutowej i Jana Baranowicza traciły w zestawieniu z mniejszymi, zwartymi konstrukcjami literackimi opowiadania i noweli, choć obiektywnie biorąc ich wartość artystyczna i treściowa nie ulega wątpliwości.

Dla krytyka znającego środowisko, orientującego się w możliwościach i rozwoju poszczególnych jego przedstawicieli, konkurs ze swoimi rezultatami stanowi interesujący przedmiot studiów i skłania do kilku optymistycznych uwag. Przede wszystkim więc nasuwa się pewna uwaga ogólna: wszystkie niemal prace objęte nagrodami świadczą bezsprzecznie o korzystnej, budzącej najlepsze nadzieje ewolucji poszczególnych pisarzy. Proza

Szewczyka w opowiadaniu pt. „Polityka“ to wielki i piękny krok naprzód w stosunku do prozy jego pierwszej, wydanej niedawno powieści „Kleszcze“. Poemat Aleksandra Baumgardena „Zwykły dzień“ to jakby nowa karta jego twórczości poetyckiej, pociągająca prostotą i bezpośredniością wyrazu, których to cech często brakowało jego poprzednim wierszom. Nowela Jana Brzozy „Worek węgla“ jest potwierdzeniem dojrzałości jego talentu. Reportaże Klimas-Błahutowej i Baranowicza mimo ich niedowładu fabularnego świadczą o interesującym rozwoju ich prozy.

Wśród nagrodzonych mniej znanych pisarzy na szczególną uwagę zasługują Jadwiga Kozłowska-Fiszlowa i Jan Edward Kucharski. W obydwu wypadkach mamy tu do czynienia z prozą odznaczającą się dużą kulturą literacką, świadczącą o dość wysokim stopniu udoskonalenia środków wypowiedzi artystycznej. U Kozłowskiej-Fiszlowej na uznanie zasługuje psychologiczne pogłębienie postaci, u Kucharskiego przede wszystkim zalety narracji, przy czym wydaje się, że młody ten pisarz powinien więcej uwagi poświęcić pracy nad artystyczną obiektywizacją przedstawianego obrazu.

Z tych względów wyniki ostatniego konkursu w ogólnej ocenie uznać należy za udane. Świadczą one, że śląskie środowisko literackie dojrzewa i rozwija się pod każdym względem. Stwierdzenie to uzasadnione jest faktem, że w dziale prac nie nagrodzonych i nie wyróżnionych, znajduje się niejeden utwór, który chyba bez wątpienia zasłużył na awans do grupy jednej z czterech nagród, który z powodzeniem mógłby zastąpić na przykład odznaczony przez wyraźną pomyłkę jedną z czwartych nagród utwór Albina Kamionki „Chorzowskie serce“.

Są to pomyłki w warunkach konkursowych dość częste, trzeba się z nimi godzić, ale w tym wypadku niesposób nie zwrócić na nie uwagi, gdyż na przykład pominięcie nawet w wyróżnieniach poematu Jana Baranowicza „Spółdzielnia nad jeziorem“ potwierdza fakt ich istnienia.

Stefan Otwinowski, jako przewodniczący jury, stwierdził, że część uczestników konkursu w pewnym stopniu zlekceważyła jego wymagania nadsyłając prace pisane w pośpiechu, noszące cechy roboty pobieżnej. Chyba

tak było w istocie. Z tego, jak i ze zjawiska, że laureaci zaczynają się powtarzać, należałoby wysnuć wniosek, że na przyszłość zasady organizacyjne tego typu regionalnego konkursu powinny być inaczej pomyślane. Po prostu trzeba dać większe szanse piórom mniej znanym i młodym a nie zapraszać do udziału pisarzy, których tego rodzaju konkurs nie interesuje jako szansa wyróżnienia się i których odrywa on od prac na większą skalę.

Zdzisław Hierowski

T R E Ś Ć N U M E R U

	str.
1. Aleksander Baumgardten: Zwyczajny dzień	3
2. Maria Klimas-Błahutowa: Kamienna róża	9
3. Jan Baranowicz: Spółdzielnia nad jeziorem	17
4. Włodzimierz Grab: Ci z siódmego oddziału	27
5. Leszek Mech: Życiorys Prezydenta	58
1 Maja w Paryżu	58
Pałac Nauki i Kultury	59
6. Janusz Koniusz: Pastereczka	60
Pejzaż dolnośląski	60
7. Marian Kozłowski: Życie zaczyna się jutro	61
8. Wilhelm Szewczyk: O Miarce	74
9. ZDARZENIA I KOMENTARZE	85
KSIAŻKI — W. Szewczyk: Poprzez mity ku realizmowi	87
B. Lubosz: Śląsk przed wrześniem	89
Z. Hierowski: Proza Jana Baranowicza	93
TEATR — J. Rotliczek: Z wędrowek teatralnych	95
J. Kozłowska-Fiszłowa: W Śląskim Studio Teatralnym	100
KALENDARZ KULTURALNY:	
Z Opolszczyzny (Ryszard Hajduk)	104
Z warsztatu prozaika i dramaturga (h)	106
Działalność Sekcji poezji i literatury dziecięcej (A. Widera)	108
Po konkursie (Z. Hierowski)	109

OD REDAKCJI: Rozpoczynając niniejszym zeszytem wydawanie czasopisma związanego ze śląskim środowiskiem literackim zwróciliśmy szczególną uwagę na prace pisarzy początkujących, którzy wychodzą z Koła Młodych. Ta grupa literacka reprezentowana jest utworami Włodzimierza Graba, L. Mecha, J. Koniusza oraz pracami Bolesława Lubosza i Ryszarda Hajduka.

Następny numer pisma ukaże się we wrześniu b. r.



BIBLIOTEKA

W. S. P.

w

Gdańsku

Kat. Hist. Lit.

C-II - 5226

1852